



SHARON BRONDOS



***WRESZCIE ŻYĆ
INACZEJ***

Tytuł oryginału: The Marriage Ticket

Allison Ford zwolniła kroku i pchała teraz wózek z zakupami w ślimaczym tempie, które dyktował jej klient idący przodem. O tak wczesnej porze przejście między półkami nie było zatłoczone. Kobiety nie robiły latem zakupów przed południem, korzystając z tego, że dzieci są w szkole. Allison mogła więc z łatwością poruszać się szybciej. Uśmiechnęła się do siebie na myśl o swym nietypowym zachowaniu.

Supermarket przebiegała zwykle w szybkim tempie, za każdym razem starając się ustanowić rekord. Kupowanie żywności darzyła nienawiścią zrozumiąłą tylko dla kogoś, kto regularnie i z przymusu poddaje się temu otepiającemu rytuałowi. Cóż z tego, że jest on konieczny, skoro śmiertelnie nudny. Tego dnia jednak Allison zainteresował mężczyzna z dzieckiem, który pchał wózek przed nią. Para wyglądała bowiem nader oryginalnie.

Dziecko było bardzo małe. Mogło mieć najwyżej dwa lata i kilka miesięcy. Miało jasne włosy, puciołowate, rumiane policzki i niebieskie oczy. Płeć trudno było odgadnąć; ubranie niczego nie sugerowało. Części garderoby zostały niewątpliwie dobrane przez kogoś kompletnie pozbawionego poczucia smaku. Odnosiło się wrażenie, że dziecku włożono po prostu to, co było pod ręką. Okrągła buzia i wałeczkowate rączki przypomniały Allison niegdysiejszych Sally i Sama, choć oczywiście co jedno dziecko, to nie bliźniaki, które w tym wieku broiły za co najmniej siedmioro.

Westchnęła, wyobraziwszy sobie idealny spokój i ciszę, które miały panować w opustoszałym domu jeszcze przez dwa miesiące: resztę czerwca, cały lipiec i większą część sierpnia. Jej dziesięcioletnie bliźniaki spędzały ten czas u dziadków w Montanie. Cisza pustego domu...

Ale dziecko siedzące w wózku z zakupami nie zachowywało się bynajmniej cicho. Allison pamiętała takie zachowanie aż nadto dobrze. Gdy bliźniaki były jeszcze małe, szła między półkami wyprostowana jak gdyby nigdy nic i wkładała do wózka żywność na cały tydzień, a tymczasem jej latorośle darły się wniebogłosy. Ludzie kierowali ku niej zaciekawione spojrzenia, tak samo jak teraz ku wyjcowi soliście. Sam i Sally zawsze tworzyli hałaśliwy duet, ale nawet wtedy dawali się we znaki mniej niż ten jasnowłosy chochlik, od samego rana dający znać ojcu, że jest z czegoś niezadowolony. Wyglądało jednak na to, że mężczyzna znosi te pretensje z anielską cierpliwością. Przyjrzała mu się uważnie.

Chyba nie jest tutejszy, pomyślała. Faceci z Linville, miasteczka w stanie Wyoming, nie paradują w stroju statystów z taniego filmu o safari. Ten mężczyzna miał na sobie komplet w kolorze khaki: koszulę z krótkimi rękawami i spodnie ozdobione licznymi kieszeniami. Dość niskie bucioro reprezentowały raczej styl pustynny niż znacznie popularniejszy - kowbojski. Kapelusz też nie był rodem z westernu; bardziej przypominał nakrycie głowy osadnika z australijskiego buszu. Tymczasem jednak dziecko pracowicie pozbawiało go kształtu, obficie przy tym śliniąc. Mężczyzna miał włosy ciemnoblonde, lekko falujące, długie na tyle, że zaczynały mu

spadać na kołnierzyk. Zdaje się, że były nie tylko strzyżone, lecz i modelowane. Zupełnie jakby ich posiadacz chciał stworzyć wymyśloną postać. Dziwną. I intrygującą.

Allison nie była tego pewna, ponieważ szła z tyłu, ale coś nasunęło jej przypuszczenie, że mężczyzna jest przystojny. Z jego postawy były pewność siebie i stanowczość, które nie pasowały do żałosnej sytuacji, w jakiej się znalazł.

Może zresztą pomyślała tak, bo kobiety nadchodzące z przeciwka odwracały się, żeby jeszcze raz na niego zerknąć. Początkowo Allison przypisywała ich spojrzenia awanturującemu się dziecku, wkrótce jednak doszła do wniosku, że przyczyna może być złożona i po części jest nią także atrakcyjność tego człowieka.

Uśmiechnęła się znowu, śledząc jego drogę wśród półek. Jakiejś kobiecie niesamowicie się udało, że ma takiego męża. Nie dość, że bierze dziecko po zakupy, to jeszcze jest efektowny i świetnie się porusza. Och, niektóre kobiety naprawdę mają szczęście!

Dla niej było to zresztą bez znaczenia. Raz jej się nie powiodło, więc zrezygnowała z tej gry na zawsze. Miała dość rozsądku, by wiedzieć, co umie dobrze robić, a na czym kompletnie się nie zna. W roli matki wyraźnie się sprawdzała. Dzieciaki rosły jak na drożdżach. W roli żony... cóż, właściwie nie dano jej szansy. I nie zamierzała szukać szansy ponownie.

Automatycznie sięgnęła po płatki kukurydziane. Włożywszy je do wózka, przypomniała sobie jednak, że w tym tygodniu ich nie potrzebuje. Etatowych wy-żeraczy nie było w domu, zatem pudełko, które miała, może jej starczyć na miesiąc albo i dłużej. Śniadaniem

nie zaprzętała sobie głowy. Od lat jadała w biegu, zajęta rano karmieniem dzieciaków i wyprawianiem ich do przedszkola lub szkoły.

Płatki nie są jej więc potrzebne, lecz musi kupić chleb. W ciągu letnich miesięcy rzadko wychodziła na lunch z klientką, szukającą u niej finansowej porady, a w domu robiła sobie na ogół zupę z proszku i kanapkę, które jadła przy komputerze. Zaczęła wyprzedzać mężczyznę, żeby dostać się do półek z pieczywem. Dziecko wyciągnęło rękę i złapało ją za rękaw.

- Maaaamaaaa! - rozdarło się.

Allison gwałtownie przystanęła. Dziecko trzymało ją kurczowo, bała się więc, że jeśli zrobi krok, wyciągnie malucha z wózka. Nie patrzyła na ojca, który również się zatrzymał, lecz na dziecko, rozpromienione nagłym uśmiechem.

- Mama - zaszczębiotało i chwyciło ją za ramię drugą rączką, trochę ją przy tym szczypiąc. - Mama!

Nie mogąc się oprzeć pokusie, Allison wsunęła dłonie pod pachy dziecka. Nie podniosła go jednak, więc małe się skrzywiło.

- Nie, kochanie - powiedziała z uśmiechem. - Nie jestem twoją mamą.

Dziecko natychmiast przestało się dąsać i radośnie odwzajemniło uśmiech. Rączki puściły rękaw i prosząco wyciągnęły się w jej stronę. Allison odwróciła się do mężczyzny z wyrazem żalu w oczach i przeproszającą miną. Prawdopodobnie nie lubił, gdy obcy ludzie dotykali jego dziecka.

- Przepraszam, nie... - zaczęła, odsuwając się od małej.

Straciła jednak wątek.

Mężczyzna wyglądał tak, jakby właśnie coś przeżywał. Smutek, uświadomiła sobie Allison, zaskoczona przykrym ściskaniem, jakie poczuła w gardle. To jest smutek. Mężczyzna kaszlnął i wziął dziecko na rękę. Zrobił to ostrożnie, lecz niezgrabnie. Dziecko niezwłocznie wznowiło koncert.

- Nie ma za co przepraszać - powiedział dostatecznie głośno, by mimo dziecięcego wrzasku zwróciła uwagę na tembr jego głosu. Gardłowy głos i dziwny akcent, którego nie potrafiła skojarzyć z żadnym miejscem. - Ona robi coś takiego każdej kobiecie, jeśli tylko jest choćby odrobinę podobna do jej matki. Pani ma jasne włosy tej samej długości, a blondynki cieszą się szczególnymi względami. - Pogłaskał główkę przytuloną teraz do jego ramienia. - Najpierw doprowadzało mnie to do szału, ale już się przyzwyczailem.

Pocałował dziewczynkę w jasną główkę i zaczął do niej kojąco przemawiać.

Allison przełknęła ślinę. Najwyraźniej natknęła się na tragedię, będącą lustrzanym odbiciem jej własnej. Czas przeszły. Matka tej dziewczynki, a żona mężczyzny pewnie nie żyje. Poczuła pod powiekami łzy.

- Czy nie przeszkadzałoby panu, gdybym wzięła ją na rękę? - spytała z nadzieją, że nie narzuca się człowiekowi w żałobie. - Może u mnie się uspokoi.

Mężczyzna podał jej dziecko z wyraźną ulgą.

- Dziękuję - powiedział. - W tej sytuacji jestem skłonny spróbować wszystkiego. To nasza pierwsza wyprawa do

supermarketu. Do tej pory znajdowaliśmy wspólny język i nie mogłem wiedzieć, że dzisiaj coś w nią wstąpi. Na krótkich spacerach nie było kłopotów, więc myślałem, że możemy bezpiecznie zrobić dłuższy. Liczyłem się z drobnymi kapryсами, ale czegoś takiego zupełnie się nie spodziewałem.

Allison przytuliła dziecko, które natychmiast objęło ją za szyję. Dotyk małych rąk ożywił jej pamięć. To samo było z Sally i Samem. Oboje bardzo potrzebowali miłości. A ona tak wiele chciała im dać... Tylko że jednego dziecka nigdy nie mogła przytulić, bo natychmiast drugie zaczynało się domagać sprawiedliwości. Przypomniała sobie, że gdy bliźniaki były małe, wciąż słała się na nogach. Nie miała przecież nikogo do pomocy. Mimo to poczucie, że jest potrzebna, było wspaniałe. Zamknęła oczy, nie przejmując się tym, że mężczyzna może zauważyć łzy spływające jej po policzkach.

- W pewnym stopniu rozumiem pana - powiedziała. - Jeszcze przed urodzeniem dzieci straciłam męża.

Wyraźnie go zaskoczyła. Nie bardzo wiedział, jak zareagować. Uśmiechnął się, zmarszczył czoło i znowu się uśmiechnął. W jego piwnych oczach pojawiło się współczucie, a usta rozciągnęły się w smutnym uśmiechu.

- Jesteśmy niezupełnie w tej samej sytuacji - oznajmił. - Bo widzi pani, ja wcale nie straciłem żony. - Dotknął włosów dziecka. - Straciłem siostrę. Laurel jest moją siostrzenicą.

- Ach, tak.

Allison miała wrażenie, że coś sobie mgliście przypomina. Gdzieś w głębi podświadomości zaczął powstawać jakiś obraz.

- Jej matka była moją siostrą - powtórzył mężczyzna. - Nawet siostrą bliźniaczką, ale teraz zostaliśmy tylko we dwoje, dziecko i ja. Damy sobie radę, prawda, Laurel?

Laurel odwróciła się od Allison i wyciągnęła ramiona do wuja. Ten wziął ją na ręce, na moment przytulił i z powrotem posadził w wózku.

- Dziękuję - powiedział. - Już się chyba wyplakała. Lepiej pójdę dalej, póki jest w dobrym humorze.

- Powodzenia - pożegnała go Allison.

Laurel zerknęła na nią i bródka jej zadrzała. Nie rozplakała się jednak, gdy wuj ruszył z wózkiem w dalszą drogę, zostawiając Allison przy półkach z pieczywem.

Allison głęboko odetchnęła. Dopiero teraz dotarło do niej, że ten mężczyzna rzeczywiście zwraca uwagę. Może nie jest klasycznie przystojny, ale zdecydowanie interesujący. Ma szeroko rozstawione kości policzkowe, gładką, opaloną skórę i ciepłe, piwne oczy. Dość głębokie rysy nadawały twarzy inteligentny wyraz... To dziwne, że aż tyle zauważyła. Przecież nawet nie spytała go, jak się nazywa, tak bardzo przeżywała tę scenę. Była jednak pewna, że coś o nim wie. Tylko nie mogła sobie przypomnieć...

- Widzę, że poznałaś naszą znakomitość, Allie. Głos znajomej wyrwał ją z zamyślenia. June Watson zatrzymała wózek dosłownie centymetry od niej, a mimo to Allison jej nie zauważyła, dopóki nie usłyszała głosu.

- Znakomitość? - powtórzyła machinalnie i popatrzyła na June.

- Uhm.

June skinęła głową i czekała na reakcję. W zasadzie nie była gruba, ale przysadzista, więc wydawała się duża i niezbyt zgrabna. Już dawno Allison doszła do wniosku, że to efekt wypełniających tę kobietę plotek. Rozdymały ją jak balon, a ona pochłaniała je nałogowo, niczym słodycze. Tyle że od czasu do czasu każdy potrzebuje trochę słodyczy.

- Punkt dla ciebie, June. Zagięłaś mnie. Nie mam zielonego pojęcia, co to za facet.

June zachichotała i uniosła obficie uczernione brwi na dobry centymetr. Pochyliła się do Allison i zniżyła głos:

- Zielonego pojęcia, mówisz? No więc pozwól, że ci opowiem o...

Dopuszczeniu Allison do tajemnicy przeszkodził głośny łomot, po którym nastąpiły krzyk i płacz dziecka. Niestety, Allison dobrze знаła ten ciąg dźwięków z własnego doświadczenia.

- Wszystko jedno, kto to - powiedziała. - Zdaje się, że ma kłopoty. Zaraz wrócę - dodała. June stanęła jak wryta, z ustami ułożonymi w kształt litery O.

Scena, którą Allison zastała za następnym sklepowym regałem, nie była dla niej zaskoczeniem. Ileż razy stała z miną winowajczyni przy stertach puszek lub pudełek, które jednemu z bliźniąt udało się obalić. Na nieszczęście dla swego wuja dziecko spowodowało prawdziwą katastrofę. Zniszczona konstrukcja była bowiem zrobiona ze szklanych słoików, co gorsza z galaretką.

Kapelusz mężczyzny leżał pośrodku pobojuwiska, w mieszaninie galaretowatej mazi i odłamków szkła. Jego właściciel

gapił się na podłogę, jakby nie pojmował, w jaki sposób to wszystko mogło się stać. Allison podeszła i dotknęła jego ramienia.

- Niech się pan nie przejmuj - powiedziała, gdy spojrzał w jej stronę. - To się często zdarza. W każdym razie ja to znam.

Znów wytrzeszczył oczy, tym razem na nią.

- To była sekunda... Odwróciłem się dosłownie na sekundę. Jak ona to zrobiła? - Laurel zagruchała coś za jego plecami, po czym wydała z siebie chichot. - Pozwoliłem jej spróbować odrobinę galaretki ze słoika, który wkładałem do wózka. Smakowało jej i pewnie chciała więcej.

- Pewnie tak. - Kątem oka Allison zobaczyła, że zbliża się kierownik sklepu. - Jeśli pan pozwoli, wezmę ją na ręce. Będzie pan mógł spokojnie załatwić sprawę z Timem.

- Z Timem? - Mężczyzna przesunął dłonią po włosach, zostawiając na jasnych kosmykach ślady galaretki. Laurel zaniósła się śmiechem.

- Tim Swenson jest kierownikiem tego sklepu - wyjaśniła Allison, biorąc dziecko na ręce. Laurel mocno objęła ją za szyję i Allison poczuła, że ma coś lepkiego na karku. Mała poruszyła się gwałtownie i wbiła jej kolana w żołądek. Allison głośno westchnęła i zmieniła pozycję dziecka. - Niech się pan nie martwi - dodała. - To rozsądny człowiek.

Wuj Laurel skierował na nią wzrok.

- Pani jest albo święta, albo szalona, żeby śpieszyć mi z pomocą w takiej sytuacji. Serdeczne dzięki, przyjaciółko.

Uśmiechnął się i dopiero wtedy naprawdę na nią popatrzył. Zorientowała się, że w tej chwili widzi ją pierwszy raz.

A ona zobaczyła jego. Był nie tylko przystojny, lecz wręcz wspaniały! Miał przeuroczy uśmiech. Spojrzał jej w oczy i to całkiem go odmieniło. Przez ułamek sekundy walczyła z oszołomieniem.

- Przepraszam bardzo... - Tim okrążył rumowisko na podłodze. - O, cześć, Allie. To twój przyjaciel?

- Mieliśmy tu wypadek - powiedziała przytomniejąc. - Wiesz, Tim, że nie powinieneś ustawiać towarów w łatwo tłukących się opakowaniach tam, gdzie mogą sięgnąć dzieciaki.

Laurel zagruchała i klapnęła rączkami o ramię Allison, jednocześnie robiąc gwałtowny ruch kolanami. Dłonie dziewczynki na chwilę przykleiły się do bluzki Allison.

- Wiem. - Tim zerknął na pobojowisko z żalną miną. - Mamy nowego człowieka od wystaw. Jemu się wydaje, że jest prawie artystą.

- Zapłacę za szkody - powiedział mężczyzna, sięgając po pieniądze. - To była moja wina. Nie dopilnowałem Laurel. - Otworzył portfel. - Ile?

Allison omal nie syknęła z wrażenia. Trzymał w dłoni gruby plik banknotów, a po nominałach sądząc, musiało to być w sumie z tysiąc dolarów. Na zakupy w sklepie spożywczym? Ciekawe, co ten człowiek by zrobił, gdyby poszedł gdzieś, gdzie naprawdę można wydać trochę pieniędzy.

Oczy Tima zrobiły się okrągłe ze zdumienia.

- Niech pan schowa pieniądze - powiedział, ścisząc głos i rozglądając się dookoła, żeby sprawdzić, czy nikt nie widział tego pliku.

- Ale... - Mężczyzna był wyraźnie zmieszany.

- Nie chcę, żeby pan płacił za tę galaretkę - powiedział Tim. - Przyszedłem tylko się upewnić, czy nikomu nic się nie stało.

Allison zobaczyła, jak pieniądze znikają. Mężczyzna miał bardzo zdziwioną minę.

- Zniszczyłem panu tyle towaru, a pan nie chce pieniędzy? - spytał, zerkając kątem oka na Allison z dzieckiem, a potem znowu na Tima. - Jak to?

Teraz z kolei Tim wydał się zakłopotany.

- Polityka sklepowa. Kompozycja była zrobiona w niewłaściwy sposób.

- Powinienem być lepiej pilnować dziecka.

- Przecież pan nie wie, jak to się robi. - Allison nie mogła się powstrzymać przed wypowiedzeniem na głos brutalnej prawdy. - Wyglądaliście razem jak jedno wielkie nieszczęście, które musi się stać, tylko szuka odpowiedniego miejsca. Przewidywałam to. Całe szczęście, że dziecku nic się nie stało.

Mężczyzna nie odpowiedział, tylko na nią patrzył.

- Mama - powiedziało znowu dziecko i uścisnęło Allison. Potem odwróciło się i wyciągnęło ręce do wujka. - Tata! - zawołało z uśmiechem.

Wziął dziecko od Allison.

- Słuchajcie, państwo. - Jego głos nagle stał się chłodny. -
Bardzo wam obojgu dziękuję, ale potrafię sam sobie dać radę. Nie
potrzebuję pomocy i nikt nie musi usprawiedliwiać moich błędów.
Sam je robię, więc zdaję sobie z nich sprawę i nie trzeba mi ich tak
dobitnie wypominać.

Nerwowo zagłębił dłoń do kieszeni i wy dobył stamtąd dwa
zmięte banknoty, które wcisnął Timowi w rękę.

- Niech pan przyjmie to za galaretkę i jako zaliczkę za wszelkie
inne klęski, które możemy spowodować w przyszłości. Bez dyskusji.

Wcisnął też banknot w dłoń Allison. Gdy zaczęła protestować,
wyjaśnił:

- To jest zwrot kosztów prania. Proszę, niech pani przyjmie.

Obdarzył ją spojrzeniem, z którego były po trochu złość, duma i
smutek. Potem oparł Laurel o swoje biodro, pochylił się, żeby wyjąć
kapelusz z galaretowatej masy, i popchnął wózek dalej, przejściem
między półkami.

Allison pomyślała, że nie ma sposobu, by odmówić przyjęcia
pieniędzy. Byłby to jawny zamach na godność tego człowieka. I tak
niepotrzebnie wystąpiła z krytyką.

- Wszystko jasne - mruknęła bardziej do siebie niż do Tima. -
Pojęłam aluzję. Oto samodzielny człowiek. Mam pilnować własnego
nosa i nie wtrącać się do cudzych spraw. - Przesunęła dłonią po
bluzce. W okolicy ramion wyczuła liczne ślady galaretki. -Zresztą i
tak nie wiem, w co ręce wsadzić. Właśnie, muszę biec do domu i się
przebrać.

Tim parsknął nerwowym śmiechem. Musiał czuć się niezręcznie.

- Oj, chyba musisz. Dziecko wygarnęło na ciebie z pół słoika galaretki.

Allison usiłowała obejrzeć sobie plecy.

- Przypominają mi się dawne czasy - powiedziała z westchnieniem. - To jest bawełna, więc nie trzeba czyścić chemicznie, ale muszę dodać do prania silny odplamiacz. Dawno już czegoś takiego nie potrzebowałam. W każdym razie nie do moich ubrań.

Tim zerknął na banknoty trzymane w dłoni.

- Nie krępuj się i weź, czego ci potrzeba. - Pokazał studolarówkę, którą zostawił mu nieznajomy.

Allison spojrzała na swój banknot i ze zgrozą stwierdziła, że również dostała setkę. Postanowiła znaleźć jakiś sposób na zwrócenie tych pieniędzy. Przecież to stanowczo za dużo.

- Powinieneś otworzyć mu kredyt za przynajmniej jeden z tych papierków. Przecież nie natłukł ci słoików wartości dwustu dolarów!

- Powiniennem, ale trochę się boję. Znasz takich facetów. Trzęsiesz się, żeby z kolei takiego nie obrazić. Lepiej dam tę forszę skautom. Przekażę w imieniu jego siostry albo jakoś tak.

- A jakich to facetów mam znać? Wiesz, kto to jest? - Allison była coraz bardziej zaciekawiona. Tim sprawiał wrażenie, jakby czuł lęk przed tym mężczyzną. Dlaczego? Normalnie stroiłby żarty z takiego rumowiska. - June wspomniała, że to jakaś znakomitość, ale mnie nie znana.

- To dlatego, że nie kupujesz tych plotkarskich magazynów, które leżą przy kasie.

- Nie aktor, prawda?

Tego była prawie pewna. Do kina chodziła regularnie. Był to dla niej jeden ze sposobów na urozmaicenie życia przygodami i romansami bez narażania własnej głowy. Wystarczyło wydać kilka dolarów i uciec na chwilę od rzeczywistości. Od jej rzeczywistości. Takiej, która była prosta i uporządkowana, nie zaśmiecona marzeniami rodem ze srebrnego ekranu.

- Nie aktor. To jest gość, który włóczy się po miejscach, w jakie nie wybrałby się nikt przy zdrowych zmysłach. - Tim wyczarował uśmiech od ucha do ucha, z którym wyglądał jak bardzo męski mężczyzna z gołęmbim sercem. Wydawał się dumny, że należy do tej samej płci co nieznajomy. - Twardy człowiek, kapujesz. Nie udawany. Zarabia na życie, ryzykując życie. Zawodowy poszukiwacz przygód.

Allison pomyślała o poruszeniu, z jakim mężczyzna wspomniiał swą zmarłą siostrę bliźniaczkę, i jego czulej opiece nad siostrzenicą. To ci twardy człowiek!

- Ho, ho - powiedziała.

- Parę lat temu uratował całą ekipę filmową. Aktorów i resztę. Porwali ich gdzieś w Ameryce Południowej, pamiętasz?

- Nie.

- To była pierwsza wiadomość we wszystkich serwisach. Najęła go dyrekcja wytwórni, bo rząd nie mógł albo nie chciał się do tego mieszać. Znalazł tych ludzi w środku dżungli i wyciągnął stamtąd co do jednego. Od tej pory znają go wszyscy w Hollywood. Pokazuje się

z wieloma aktorkami, takimi gwiazdami jednego sezonu - Tim opowiadał z wyraźną przyjemnością -stąd często jego zdjęcia trafiają do magazynów. Ale podejrzewam, że ty nawet nie patrzysz na nie, czekając w kolejce do kasy. - Dał znak chłopakowi ze szmatą, wiadrem i metalową śmietniczką, żeby wziął się do sprzątanía bałaganu. - Ale większość ludzi patrzy - dodał jakby z wyrzutem.

Cóż miała na to powiedzieć? Czas stania w kolejce zwykle poświęcała rozmyślaniom, w jaki sposób jej klientki mogłyby najlepiej zainwestować pieniądze, a ostatnio także usiłowała im doradzić, w jaki sposób zaspokoić ambicje polityczne. Nie zwracała uwagi na sensacyjne doniesienia o spotkaniu żywego Elvisa Presleya ani przylocie kosmoludków. Tyle że w sklepie spożywczym bywają najróżniejsi ludzie.

- Jak tam kampania? - Tim zmienił temat. - Jeśli chcesz przykleić u mnie kilka plakatów, to zapraszam. Możesz też przyjść pogadać z ludźmi. Cieszy nas, że bierzesz się do wielkiej polityki. U mojej żony stoisz w rankingu zaraz za chlebem, bo kładziesz nacisk na problemy kobiet. Bardzo dokładnie mi wyłożyła, ile zyskamy, jeśli w przyszłym roku zasiądziesz w parlamencie w Cheyenne.

- Miło mi to słyszeć. Pierwszy raz mam do czynienia z kampanią, więc niezupełnie wiem, na czym stoję. - Z zadowoleniem powitała temat, w którym czuła się pewnie. - Ale przypuszczam, że wszystko w porządku. O właśnie, muszę zadzwonić do szefa tego interesu. Podobno czegoś ode mnie chciał. Lecę. Dzięki za propozycję. Bliżej wyborów pewnie skorzystam. Nauczyłam się już dość i wiem, że pod koniec trzeba dodać gazu.

Tim skinął głową.

- W każdym razie zapraszam, pamiętaj.

Baczenie przyglądał się myciu podłogi. Allison zostawiła go, dochodząc do wniosku, że naprawdę powinna się pośpieszyć i nie poddawać skłonności do pogawędek z ludźmi. Nawet jeśli byli przystojni, tajemniczy i niezwykli. No, właśnie...

June wyłoniła się zza regału z wózkiem pełnym zakupów. Na widok Allison jej twarz się rozpromieniła. Widać było, że ma ochotę podjąć przerwana rozmowę i przy okazji dowiedzieć się, jak sławny człowiek potraktował słoiki z galaretką. Bez wątpienia pragnęła również wzbogacić wiedzę Allison na jego temat. Czy jednak warto było się zatrzymać?

Nie. Allison uznała, że musiałaby wysłuchać zbyt wielu dodatkowych informacji, którymi June niechybnie by ją poczęstowała. Mogłoby to potrwać dłuższą chwilę, na którą nie było jej dziś stać.

Skinęła więc kobiecie dłonią, przesłała uroczy uśmiech, po czym odwróciwszy się plecami, pognęła do ogonka przy kasie. Wuj Laurel zainteresował ją, ale nie przesadnie. Zresztą źle go do siebie nastroiła sugestią, że nie umie postępować z małym dzieckiem. Tego żałowała. Powinna była zdobyć się na większą subtelność. Wykładając towary na taśmę przy kasie; przeżyła całą sytuację ponownie.

Pamiętała z dawnych lat, jak bardzo nie znosi krytyki, nawet gdy ktoś występuje z nią w dobrej wierze. Czyż nie zareagowała podobnie jak wuj Laurel, gdy przyjaciele udzielali jej rad wiele lat temu? Trzeba szanować i żalobę człowieka, i jego prawo do popełniania błędów. O tym była przekonana.

Gdy wyszła na parking, mając pod pachami dwie małe torby z zakupami, zobaczyła, że mężczyzna jeszcze nie odjechał i nadal jest w kłopotcie - a właściwie ściągnął na siebie następny kłopot.

Laurel darła się pełną piersią, o co nawet nie można było mieć do niej pretensji. Mężczyzna przytroczył ją pasami do dziwnej, drewnianej maszyny, która z kolei była zamontowana na tylnym siedzeniu okropnie poobijanego samochodu terenowego o wzmocnionej konstrukcji, lecz odkrytego. Laurel wydawała się tam całkiem bezpieczna. Owo krzeselko domowej roboty najprawdopodobniej wytrzymałoby ewentualną kraksę znacznie lepiej niż reszta pojazdu. Niestety, bardzo nie podobało się pasażerce. Allison wiedziała, że powinna przejść obok bez słowa, ale jeep stał w bezpośrednim sąsiedztwie jej samochodu. Nawet gdyby chciała, nie mogła uniknąć spotkania z mężczyzną.

Gdy się zbliżyła, popatrzył w jej stronę.

- Wiem, co pani o tym myśli - powiedział kwaśno. - Ale to tylko prowizorka. Muszę jej kupić normalny fotelik do samochodu - wyjaśnił, jakby się bronił. - Jej rodzice gdzieś mieli, ale nie mogę znaleźć.

Allison zerknęła na Laurel.

- Jest chyba bezpieczna.

- Bezpieczna tak, ale nie szczęśliwa.

- Zdaje się, że nie ona jedna. - Allison usiłowała zachować beztroski ton, choć płacz dziecka rozdzierał jej serce. - Im wcześniej się tego dowie, tym lepiej, prawda?

Jakby zamyślił się przez chwilę nad jej słowami.

- Przepraszam, że burknąłem na panią w sklepie - powiedział, patrząc gdzieś w bok. - Nie miałem prawa tak się zachować. - Poklepał dziewczynkę po głowie. Już nie płakała, tylko cicho pochlipywała. - Przecież pani po prostu chciała mi pomóc. Na pewno wyglądałem jak ktoś, kto bardzo potrzebuje pomocy.

Wydawał się skruszony, nieszczęśliwy i całkowicie przegrany. Allison nie zastanawiała się długo.

- Niech pan pojedzie za mną - zaproponowała, kładąc torby z zakupami na tylnym siedzeniu swego samochodu. - Jak pan ma na imię? Chyba nie mogę mówić do pana „wujku Laurel”.

- He?

Wsiadła do samochodu, zamknęła drzwi i opuściwszy szybę, wystawiła na zewnątrz głowę.

- Pokażę panu drogę do sklepu z artykułami dla dzieci. Jeśli nie ma pan przyzwoitego fotelika do samochodu, to na pewno brakuje panu także wielu innych rzeczy. Możemy wydać część tej setki, którą dał mi pan na pralnię chemiczną. To było stanowczo za dużo.

- Niech pani zatrzyma te pieniądze, proszę. Naprawdę mam ich dość. I nie jest mi potrzebna pomoc. Narobiłem strasznego zamieszania. - Znowu wydawał się zły i przekonany, że musi się bronić. - Radzimy sobie z Laurel sami.

- No tak. Rozumiem. - Allison zabębniła palcami o drzwi samochodu. - Ona idzie w ślady Johna Wayne'a. Wie pan, szeryfie, dziewczynom w tych czasach nie bardzo wypada tak się zachowywać - powiedziała.

Przez chwilę wydawał się jej po prostu wściekły. Ale wreszcie jednak się roześmiał.

- No dobrze. - Wyciągnął do niej rękę. - Powinienem przyjąć pani propozycję. Doradca rzeczywiście mi się przyda. Nie wiem nawet, gdzie jest sklep z rzeczami dla maluchów. A nazywam się Matt. Matt Glass.

Allison uścisnęła mu dłoń. Nazwisko nic jej nie mówiło, nawet w zestawieniu z informacjami od Tima. Dlaczego więc na jego widok ma jakieś niejasne skojarzenie? Dlaczego nadal coś ją niepokoi?

- A ja jestem Allison Ford.

Mężczyzna odwzajemnił uścisk bardzo delikatnie, ale skóra na jego dłoni była tak twarda, że Allison miała wrażenie, jakby dotknęła rozgrzanego drewna. Rozgrzanego dębowego drewna, przez które nie wiadomo czemu biegnie prąd.

- Miło mi, Allison. - Dostrzegła w jego oczach iskrę zainteresowania, natychmiast jednak Laurel znów dała o sobie znać. Zaczęła wiercić się na siedzeniu i pojękiwać zmęczonym głosem. - Oho - powiedział, puszczając dłoń Allison, by odwrócić się z powrotem do dziecka. - Chyba powinniśmy przełożyć zakupy na inny dzień. Ona dzisiaj okropnie marudzi.

- A o której kładzie się spać w ciągu dnia?

- Kładzie się spać? - Patrzył na Allison z wyrazem całkowitego niezrozumienia w oczach. - Och, nie wiem. Bez różnicy. Zwykle zasypia niepostrzeżenie, w czasie gdy...

- Nie ma pan dla niej rozkładu dnia?

- Nie - zaprzeczył z niepokojem. - Nie wiedziałem, że to potrzebne.

- Pierwsza dobra rada w dniu dzisiejszym: rozkład dnia pomaga zapanować nad tym, co się dzieje. - Przekręciła kluczyk w stacyjce. - Niech mi pan wierzy, znam się na tym. - Zobaczyła, że wyraz powątpiewania nie znika z jego twarzy. - I proszę się nie denerwować, nie zamierzam się wtrącać. Zwyczajnie próbuję panu pomóc.

Wsadził ręce do kieszeni i popatrzył na nią dociekliwie.

- Czemu? Czemu miałyby pani chcieć mi pomóc? Jestem przecież całkiem obcym człowiekiem, prawda?

- No, tak.

Zmarszczył czoło.

- Z dobrze poinformowanych źródeł wiem, że bywa pan na pierwszych stronach magazynów eksponowanych w supermarketach, ale nic poza tym. A dlaczego chcę pomóc? Nie mam pojęcia. Może tak mnie wychowano. Może wyczuwam kogoś, kto jedzie na tym samym wózku co ja. Może...

- Może po prostu powie mi pani, gdzie jest ten sklep - przerwał jej, znów chłodno i nieprzyjaźnie. - Jeśli go znajdę, to mogę sam kupić wszystko, czego potrzebuję. - Po chwili dodał jeszcze: - Jestem pewien, że ma pani mnóstwo własnych zajęć.

- W gruncie rzeczy tak.

Położyła dłonie na kierownicy, przypomniawszy sobie telefon od szefa kampanii. Należało jak najszybciej skontaktować się z Nedom, powinna więc istotnie udzielić mężczyźnie wskazówek i ruszyć swoją drogą.

- Musi pan zacząć od sklepu w centrum handlowym East Mountain. - Wskazała dłonią ku szczytowi wzgórza, na którym ciągnęła się jedyna handlowa promenada, jaką dysponowało Linville Springs. Kompleks usytuowano nad urwiskiem, z widokiem na parking przed Safewayem i większą część miasta. - Niech pan tam jedzie jak najszybciej, bo po południu robi się tłok. Dziecko jest zmęczone i rozkapryszone, więc szkoda zdrowia na stanie w kolejce.

Matt Glass zmrużył oczy i spojrzał pod słońce ku szczytowi wzgórza.

- Słowo daję, nigdy nie zauważyłem, że tam coś takiego stoi - wyznał zdumiony i otarł twarz. - Zdaje się, że żyję w jakiejś cholernej mgle. Ciekawe - mruknął jeszcze do siebie.

Allison nie odezwała się. Dobrze wiedziała, o czym mężczyzna mówi. To smutek i niedowierzanie otaczają człowieka czymś w rodzaju mgły. Kiedyś przeżyła to sama.

Laurel, która przysnęła, nagle obudziła się z głośnym wrzaskiem.

- Maaamaaa! Taaataaa!

Matt odwrócił się do siostrzenicy.

- Cicho, kochanie - powiedział uspokajająco. - Jestem tutaj. Już jedziemy do domu. - Zerknął przez ramię. - Dziękuję za informacje, Allison - powiedział. - Pojadę tam przy najbliższej okazji.

- Cieszę się, że mogłam w czymś pomóc. Zwolniła hamulec i wycofała samochód z parkingu. Ten mężczyzna na pewno nie chce pomocy, nawet jeśli wszystko wali mu się na głowę. Kimkolwiek jest,

przyzwyczaił się załatwiać sprawy samodzielnie. Powinna to zrozumieć i uszanować.

Poza tym, gdyby miała wypełniać sobie czas zakupami z atrakcyjnym nieznajomym, to właściwie powinna odłożyć polityczne ambicje na półkę. W tej chwili czas liczył się dla niej bardziej niż pieniądze. Musi zachowywać się egoistycznie, jeśli chce odnieść sukces. Zdaje się, że już jej to mówiono, raz czy dwa.

Tak, na pewno jej to mówiono. A więc trzymaj się tego! - pomyślała z irytacją. Nie oglądając się za siebie, odjechała.

Matt Glass siedział za kierownicą jeepa i przyglądał się, jak samochód Allison maleje na drodze prowadzącej na wzgórze. Dlaczego potraktował ją tak szorstko? Przecież tylko próbowała mu pomóc. Zerknął na Laurel, która tymczasem znowu zasnęła. Na skórze dziecka lśnił pot. Co z niego za idiota! Żeby odrzucić bezinteresowną propozycję pomocy! Z pewnością przydałyby mu się w tej chwili rady kobiety, która zna się na dzieciach.

Nawiasem mówiąc, była to najładniejsza kobieta, jaką widział w tym mieście. Co więcej, niezamężna. Zapomnij o tym! - pomyślał i kwaśno uśmiechnął się do siebie. Natura ciągnie wilka do lasu. Wybij to sobie z głowy, Glass! Jest teraz głową rodziny, ojcem, nawet jeśli tak się to nie nazywa. Wziął na siebie odpowiedzialność i ma obowiązek dawać swej małej podopiecznej dobry przykład. Nie powinien uganiać się za nieco dziwną, choć atrakcyjną kobietą, aczkolwiek to właśnie niewątpliwie w przeszłości by zrobił. Lecz teraz nie, nie wolno.

Dni jego kawalerskich podbojów się skończyły. Wrzucił bieg i zanim wyprowadził jeepa z parkingu, raz jeszcze zerknął na Laurel. Nadal smacznie spała - niewiniątko z galaretką rozsmarowaną na rączkach i spoconej buzi. Matt doznał dziwnego uczucia, które musiało być ojcowską troską o to małe stworzenie.

Co za niespodzianka, pomyślał, kierując samochód ku domowi. On, Matt Glass, rezygnuje ze spędzenia czasu z ładną kobietą i jedzie do domu w towarzystwie małego dziecka. Jasne, że wciąż nie może się otrząsnąć po śmierci siostry. Wciąż tli się w nim gniew z powodu wypadku, który odebrał jej życie. Ale, o dziwo, już dawno nie czuł się taki radosny. Ogłupiały jak jasna cholera, ale radosny! Może nawet... zadowolony? Co za niespodzianka...

Z garażu Allison przeszła do kuchni, pchnąwszy biodrem drzwi. Ręce miała zajęte zakupami. Natychmiast pojawiła się przy niej pudliczka Fred, a za nią przywędrowały koty: Tom, Dick i Harry. Ich miękki, powolny krok zdradzał, że jak zwykle witają jej powrót z ulgą i oczekują arbitrażu w narastającym konflikcie z Fred. Allison postawiła torby na stole i przyklękła, by rozdzielić wyrazy miłości.

Fred przetoczyła się na grzbiet i wystawiła brzuch do pieścizot. Koty po kolei leniwie ocierały się o jej nogi, domagając się drapania za uchem. Allison czule przemawiała do całego zwierzyńca. Wbrew imionom były to trzy kocice i suka. Kocice, jak to one, odeszły natychmiast, gdy tylko upewniły się, że pani wróciła i nadal je darzy uczuciem. Co innego Fred, która została, by sprawdzić, jakie smakołyki znajdzie w torbach zjedzeniem.

- Dla ciebie nic dzisiaj nie przyniosłam, panienko - powiedziała Allison. - Masz mnóstwo herbatników. Wiem, bo sprawdziłam. Potem wezmę cię na spacer, a jak grzecznie zrobisz, co do ciebie należy, to możemy porozmawiać o nagrodzie. Rozumiemy się?

Fred zamachała ogonkiem i poszła położyć się w plamie słonecznego światła wpadającego przez okno.

Allison wyjęła z toreb jedzenie, po czym zeszła na dół do pralni. Ściągnęła z siebie lepką, brudną bluzkę i włożyła ją do pralki. W stercie czystych ubrań znalazła starą, bawełnianą koszulkę i szybko ją włożyła. Potem, minąwszy pralkę i suszarkę, przeszła do tej części

gospodarczego pomieszczenia, która stanowiła jej prywatne i bardzo osobiste królestwo. I gabinet, ten prawdziwy.

Z klientkami spotykała się i rozmawiała o finansach na górze, w zaadaptowanej do tego celu małej sypialni, ale ciężką pracę umysłową wykonywała na dole, w odległych zakamarkach domu, gdzie nie było okna ani widoku za oknem, gdzie nic nie odciągało jej myśli od problemu, który musiała rozwiązać. Włączyła górne oświetlenie i podeszła do biurka.

Na stosie papierzyk leżał plakat, który informował, że Allison Ford staje do walki o mandat poselski. Znad hasła uśmiechała się do niej jej własna, czarno- biała twarz Allison dotknęła fotografii i też się uśmiechnęła. Chyba oszalała, decydując się na kandydowanie, ale z drugiej strony, gdyby tego nie zrobiła, byłoby to nie mniejszym szaleństwem. Istniejące partie polityczne w znikomym stopniu poruszały problemy nurtujące jej przyjaciółki i klientki, podobnie nie interesowało to większości mężczyzn biorących udział w wyborach. Potrzebne było mocne uderzenie niezależnego kandydata, takiego jak właśnie ona. W jej okręgu ubiegano się o dziewięć mandatów. Zamierzała zdobyć jeden z nich. Miała mnóstwo zapału, chciała wystartować, zwyciężyć i służyć ludziom. Bliźnięta były już dostatecznie duże, żeby pogodzić się z czasową nieobecnością mamy w domu. Podniosła plakat i odłożyła na bok. Należało popracować.

Zaczęła od telefonu do szefa kampanii. Ciekawe, co Nedowi wydaje się takie bardzo pilne. Nie było go w biurze, więc zostawiła wiadomość na automatycznej sekretarce. To dziwne, pomyślała. Drugi raz tego dnia bez skutku próbuje się do niego dodzwonić. Rano, gdy

słuchała informacji z taśmy, sprawiał wrażenie bardzo czymś przejętego. Ponieważ jednak zgodnie z harmonogramem dnia wstawiała o świcie i zaraz potem wybierała się na krótki bieg, każdy, kto telefonował do niej przed siódmą rano, musiał poprzestać na nagraniu wiadomości.

Przejrzała pocztę i odnotowała z pewną satysfakcją, że już przychodzą zachęcające listy. Zaczął również płynąć strumyczek pieniędzy. Nikły, ale wystarczający, żeby budzić nadzieje. Nawet niewielka kampania wiąże się obecnie z dużymi wydatkami; najgorzej, jeśli koszty trzeba pokrywać z własnej kieszeni. Allison wiedziała, że jeśli nie otrzyma poważniejszego wsparcia, znajdzie się w kłopotach.

Jej budżet domowy zawsze był bardzo napięty, zwłaszcza że bliźnięta miały coraz większe potrzeby. Jadły tak, jakby wkrótce miało zabraknąć jedzenia, a z ubrań wyrastały w niepokojącym tempie. Mogła zaryzykować i sięgnąć do specjalnych funduszy, które odłożyła na kształcenie dzieci i na nieprzewidziane wydatki, ale coś ją przed tym powstrzymywało. Obiecała sobie już na początku kampanii, że zrobi to tylko w ostateczności.

Na razie było jeszcze wczesnie. Niewielu ludzi myśli w czerwcu o listopadowych wyborach do parlamentu stanowego, szczególnie w roku, w którym nie ma wyborów prezydenckich. Ruch zacznie się w sierpniu, nasili we wrześniu, a prawdziwa gorączka zapanuje w październiku. A w listopadzie, wóz albo przewóz, będzie po wszystkim.

Pracowała już wcześniej tego dnia, komputer stał więc włączony. Poświęciła parę minut na zaksięgowanie czeków i włożenie ich do koperty, żeby przekazać je Nedowi na finansowanie kampanii. Sumienne rejestrowanie dochodów i wydatków weszło jej w krew, odkąd dziesięć lat temu musiała przetrwać prawdziwy krach finansowy. Ech, lepiej o tym nie myśleć, uznała i przeszła do budżetu domowego.

Nie wyglądał dobrze. Wiedziała, że jeśli wkrótce nie zdobędzie funduszy na kampanię, będzie musiała uszczuplić domowe oszczędności, naruszając granicę bezpieczeństwa. Zmarszczyła czoło i odepchnęła krzesło od biurka. Potrzebuje rady i pomocy. Musi istnieć sposób na natychmiastowe zwiększenie wpływów. Ned na pewno niedługo się odezwie. Gdyby miał jakieś dobre nowiny, można by z nich skorzystać.

Wstała i poszła na górę, usiłując się nie denerwować, ale dłonie miała wilgotne od potu, a jej żołądek wyczyniał dziwne harce. Tak zwykle reagowała na kłopoty finansowe. Nie mogła tego zmienić, ale na szczęście mogła nad tym zapanować.

- Fred! - zawołała. - Idziemy na spacer? - Szary piesek zjawił się w podskokach, kręcąc ogonkiem w oczekiwaniu na to radosne wydarzenie.

Długa przechadzka uspokoiła ją. Fred skrupulatnie załatwiła swoje sprawy, a resztę czasu poświęciła badaniu osobliwości natury wokół ścieżki, którą szła ze swą panią. Dzień nie był upalny, mimo że Allison wyraźnie czuła, jak grzeją ją promienie słońca. Prawdziwych upałów należy się spodziewać dopiero pod koniec miesiąca, ale nawet

wtedy wieczór przynosi miły chłód. Pustynny klimat wyżyn Wyoming karał surową zimą, ale przez większą część lata był bardzo przyjemny.

Po powrocie do domu miała zdecydowanie więcej energii. Aż do chwili, gdy odtworzyła wiadomości z automatycznej sekretarki.

Tego wieczoru Matt Glass siedział okrakiem na kuchennym krześle i karmił Laurel. A właściwie toczył bitwę, przy której błądy wszelkie podobne sceny ze slapstickowych komedii. Efektem tej bitwy były wrzask i niesłychany wprost śmietnik. Laurel to uwielbiała. Zresztą Matt doszedł do takiego stanu, że sam często nieźle się tym bawił.

Było tak jednak pod warunkiem, że pamiętał o właściwym wyposażeniu, to znaczy włożeniu starego dresu i czepka kąpielowego. Inaczej kończyło się tym, że oprócz pucowania swojego aniołka trzy razy dziennie tyle samo razy sam musiał brać kąpiel. Tego wieczoru jednakże aniołek był stosunkowo czysty.

- Może na dziś zadowolisz się przedstawieniem w sklepie - mruknął Matt, zdrapując kawałek ziemniaka z poręczy wysokiego krzesła. - Ta galaretka ze szkłem stanowczo wystarczy jak na jeden dzień.

- Gajajetka! - wykrzyknęła Laurel. - Maaamaaa! Matt nie odpowiedział. Fatalnie się stało, że Laurel na dobre skojarzyła tę urodziwą blondynkę ze swoją matką. Wiedział jednak, że gdyby zaczął wyprowadzać dziecko z błędu, tylko pogorszyłby sprawę. Wziął więc ściereczkę i delikatnie wytarł małej buzię.

- Maaama - powtórzyła Laurel, ściągając małe brwi.

Zdobył się na wymuszony uśmiech.

- Weinaj groszek, kochanie. Jak wszystko zmiecesz, to dostaniesz ciasteczko. Dobra?

Siostrzenica spojrzała na niego. Miał wrażenie, że widzi zębate kółeczka obracające się gdzieś za jej gałkami ocznymi.

- Gjosiek nie - powiedziała z groźną miną. -Ciastečko!

Westchnął, wziął łyżeczkę i zaczął dziewczynkę karmić. Bitwa osiągnęła punkt kulminacyjny. Musi być jakiś łatwiejszy sposób, pomyślał. Po prostu musi! Kobiety na pewno nie robiłyby tego od tysiącleci, gdyby nie znały skutecznego sposobu. No, chyba nie. Żałował, że nie zna takiej, którą mógłby o to spytać.

Znów westchnął, bardzo już znużony. W życiu forsował rzeki, przemierzał pustynie, wspinał się na szczyty, ale wszystko to było niczym w porównaniu z wyzwaniem, jakie rzuciła mu ta osóbka. Zanim słońce zniknęło tego wieczoru za horyzontem, zarówno Matt Glass, jak i Laurel Essex smacznie już spali. Nie wiadomo, które z nich było bardziej zmęczone.

- Nie wierzę, że mógł mi coś takiego zrobić! - jęknęła Allison. Ignorując stojący obok kufel piwa, położyła głowę na blacie z ciemnego drewna, używając ramion jako poduszki. - Nie wierzę.

Przez chwilę popijali piwo w milczeniu. Siedzieli w spokojnym, czystym barku stanowiącym dla okolicznych mieszkańców miejsce, gdzie zalewało się robaka. Panował tam półmrok i można było dyskretnie porozmawiać. Allison, po usłyszeniu z taśmy, że szef kampanii nie tylko rezygnuje z pracy, lecz w dodatku przechodzi do obozu jej głównej rywalki, Rity Morely, zadzwoniła do M.J. Ten uznał, że potrzeba jej nie tylko współczującego słuchacza, lecz

również kogoś, kto pomoże zrewidować poglądy. Zaprosił ją więc na spotkanie w Shady's Spot.

- Uwierz, kuzynko, nie masz innego wyjścia. -M.J. Nichols pocieszająco poklepał ją po dłoni i uniósł kufel piwa, po czym przełknął duży haust. - Trafiłaś na zdraдлиwego gada. Żeby w ten sposób zerwać umowę! Pokazał, dla kogo naprawdę gra. Nawiasem mówiąc, zawsze był człowiekiem Rity, w każdym razie regularnie bywał u niej na przyjęciach. Właściwie to lepiej, że będziesz bez niego, skoro masz startować jako niezależna.

- Może i tak. - Allison usiadła prosto. - Ale odejście Neda ściąga na mnie mnóstwo kłopotów. Sam zresztą o tym wiesz, bo inaczej nie wyciągnąłbyś mnie na piwo, ty złotousty skubańcu. Chcesz, żebym na chwilę zapomniała o tych kłopotach, przyznaj się.

- Nie obrażaj mnie, kuzynko. - Kiedy się uśmiechał, poruszały się wszystkie mięśnie jego okrągłej, ładnej twarzy. Przyczesał dłonią rzednące, ciemne włosy. - Jestem jednym z niewielu radców prawnych do twojej dyspozycji, którym możesz bez zastrzeżeń zaufać.

- Niech cię diabli - odburknęła już nieco pogodniej. - Lepiej powiedz, co pan radca radzi.

Kuzyn spoważniał.

- Wiesz, Allie, naprawdę wpadłaś w tarapaty. Nie będę owijał w bawełnę. Większość kandydatów już się zdeklarowała i ma szefów kampanii, nawet jeśli oficjalnie o tym nie słyhać. Zostało na rynku niewielu ludzi mających jakiegokolwiek doświadczenie.

- W dodatku Ned przeszedł do obozu wroga. -Znów jęknęła. - Co ja mu zawiniłam, że to zrobił? Czy Rita jest absolutnym

pewniakiem? I czy powinnam się wycofać, zanim wpadnę po uszy w długi?

M.J. przyjrzał jej się z uwagą. Allison była jego jedyną krewną w Luwille Springs. Trzymali z sobą jak rodzeństwo. Od wielu lat zwierzali się i pomagali sobie w złych i dobrych czasach. Tego wieczoru jednak M.J. nie wiedział, co powiedzieć.

- Zajmę się twoją kampanią osobiście... - zaczął.

- Nie. To już przerobiliśmy, M.J. Twoją specjalnością jest adwokatura, a nie tworzenie publicznego wizerunku kandydata. Muszę znaleźć kogoś, kto zna polityczne powiązania, wie, za jakie sznurki pociągać i uzna nadzieje na przyszłość za wystarczające honorarium. Inaczej Rita Morely zrobi ze mnie miazgę. Nie chcę wystawić się na pośmiewisko i nie mam ochoty przegrać; zdecydowanej porażki w ogóle nie biorę pod uwagę.

- Nie mów o przegrywaniu. Rita ma mózg jak wiewiórka ziemna. Nasz okręg potrzebuje w parlamencie ciebie, a nie jej. Ona może i ma poparcie partii, ale nie byłaby właściwą osobą na właściwym miejscu. Startuje po prostu dlatego, że rodzina Morely tradycyjnie sprawuje różne urzędy.

- Mogłaby ubiegać się o stanowisko hycła miejskiego.

- Bądź grzeczna, Allie.

Allison skrzywiła się i zmieniła temat.

- Spotkałam dzisiaj interesującego faceta. W supermarkecie. Zupełnie niepodobny do typowego ojca rodziny. I bardzo przystojny.

Przerwała, zastanawiając się, czy powinna powtórzyć plotkę, którą usłyszała o tym człowieku. Ale M.J. nie zwrócił większej uwagi na to wyznanie i skupił się na jej problemie.

- Czy myślałaś o Joshu Hendersonie? - spytał.

- O Joshu? - zdziwiła się. - Po co mi on?

- Do roboty. Nie jest to najbardziej błyskotliwy facet w mieście, ale w swoim czasie prowadził całkiem poważne kampanie. Nie potrzebuje pieniędzy, więc być może zadowolony się obietnicą jakichś apanaży w razie wygranej.

- Zastanawiałam się nad nim na samym początku. Dwa razy z rzędu startował na szeryfa i dwa razy mu się nie udało. Nie mam ochoty zabierać się w drogę z przegranym facetem. To źle wróży. Poza tym nie sądzę, żeby on chciał wspomóc niezależnego kandydata. Zawsze pracował tylko dla ludzi wspieranych przez partie.

- Masz rację, ale może będziesz musiała nieco zmienić swoje oblicze. Wiesz, jak to jest. - M.J. przesunął kufel po stole, zostawiając na blacie mokre kółka. - Słyszałem jeszcze o jakimś gościu z Kalifornii. Moja koleżanka, która zajmuje się nieruchomościami, mówiła o nim, że ma jakieś doświadczenia w prowadzeniu kampanii politycznych. Powiedziała mi to, wiedząc o naszym pokrewieństwie. Podobno gość jest dobry.

- Jeśli lubi pieniądze, to nie najmie się za dziękuję. A pewnie lubi, skoro mieszka w Kalifornii. Zresztą nie chcę zatrudniać człowieka spoza stanu. Wiesz dobrze, czym się to kończy w miejscowym świątku interesów.

Ten, kto sprowadza kogoś z zewnątrz, natychmiast ma krechę.

- Ja powiedziałem tylko, że on pochodzi z Kalifornii. Teraz mieszka tutaj. W każdym razie tu ma posiadłość, jeśli dobrze sobie przypominam.

- Aha.

- Więcej o nim nie wiem, ale nie zaszkodzi, jeśli zadzwonisz do niego i porozmawiasz.

- Chyba nie.

M.J. wziął ze stołu serwetkę i nabazgrał na niej kilka linijek.

- Masz tu jego nazwisko. I dane Josha, i kilku innych. Spróbuj pogadać ze wszystkimi.

- Dzięki. - Wsunęła serwetkę do torebki. - Naprawdę bardzo ci jestem wdzięczna. Także za piwo.

- Dzieciaki mają się dobrze?

- Jasne. Uwielbiają ranczo. Czasem wydaje mi się, że oszalałam, nie wracając do rodziców. Tkwić tu samotnie i orać? Chyba naprawdę powinnam iść do psychiatry.

- I to mówi zwycięska kobieta, zahartowana w bojach? Daj spokój. To nie ty. Kobieta interesu, która jednym susem przeskakuje wielkie kolumny liczb, miałyby się poddać i wrócić do tatusia i mamusi?

- Bo widzisz, M.J., nawet my, te wyjątkowo silne kobiety, bywamy czasem diabelnie zmęczone zwyciężaniem. - Westchnęła. - Jak mężczyźni mogą to robić od tylu lat bez załamania? - Uśmiechnęła się szeroko. - Może przydałaby mi się żona?

- Zabawne. - M.J. dopił piwo. - Ja też nie mam żony, a mimo to dobrze sobie radzę. No, trochę wzięłaś się w kupę. A ja mam jutro sprawę w sądzie. Zostajesz?

Położył na stoliku pieniądze, doliczywszy do rachunku szczodry napiwek.

- Nie - odparła. - Mogę równie dobrze połązić po domu. Zresztą muszę wziąć Fred na spacer.

- Traktujesz tego diabelnego psa, jakby był dzieckiem.

- Nawet lepiej. Fred nie musi dorosnąć do stawienia czoła zimnemu, okrutnemu światu. Fred i koty mogą bezpiecznie rozpaskudzać. Sally i Sama nie mam odwagi. Dla ich własnego dobra.

M.J. wstał.

- Mądra z ciebie kobieta, Al. Znajdziesz nowego szefa kampanii i wygrasz ten wyścig. Dasz Ricie Morely solidnego kopa w jej arystokratyczny tyłek. -Uściskał Allison. - A któregoś dnia będę kuzynem pani gubernator wspaniałego stanu Wyoming.

- W twoich marzeniach, M.J. W twoich marzeniach!

Następnego rana Allison zbudziła się wcześnie. Po porannym biegu wzięła prysznic, nakarmiła domowy zwierzyniec, zjadła śniadanie i wreszcie zeszła do piwnicy, by zająć się swym najważniejszym problemem.

Swym marzeniem.

Pokpiwała z M.J., że pokrewieństwo z gubernatorem stanu tylko mu się marzy, ale w istocie miała szczerą ambicję sięgnąć kiedyś po ten najwyższy urząd stanowy. Jej program najłatwiej byłoby urzeczywistnić, sprawując nad nim kontrolę właśnie z tego fotela.

Ale to kiedyś, w przyszłości. Tymczasem musiała po prostu znaleźć nowego szefa kampanii. Nie dałaby rady sumiennie wykonywać swojej pracy, zajmować się dziećmi, startować w wyborach i do tego jeszcze prowadzić własnej kampanii. Przecież jest tylko człowiekiem. Stanowczo należy kogoś zatrudnić.

Przez dobrą godzinę telefonowała do różnych osób z własnej listy. Wszyscy okazywali jej współczucie, ale nikt nie chciał wziąć na siebie odpowiedzialności za wynik politycznej rywalizacji. Poza granicami miasta prawie nikt Allison nie znał. Wprawdzie przez trzy lata pracowała w zarządzie szkoły i kończyła kadencję w zastępstwie chorego członka rady miejskiej, ale nie zyskała tym famy potrzebnej do ubiegania się o mandat poselski. Pewien były polityk powiedział jej to wprost i poradził, żeby nadal zajmowała się spokojnie swoją robotą i wychowywaniem dzieci. Odłożyła słuchawkę, kipiąc wprost ze złości. Czuła głębokie rozczarowanie.

W końcu zadzwoniła do Josha Hendersona.

- Hm, jak by tu powiedzieć, pani Ford - wycedził. - Nie wiem. Naprawdę nie wiem. Musiałbym się trochę zastanowić, pani rozumie.

- Dobrze, Josh. Wiem, że jest mało czasu. Liczyłam na Neda do samego listopada, ale...

- No, wie pani, Ned ma własne ambicje polityczne. Przejęcie kampanii pani Morely jest logicznym krokiem.

- Za to nie wystawia najlepszego świadectwa jego uczciwości.

- Może i tak, ale...

- Niech pan posłucha, Josh. Proszę się zastanowić nad moją propozycją i dać mi odpowiedź, powiedzmy, dziś wieczorem. Mnie się naprawdę spieszy. Muszę pchnąć sprawy na właściwy tor.

- Święta prawda. - Nastąpiła pauza. - Zgoda. Zadzwoń do pani wieczorem.

Allison podziękowała mu i odłożyła słuchawkę. Sympatyczny facet, pomyślała. Sympatyczny i uprzejmy, ale brakuje mu dynamiki. Ma dostęp do majątku rodzinnego i skończył geologię, dzięki czemu otworzył małą firmę zajmującą się doradztwem. Podobno jednak pracował tylko wtedy, gdy naprawdę musiał. Prawdopodobnie był bardzo inteligentny, ale przy tym tak samo leniwy. Trochę ją to martwiło, gdy rozważała jego ewentualny związek z jej polityczną karierą. Była pewna, że Josh może okazać się pomocny, ale fajerwerków z nim nie będzie. Tymczasem jej potrzebne były właśnie fajerwerki. Może więc...

Wzięła serwetkę, na której M.J. nabazgrał jej poprzedniego wieczoru kilka nazwisk. Trudno było odczytać jego charakter pisma, szczególnie nazwisko tego faceta z Kalifornii. Glore, Blae, Gla...

Glass. Otworzyła książkę telefoniczną. W dziale abonentów prywatnych znalazła dwie osoby o tym nazwisku. Zadzwoiła do pierwszej - nikt się nie zgłosił. Drugi telefon odebrała żona. Powiedziała, że mąż jest mechanikiem samochodowym i w ogóle nie interesuje się polityką.

Allison odłożyła słuchawkę i usiadła zamyślona. Kogo, u diabła, M.J. miał na myśli? Nagle ją olśniło.

Matt Glass. Oczywiście! Facet z supermarketu. A jeśli tak, to znała osobę, która może wiedzieć co trzeba. Wykreśliła numer June Watson. June czytuje magazyny i na pewno poda jej wszystkie niezbędne informacje.

Matt zdołał chwycić jednocześnie Laurel i słuchawkę telefonu. Mała właśnie zamierzała zbadać zawartość dzbanka z lemoniadą, przewracając naczynie na podłogę. Katastrofie udało się zapobiec w ostatniej chwili. Zawiedziona Laurel piszczała, zwisając z ramienia Mattowi, który łupnął się słuchawką w skroń.

- Tak, słucham! - warknął do mikrofonu.

- Czy pan Glass?

- Tak. Proszę głośno mówić. Prawie nic nie słyszę. - Usiadł na podłodze, usiłując utrzymać i uspokoić awanturujące się dziecko, a zarazem usłyszeć cokolwiek przez telefon. W słuchawce rozległ się kobiecy, lekko modulowany głos. Całkiem seksowny.

- Nawet wiem dlaczego - powiedział głos. - Czy Laurel dobrze się miewa?

Nie, nie seksowny. Sarkastyczny.

- Bardzo dobrze, tylko krzyczy. Kto mówi? Jeśli to nic pilnego, może zadzwonię za chwilę. Akurat jestem w trudnej sytuacji.

- Oczywiście. Mówi Allison Ford. Poznaliśmy się wczoraj w sklepie przy słoikach z galaretką. Mój numer jest w książce telefonicznej. Niech pan zadzwoni, jak pan będzie mógł.

- W sklepie?

- No tak, w Safewayu...

- To ja miałam galaretkę na bluzce. Chciałabym z panem porozmawiać na temat mojej kampanii politycznej. Potrzebuję pomocy. Proszę zadzwonić, dobrze? Nazywam się Allison Ford.

Połączenie zostało przerwane.

Matt siedział, wpatrując się w słuchawkę. No tak, dobrze pamiętał. Taką kobietę trudno zapomnieć. Sięgnął po ołówek i notes, zapisał imię i nazwisko. Allison... Ford. Jak samochód. Uważnie przyjrzał się nazwisku, rozmyślając nad słowami kobiety. Puszczenie wodzy fantazji okazało się poważnym błędem.

Zadumawszy się, pozwolił Laurel wypełznąć na swobodę. W chwilę potem na głowę poleciał mu dzbanek i zimna, słodka, lepka lemoniada chlusnęła na ramiona. Matt krzyknął zaskoczony, zaraz jednak parsknął śmiechem w poczuciu całkowitej bezsilności. Laurel chichocząc wdrapała mu się na kolana. Objął ją mokrymi ramionami.

- Poddaję się - oświadczył. - Gotowa do następnej kąpieli? Zdaje się, że powinienem zapewnić sobie stałe dostawy mydła.

- Tjatja - zaszczebiotała Laurel.

Mattowi setny raz tego szalonego dnia zmiękło serce.

Allison stała chwilę przy drzwiach i wpatrywała się w przycisk dzwonka. Mniej więcej przed półgodziną Matt Glass zadzwonił do niej i poprosił, żeby przyszła. Mieszkał w domu, który należał przedtem do rodziców Laurel, Marthy i Johna Essexów. W gruncie rzeczy był to właściwie dwór, masywna konstrukcja z kamieni i drewna. John Essex z dużym powodzeniem prowadził w okolicy interesy w przemyśle wydobywczym, a zanim ceny spadły na łeb na szyję, zdołał zainwestować pieniądze dostatecznie trafnie, by uchronić

rodzinę przed ciężkimi czasami. Niestety, to zabezpieczenie nie wystarczyło, by zapobiec katastrofie prywatnego samolotu, w której zginął wraz z żoną przed kilkoma miesiącami.

Dzięki informacjom od June Allison dokładnie przypomniała sobie to wydarzenie. Już wiedziała, dlaczego coś jej się z Mattem kojarzyło. Nie chodziło o niego, lecz o dziecko. Słyszała o tragedii Essexów i bardzo współczuła małej sierocie. Dobrze wiedziała, jak czuje się człowiek, który został sam, zalękniony i przegrany. A przecież była dorosła, gdy ją to spotkało... Aż trudno jej było sobie wyobrazić cierpienie i poczucie zagubienia, które musiały spaść na to dziecko.

W każdym razie obecnie Laurel z pewnością nie jest już sama na świecie. Chociaż zdaniem sędziego, co Allison usłyszała przez telefon godzinę temu, dziecko żyło w warunkach dalekich od stabilności. Zadzwoiła do drzwi.

Matt Glass otworzył jej prawie natychmiast.

- Cześć - powiedział z szerokim uśmiechem. - Niech pani wejdzie, pani Ford. Cieszę się, że panią widzę. Proszę zachowywać się w miarę możliwości cicho. Laurel wreszcie zasnęła. Mieliśmy tutaj drobny wypadek.

- Nic jej się nie stało?

- Ona jest niezniszczalna. - Zamknął wielkie drzwi. - Niestety, nie mogę powiedzieć tego samego o sobie ani o domu.

Allison zwróciła uwagę na jego włosy. Były wilgotne, jakby właśnie wyszedł spod prysznic.

- Ona wciąż wymyśla nowe zajęcia, co?

- To delikatnie powiedziane. Zapraszam do mojego ulubionego kąta. Chce pani kawy? Maszynka stoi na lodówce. W ten sposób...

- ...Może pan się napić kawy w każdej chwili, natomiast Laurel nie może - roześmiała się Allison. - Pamiętam, jak to było!

- A pani ma dwójkę. - Spojrzał na nią z podziwem. - I wciąż jeszcze chodzi pani po świecie zdrowa na umyśle.

- To się da zrobić.

Poszła za nim do gabinetu. Pokój, w którym się znalazła, pasował do luksusowego, komfortowego wnętrza domu. Drewniana boazeria lśniła ciepłym blaskiem. Fotele i kanapa były obite skórą. Stało tam też dębowe biurko. Na ścianach wisiały angielskie grafiki, przedstawiające sceny myśliwskie. Allison wybrała fotel i usiadła.

- Wystarczy wiedzieć jak.

- Właśnie. - Matt Glass poskrobał się po karku i usiadł na drugim fotelu. - Pewnie jeszcze się nie nauczyłem opieki nad dzieckiem. - Przetarł oczy. Jest dopiero trzecia po południu, a on już ma dość.

- Ale za to umie pan prowadzić kampanie polityczne.

- Tak. Trochę.

Allison uważnie mu się przyjrzała. Wyglądał tak, jakby z konieczności włożył na siebie resztki z szafy. Przy pomiętej koszuli brakowało guzika, kieszeń była rozdarta. Spodnie prawdopodobnie od dawna nie miały kontaktu z żelazkiem, a on sam był bosy i nie ogolony.

Z wilgotnymi włosami, świeżym zarostem i w wymiętych łąkach znacznie bardziej przypominał poszukiwacza przygód, jak o

nim mówiono, niż ojca zdobywającego pierwsze doświadczenia lub menedżera zajmującego się polityką. Odwróciła głowę i spróbowała wyobrazić go sobie w eleganckim garniturze, jak prowadzi cywilizowaną kampanię polityczną... Niewykonalne.

- Powiedział mi o panu przyjaciel - oświadczyła, otwierając notes. - Z tego, co mówił, wynika, że prowadził pan kilka kampanii w Kalifornii.

- Dla przyjaciół ubiegających się o drobne urzędy. Tylko na poziomie okręgu. Nie uważam się za zawodowego menedżera.

- Ale pańscy podopieczni wygrali.

- Tak. - Założył nogę na nogę, wyraźnie nie zwracając uwagi na bosc stopy. Splótł dłonie, podsunął je sobie pod brodę i przeszył ją wzrokiem.

- Jest pan przesadnie skromny, panie Glass. Sprawdziłam. - Allison zerknęła do notatek. Jego spojrzenie nieco wytrącało ją z równowagi. - Według moich źródeł pana kandydatka wygrała przeciwko urzędującemu szeryfowi, w dodatku w okręgu, gdzie jej partia miała zdecydowanie słabsze wpływy. Pański...

- Jakich źródeł? - Zetknął dwa palce wskazujące i przesłonił nimi wargi. W języku ciała znaczyło to ostrożność.

- Będzie pan dla mnie pracował?

- Nie. Nie mogę.

- Wobec tego ujawnię panu, kto to powiedział. - Wstała. -

Prawdę mówiąc, nie jestem szczególnie zaskoczona pańską odmową. Jest pan tu nowym człowiekiem. Ma pan na pewno mnóstwo roboty z Laurel i...

- Niech pani usiądzie. - Zetkniętymi palcami wskazał fotel. -
Proszę.

Allison nie opierała się.

- Pani jest bardzo atrakcyjną kobietą. - Znow przyjął swobodną pozycję. - Do tego inteligentną i szybko podejmującą decyzje. Jeśli potrafi pani wypełniać instrukcje tak samo dobrze, jak wszystko inne, to łatwo byłoby panią prowadzić.

Allison poczuła, że się rumieni, ale nie powiedziała ani słowa.

- Nie mogę przyjąć pani propozycji, choć bardzo tego żałuję. Ale bardziej bym zaszkodził, niż pomógł. Tak jak pani mówi, nie znam tego terenu. A poza tym naprawdę nie wiem, ile czasu zabawimy tu z Laurel. Bo widzi pani...

- Pan zamierza wyjechać? - Poczula niesamowite rozczarowanie.

- No, tak. Pan rzeczywiście nie jest tu u siebie. Przypuszczam, że...

- To jest dom Laurel. Ja mam dom i pracę w Kalifornii.

Prowadzę firmę turystyczną Glass Attacks Ltd. Wyprawy dla ludzi, którzy marzą o szkole przetrwania. Naturalnie przed przyjazdem tutaj przekazałem wszystkie sprawy personelowi. Nie miałem pojęcia, jaką sytuację zastanę i jak długo będę tu musiał zostać. Ale na stałe mieszkam w Kalifornii. Przeniecę się tam z Laurel, gdy tylko uznam, że do tego dojrzała.

Ostatnie słowa wypowiedział bardzo dobitnie, najwyraźniej zamierzając to wyraźnie uzmysłwić zarówno sobie, jak i Allison.

- Jak ona to znosi? - Allison pochyliła się ku niemu. - Jest mała, ale to musi być dla niej dziwne, że nagle... no, wie pan...

- Wiem. - Wstał i podszedł do biurka. - Miała tu wszystko i w jednej chwili wszystko straciła. - Uderzył pięścią w blat. - Wypadek! Dlaczego?

- Na to nie ma odpowiedzi.

Skulił ramiona.

- Nie ma. Sama pani wie. Czy pani mąż też zginął w wypadku? Allison zawahała się.

- Nie... nie wiem.

Odwrócił się i popatrzył na nią. Nie pytał jednak dalej.

- Chciałbym jakoś pomóc, pani Ford. Szkoda. Było to bardzo wieloznaczne.

- Niech się pan nie przejmuj. Zanim przyszedłem do pana, rozmawiałam z tutejszym specem..Nie jest to człowiek wielkiego formatu, ale myślę, że się zgodzi.

- No, wobec tego...

Wykonał gest zamykający sprawę. Allison wstała.

- Niech panu się tylko nie zdaje, że przyszedłem tu, mając już zatrudnionego człowieka.

- Wcale nie myślałem...

Uniosła dłoń.

- Josh Henderson nie jest idealnym kandydatem na to stanowisko. Chciałam usłyszeć, co pan miałby do powiedzenia. Dziękuję, że poświęcił mi pan trochę czasu. Przepraszam za kłopot.

- Wcale nie...

- Lepiej pójdę już do domu. Josh obiecał zadzwonić wieczorem z odpowiedzią. Powodzenia, panie Glass.

Zamknęła notes i włożyła torebkę pod pachę.

- Dziękuję. - Zrobił krok w jej stronę. - I niech pani mówi do mnie Matt. Nawet mój ojciec nie mówił do mnie „panie Glass”.

- A ja jestem Allie. - Roześmiała się, słysząc jak nerwowo i niezręcznie to zabrzmiało. - „Pani Ford” to prawie limuzyna.

Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Słowo daję, że w niczym nie przypomina pani samochodu.

- Dziękuję, bo to chyba był komplement. - Kompletnie nie wiedziała, co ma powiedzieć. Musiała jak najszybciej wyjść, a chciała zostać. On tymczasem stał i nie spuszczał z niej wzroku. Nie ułatwiał jej decyzji. - Ale, ale, kupił pan fotelik do samochodu? - spytała.

- Znalazłem stary. Był w garażu.

- O, to dobrze.

- Mimo wszystko dziękuję za wiadomość o sklepie. Będę tam czasem zaglądał.

Zmusiła się do spojrzenia na zegarek.

- Lepiej już pójdę.

- Odprowadzę panią do drzwi.

- To piękny dom - powiedziała, gdy stanęli w holu. - Rozumiem, że zbudował go mąż pana siostry.

- Tak. Ale po przenosinach z Laurel do Kalifornii będę próbował go sprzedać. Czuję się nieswojo wśród ich rzeczy. Jakbym był gościem. Zresztą ten dom jest o wiele za duży dla dwóch osób.

- Chyba rzeczywiście. Gdybym miała pieniądze, może nawet chciałabym go kupić. - Przystanąła przy drzwiach i uśmiechnęła się

do niego. - Mój dom świetnie starcza dla mnie, ale kiedy dzieci są w domu, wydaje mi się za ciasny. A jest przecież jeszcze reszta rodziny.

- Kto...?

- Mam psa i kilka kotów. Też są rodziną. - Sięgnęła do klamki. - Jeszcze raz dziękuję, Matt. Powodzenia w obowiązkach ojca. Na razie.

Dopiero gdy zamknęły się za nią masywne drzwi i Matt usłyszał warkot samochodu opuszczającego podjazd, uświadomił sobie, że nawet nie zdążył jej podać kawy.

Oj, panie Glass, skarcił się w myślach i spojrzał w stronę pokoju Laurel. Czyżby to opieka nad dzieckiem pozbawiała człowieka dobrych manier? Całkiem stracił głowę.

A może to była całkiem wyjątkowa sytuacja? Może zachował się tak głupio i nieelegancko, bo pani Ford bardzo mu się podobała, a wiedział, że nic z tego nie może wyniknąć. Nie miał powodu jej szukać ani ona nie miała powodu do dalszych kontaktów, skoro odrzucił jej propozycję. Ponieważ zaś już się nie spotkają, nie będzie miał okazji sprawdzić, czy pani Ford mogłaby odwzajemnić jego zauroczenie.

A może jednak...? Ej, ty jeszcze żyjesz, człowieku! - pomyślał i rozejrzał się po wielkim domu siostry. Musiał wprawdzie skupić energię na potrzebach Laurel, ale to nie znaczyło, że ma sobie odmawiać wszelkich przyjemności. No, nie! Uśmiechnął się.

Poza tym pani Ford wie to i owo o dzieciach. Ma więc dwa powody, by jeszcze nie kończyć sprawy.

- Nie możemy się ciągle tak z głupia frant spotykać, Allie.

Ludzie zaczną gadać.

Allison spojrzała za siebie. O dziwo, serce radośnie jej drgnęło. Za nią stał uśmiechnięty Matt Glass z wózkiem pełnym zakupów i bez kapryśnego dziecka.

- Gdzie zostawiłeś Laurel?

- W domu. - Uśmiech ustąpił miejsca ponuremu grymasowi. - Sprawdzam opiekunkę numer.... Och, już nie wiem którą. Dziesiątą albo i jedenastą w tym tygodniu.

- Żartujesz?

- Chciałbym. Jedna jest bardziej zainteresowana telewizją niż dzieckiem, drugiej Laurel od pierwszej chwili nie lubi, trzecia chce... czegoś więcej. - Przez chwilę wydawał się mocno zakłopotany, zaraz jednak wrócił do tematu. - Kobieta, którą miała siostra, nie chce nas widzieć na oczy. Chyba jest przesądna. Zupełnie jakbyśmy byli przeklęci. Nie znasz przypadkiem jakiejś solidnej, zrównoważonej kobiety do sprzątanania? Żebym miał pewność, że będzie przyzwoicie się zachowywać i dobrze pracować.

Allison przyglądała mu się przez chwilę. Otwarcie prosił o pomoc.

- Nie blokujmy drogi klientom - powiedziała, odciągając wózek na bok. - Chyba rozumiem, na czym polega ten kłopot.

- Naprawdę?

Przystanął obok, oparł ręce na wózku i popatrzył na nią z nadzieją. Tym razem był ubrany bardzo schludnie, prawie tak, jak mężczyźni z Linville Springs w soboty: granatowa koszulka polo i brunatne spodnie, które wyglądały całkiem nieźle, choć dzinsy byłyby bardziej w stylu tego regionu. Tylko sandały odbijały od całości i sprawiały wrażenie dziwnych, jakby robionych na zamówienie.

- Naprawdę. Jesteś najbardziej znaną osobą, jaka pojawiła się w tym miasteczku ostatnimi czasy. W jaki sposób szukałeś opiekunki?

- No, dałem ogłoszenie w gazecie.

- I?

- Kiepsko.

Allison uśmiechnęła się do siebie. Jasne. Większość kandydatek prawdopodobnie robiła podchody do Matta, zamiast wykazać zainteresowanie opieką nad dzieckiem lub domem.

- Potrzebujesz osoby z referencjami. Ludzie, którym ufasz, powinni polecić ci opiekunkę albo gospodynię, do której sami mają zaufanie. Kogoś znajomego. Dawanie ogłoszeń traktuje się tutaj jak ostatnią deskę ratunku. U nas właściwą metodą jest korzystanie ze znajomości.

- Aha.

Wydawał się w tej chwili zagubiony i zdezorientowany. Odruchowo poklepała go po policzku.

- Zobaczę, co mogę w tej sprawie zrobić, zgoda, wujku panny Laurel? - Pchnęła wózek. - Zadzwoń, jeśli ktoś mi przyjdzie do głowy.

- Poczekaj. - Położył jej rękę na ramieniu. Poczowała ciepło i ukrytą siłę. Jedno i drugie wywoływało podniecający dreszczyk. - Jesteś teraz zajęta?

- Robię zakupy.

- A potem? Może zjedlibyśmy razem lunch? -Uśmiechnął się dość potulnie. - Jestem ci winien przynajmniej kawę. Ostatnio wypuściłem cię od siebie bez poczęstunku, chociaż sam go zaproponowałem. Pozwól, że to nadrobię.

Allison zamyśliła się. Propozycja miała charakter czysto towarzyski. Matt wcale nie był jej winien kawy ani niczego innego. Chciał z nią pobyć. Hm. Ale...

- Nie mogę - powiedziała z żalem. - Po południu ma przyjść Josh Henderson omówić ze mną strategię kampanii. Już dość czasu zmarnowałam.

- Czyli twój przyjaciel podjął się zadania.

- To właściwie nie jest mój przyjaciel. - Oboje wjechali wózkami na pas przy regałach i ruszyli wzdłuż półek, nie przerywając rozmowy. - Bardziej znajomy. Oboje długo tu mieszkamy, a że miasteczko jest nieduże, więc właściwie wszyscy się znają. Ale rzeczywiście podjął się tej pracy.

- Cieszę się, że znalazłaś potrzebnego człowieka.

- Dzięki. Powinnam chyba zająć się z powrotem zakupami.

- Ja też. - Potoczył wózek za nią, ale już nie rozmawiali. Za dużo było wokół ludzi.

Allison wyczuwała jednak jego obecność tuż za plecami. Matt musiał jej się przyglądać. Niezwykle ciepło rozgrzewało jej twarz. Dziwne doznania. Rzadko bywała taka zakłopotana.

Skończywszy zakupy, bąknęła przez ramię do widzenia, a Matt odpowiedział jej uśmiechem. Samotne przejście obok kasjerki sprawiło jej ulgę. Owszem, była przyzwyczajona do tego, że mężczyźni okazywali jej zainteresowanie, lecz ten właśnie mężczyzna bardzo ją tym zaskoczył. Nie do końca umiała go rozgryźć. Allison niezbyt lubiła zaskakujące sytuacje. Za dużo przykrych niespodzianek spotkało ją w życiu.

Na parkingu czekała ją kolejna. Lato sprzyjało niewyszukanym rozrywkom co bardziej zadziornej młodzieży z Linville Springs. Zaraz przy supermarkecie znajdował się sklep z tanim alkoholem, gdzie wielu młodych ludzi przychodziło kupić coś dla odświeżenia ciała i ducha. Było to ulubione miejsce spotkań grup kierujących się ku terenom rekreacyjnym na północno--zachodnich krańcach miasteczka. Nie wszyscy jednak czekali, aż dotrą do parku, żeby spróbować piwa, które wkładali do turystycznych lodówek.

- Ej, koleżanko! Chcesz pobałować?

Okrzyk wydał chłopak siedzący z tyłu półciężarówki. Tłoczyło się obok niego jeszcze z pięciu innych. Kumple wyrazili aplauz dla najodważniejszego i zawtórowali mu gwizdami i pohukiwaniem.

Allison nawet nie spojrzała w tamtą stronę. Półciężarówka stała przy sklepie z alkoholem, a ona stanowczo nie miała ochoty wdawać się w szermierkę słowną z podpitymi szczeniakami. Otworzyła bagażnik i włożyła tam zakupy.

- Eeeej! Mówię do ciebie, lalunia!

Puszka po piwie odbiła się od dachu jej samochodu. Druga trafiła ją w biodro. Allison odwróciła się i zmierzyła gromadkę groźnym spojrzeniem. Mogła nic sobie nie robić z wrzasków, ale nie zamierzała pozwolić, by rzucali w nią puszkami. Sprawcę poznała po szerokim uśmiechu zadowolenia.

Sama też omal nie uśmiechnęła się od ucha do ucha. Był to kilkunastoletni syn jednej z jej klientek. Znała go, a to oznaczało, że wymiar sprawiedliwości nieuchronnie się nim zajmie. Allison zawsze ostrzegała swoje własne dzieci, żeby nie rozrabiały w Linville Springs.

- Tu zawsze ktoś jakoś się dowie i na was naskarzy - tłumaczyła.

- Tak już jest w małych miastach.

- O, Kevin Warren - powiedziała. - Czy tata z mamą wiedzą, gdzie jesteś i co porabiasz? - Chłopak z twarzą zaczerwienioną od słońca i alkoholu zbladł. Kpiący uśmiech w jednej chwili zniknął mu z warg. - A czy kierownik tego sklepu wie, że sporo ci jeszcze brakuje do pełnoletności? - Twarz chłopca dosłownie spopieliała. Był bliski łez, kompletnie go zatkało. Nagle jednak przysła odsiecz.

Z kabiny półciężarówki wychylił się kierowca. Był starszy, miał grubo ciosaną, wredną twarz. Nie nosił koszuli, ramiona miał silnie umięśnione i spalone słońcem.

- Morda w kubeł, ty franco - warknął. - Pilnuj własnego nosa. A jak powiesz coś na chłopaka, to pożałujesz. Jasne?

Allison już miała gniewnie zareagować, gdy zauważyła Matta, leniwym krokiem zmierzającego ku półciężarówce. Twarz zasłaniały

mu ciemne okulary, więc nie widziała jej wyrazu. W lewej ręce niósł torbę z zakupami, drugą rękę trzymał w kieszeni. Allison miała nadzieję, że nie wtrąci się do incydentu. Zresztą wyglądało na to, że idzie prosto do sklepu z alkoholem. Może nawet nie słyszał tej przykrej wymiany zdań.

Tak czy owak, niewiele by pomógł. Potoczywszy spojrzeniem po okolicy, Allison uświadomiła sobie, że scysję obserwuje połowa ludzi obecnych na parkingu. Co miała zrobić? Tylko jedno: to, co powinna!

- Kevin nie jest jeszcze w wieku, w którym zgodnie z prawem można pić alkohol - odparła głośno, adresując te słowa do kierowcy, choć w rzeczywistości zwracała się do chłopaka. Kevin musi zobaczyć, że nie robią na niej wrażenia groźby i mięśnie osiłka z szoferki. - Powinien wiedzieć, że jego rodzice byliby bardzo zmartwieni, gdyby...

- Chcesz mieć zmartwienie? - Kierowca otworzył drzwi samochodu i zobaczyła, że w mięsistej dłoni trzyma klucz do opon. Kevin, wyraźnie przerażony i świadom kłopotu, w jakim się znalazł, pochylił się do niego i zaczął coś gorączkowo szeptać. - Nie! - stanowczo odparł kierowca. - Sama się o to prosi, więc dostanie, czego chce...

- A czego chce ta pani? - spytał Matt, który wyłonił się przed maską samochodu w chwili, gdy uwaga kierowcy była zwrócona na Kevina. W lewej ręce wciąż trzymał zakupy, prawą rękę miał jednak wolną. - Mnie się wydaje, że po prostu próbowała pomóc.

Na ustach igrał mu uśmiezek. Oczu nie było widać, ale zarys ramion zdradzał, że jest spięty. Allison natychmiast to zauważyła. Wątpiła, czy w jego oczach zobaczyłaby uśmiech. Przeszył ją dreszcz i na chwilę znieruchomiała. Ta chwila wystarczyła, by Matt przeszedł do czynów.

Następne wydarzenia widziała jak na zwolnionym filmie. Kierownik sklepu z alkoholem okazał czujność i spodziewając się kłopotów, wezwał policję. Od wschodu na parking wtoczył się wóz patrolowy, drugi wjechał od południowego zachodu. Nikt poza Allison nie zwrócił jednak uwagi na policjantów, bo wszyscy przyglądali się dwóm mężczyznom. Kierowca zerknął na Matta, zaklął i otworzył drzwi na pełną szerokość. Lewą rękę miał zaciśniętą w pięść, gotową do uderzenia, w prawej nadal trzymał metalowy klucz.

Nie zeskoczył jednak z siedzenia. Matt, przechodząc obok drzwi, upuścił torbę z zakupami. Schylił się, by ją podnieść, i raptownie się wyprostował. Jednocześnie barkiem pchnął z całej siły drzwi, tak że przytrzasnął ręce kierowcy. Tamten ryknął z wściekłości i bólu, a jego broń upadła na beton. W upalnym, letnim powietrzu rozległ się niemiły brzęk.

Matt wyprostował się. Allison zobaczyła, że zdejmuje okulary przeciwsłoneczne, przeszywa kierowcę wzrokiem i coś do niego mówi. Twarze mężczyzn były oddalone o centymetry. Allison nie słyszała słów, ale ich sens był dla niej oczywisty.

Kierowca zdawał się coraz bardziej maleć. Wreszcie Matt otworzył drzwi i uwolnił mu ręce. Mężczyzna zgiął się wpół,

przyciskając ramiona do ciała. Ból musiał być silny. Matt znowu się do niego odezwał. Mężczyzna skinął głową, nie patrząc na Matta.

Policjanci zdążyli tymczasem zaparkować i wysiadali już z samochodów. Allison nadal z uwagą obserwowała, co się dzieje. Poznała przynajmniej dwóch patrolowych. Matt włożył okulary, wsadził torbę z zakupami pod pachę i wolnym krokiem oddalił się od półciężarówki. Szedł w stronę Allison, uśmiechając się i nie zwracając uwagi na policję.

Policjanci też na niego nie patrzyli. Otoczyli półciężarówkę. Allison zobaczyła, jak Kevin wybucha płaczem. Pozostali młodzi ludzie, siedzący z tyłu, wyglądali na śmiertelnie przestraszonych. Kierowca, wciąż zgięty wół na przednim siedzeniu, nie poruszył się, póki policjant nie pomógł mu wysiąść. Potknął się i zasłonił twarz wielkimi łapskami.

Matt stanął przed Allison.

- Nic ci się nie stało? - zapytał, patrząc na nią spod uniesionych okularów. - Pewnie się trochę zdenerwowałaś. - Jego piwne oczy wyrażały zatroskanie.

- Wszystko w porządku. - Zakryła oczy dłonią. Palce jej drżały. - Fantastycznie sobie poradziłeś - powiedziała, starając się zachować obojętny ton.

- Dziękuję. Nie chciałem robić sceny.

- Ale uziemiłeś tego faceta, zanim się rozkręcił. Jestem naprawdę pod wrażeniem. - Odsunęła dłoń od twarzy. - Miałeś wcześniej podobne doświadczenia?

Matt tylko wzruszył ramionami.

- Dlaczego to zrobiłeś? On mógł cię zranić.

- Nie wyglądało na to. - Z powrotem włożył okulary. - Wierz mi, że nie zamierzałem go prowokować do gwałtownych czynów. Jestem miłośnikiem pokoju.

Allison popatrzyła na niego i zmarszczyła czoło.

- Uhm - powiedziała, przypominając sobie, co Tim opowiadał jej o uwolnieniu ekipy filmowej. Bez przemocy raczej nie byłoby to możliwe. - Wszystko dobre, co się dobrze kończy?

Skinął głową, ignorując sarkazm, a może go nie zauważając.

- Czy ten chłopak, którego poznałaś, będzie miał duże kłopoty?

- Tak. - Zerknęła na parking. Patrolowi spisywali nazwiska młodych ludzi i do tego się ograniczali. - Policja nic mu nie zrobi, ale zawiadomi rodziców i wtedy Kevin może pożegnać się z wolnością. Będzie miał szlaban, dopóki nie dostanie zasiłku dla bezrobotnych. Rodzice się na niego wściekną.

- To niedobrze. Chłopaka poniosło z głupoty. Winny jest ten starszy. - Drgnął mu mięsień w policzku. - Nie dość, że rozpija młodzież, to jeszcze szuka guza. Gdybyś mu się nie nawinęła, znalazłby kogo innego do zaczepki. Próbował cię nastraszyć i miał z tego cholerną frajdę.

- Udało mu się - przyznała. - Wielcy, paskudni faceci z kawałem żelastwa w ręce robią na mnie duże wrażenie. Nawet nie musiał się wysilać. - Położyła Mattowi rękę na ramieniu. - Dzięki. Wyciągnąłeś mnie z opałów. Mam wobec ciebie dług wdzięczności.

- Lunch?

Roześmiała się.

- Jesteś bardzo wytrwały, przyznaję. Ale lunch i tak nie wchodzi w grę. Może kolacja?

Matt sprawiał wrażenie zainteresowanego, zanim jednak zdążył odpowiedzieć, podszedł do nich policjant. Allison uśmiechnęła się do niego. Dobrze go znała, bo chodzili do tego samego kościoła.

Dotykając runda kapelusza, młody posterunkowy skinął jej głową.

- Cześć, Allie - powiedział. - Znasz tego człowieka? - Spojrzał na Matta.

- O tak, Walt. To jest pan Glass, Matt Glass. Matt, to jest posterunkowy Walter Resner. Czy coś jest nie tak, Walter?

- Przeciwnie. Chyba że pan Glass uważa inaczej. Mógłby wnieść skargę. Parę osób pewnie potwierdziłoby, że Teddie Baker chciał mu przyłożyć tym żelastwem do opon.

Z uwagą spojrzał na Matta, lecz ten pokręcił głową.

- Nic takiego nie zauważyłem. Po prostu przechodziłem, upadła mi torba, a wstając przypadkowo zawadziłem o drzwi samochodu. Przykro mi, jeśli pan Baker ma przeze mnie siniaka.

- Ma, i to nie jednego - potwierdził Walter, z wysiłkiem powstrzymując się od uśmiechu. - Twierdzi, że złamał mu pan obie ręce. Guzik prawda, ale jest maksymalnie wkurzony. Upokorzył go pan przed tymi dzieciakami.

- Ja? - Matt ostentacyjnie się zdziwił. - Naprawdę nie miałem takiego zamiaru. Zwróciłem mu tylko uwagę, że mógłby mieć lepsze maniery. To wszystko. Wcale nie chciałem go przestraszyć.

- Jasne. Zresztą pan go nie przestraszył. - Teraz Walter szeroko się uśmiechnął. - Ale Teddie nie jest przyzwyczajony do tego, że ktoś go w takim tempie kasuje. Ciężko uraził pan jego dumę.

- Przykro mi to słyszeć.

Walt przez chwilę mu się przyglądał.

- Mowa trawa. Teddie jest znany z awanturniczych skłonności. Zwykle kończy występ, zanim zdążymy nadjechać. Podziwiam pański wyczyn, panie Glass. Prawdę mówiąc, dzięki temu sytuacja nie wymknęła się spod kontroli. Ale ostrzegam, niech pan teraz na siebie uważa.

- Chcesz powiedzieć, że ten człowiek będzie próbował się odegrać? - spytała Allison. - Bo chyba nie masz pretensji do Matta?

- Tak i nie. To znaczy nie mam pretensji, ale go ostrzegam. Proszę patrzeć we wsteczne lusterko, panie Glass, przynajmniej przez pewien czas.

- Dzięki za radę.

Matt nie wyglądał na zmartwionego.

Po odejściu policjanta Allison oparła się plecami o samochód. Serce biło jej stanowczo za szybko. Pierwszy raz uświadomiła sobie, że nie tylko się zdenerwowała, lecz również przestraszyła. Matt Glass uratował ją przed czymś więcej niż tylko kłopotliwą sytuacją.

- Przeraziło cię to wszystko? - spytał cicho. - Coś blado wyglądasz.

- Tak, to znaczy nie. Czuję się dobrze. Nic się nie stało, dzięki tobie.

Ruszyła w kierunku drzwiczek.

- To co z tym zaproszeniem na kolację?
- Ojej. Tak. To znaczy... Zadzwoń do ciebie i...
- Nie. Wpadnę po ciebie około ósmej, dobrze?
- Dobrze. Podała mu adres.

No to do zobaczenia wieczorem.

Zasalutował, dotykając palcami skroni, potem odwrócił się i energicznym krokiem odszedł do przedpotopowego jeepa.

Allison wsiadła do swojego samochodu i przez chwilę dumiała. Nie była już właściwie zdenerwowana tym, co się stało, lecz w głębi wciąż poruszona. Zastanawiała się, jaki ma stosunek do tego wydarzenia. Jakie wrażenie zrobiła na niej reakcja Matta Glassa? I co czuła, gdy zastąpił ją w konfrontacji z kierowcą półciężarówki?

Bo przecież to właśnie zrobił Matt. Zwyczajnie, jakby od niechcienia, zajął jej miejsce w pojedynku zgodnie z rycerską tradycją. A ona nie zdobyła się nawet na zdawkowy protest, Mogło jej się to nie podobać, ale przed chwilą uratował ją prawie nieznajomy człowiek. W gruncie rzeczy nie ma na co narzekać. Przypomnił jej się zacięty wyraz twarzy Teddie'ego i jego muskulatura. I żelastwo do opon... Tymczasem Matt wkroczył z wielką pewnością siebie i opanował sytuację.

Załatwiła resztę spraw na pół wyłączona z tego, co robi. Zdażyła do domu akurat na przyjazd Josha Hendersona. Popatrzyła na niego i jego auto, lśniące, nowe cacko, przy którym jeep Matta Glassa wyglądał jak odzysk ze składnicy złomu. Josh, przystojny i zadbany jak zawsze, był w garniturze mimo soboty i całkiem nieformalnego charakteru ich spotkania.

Zaintrygowało ją, czy Matt w ogóle ma garnitur. I jak Josh zachowałby się w sytuacji na parkingu? A właściwie jak zachowałyby się większość znanych jej mężczyzn? Niektórzy z pewnością próbowaliby wcielić się w rolę bohatera, czy jednak z równym powodzeniem jak Matt Glass?

Matt jest bez wątpienia niezwykłym człowiekiem. Szkoda, że nie mogła oczekiwać od niego niczego więcej niż kilku ciekawych chwil w życiu. Sama widziała, że jest pewny siebie i niezależny.

Matt czuł, że zupełnie nie panuje nad sytuacją. Z każdą chwilą było gorzej. Znalazł się naprawdę w ślepych zaułku.

- Laurel - powiedział, wpatrując się z uśmiechem w siostrzenicę.
- Co ja mam z tobą zrobić?

Laurel zachichotała.

Matt westchnął.

- Nie mogę cię wziąć na kolację - powiedział. - Mogłabyś położyć cię na tę znajomość. W ogóle zapieszasz wszystko dookoła.

Laurel znowu zachichotała, po czym chwiejnym kroczkiem oddaliła się w poszukiwaniu dalszych rozrywek. Matt usiadł na podłodze w sypialni i wbił wzrok w piramidkę swoich ubrań. Z szuflad i szaf zostało wyciągnięte dosłownie wszystko i nic nie było już czyste. Laurel starannie potraktowała swój łup wodą z mydłem. Z mnóstwem mydła.

- Pioje dla tati - wyjaśniła mu z wdziękiem. Opiekunka utrzymywała, że nie spuściła dziecka z oka na więcej niż dwie minuty. Matt złapał się za głowę. Nawet tak utalentowane stworzenie jak

Laurel potrzebowałoby znacznie więcej niż dwóch minut na gruntowną rewizję w pokoju. Wymówił więc następnej opiekunce.

Z zamyślenia wyrwał go cichy, dziecięcy śmiech, a potem ostry trzask.

- Laurel! - Zerwał się na równe nogi i popędził w stronę, stąd dobiegał hałas. - Och, Laurel! Nie!

- To mnie przerasta, słowo daję - wyznał jeszcze tego samego wieczoru, podając Allison kieliszek.

Wcześniej zadzwonił do niej, chcąc odwołać kolację. Allison zorientowała się jednak, w czym kłopot i zaproponowała, że sama do niego przyjedzie.

- Na widok tego dziecka dostaję gęsiej skórki. Co robić? Potrzebuję pomocy.

Allison upiła łyk białego wina. Było lekkie, zimne i orzeźwiające. Siedzieli w salonie.

- Po prostu stajesz wobec normalnych problemów, które ma rodzic dwulatka - odrzekła. - Może trochę trudniejszych, bo Laurel nie miała dwóch lat, żeby cię wyćwiczyć.

- Co takiego?! - Wybuchnął śmiechem. - Czy przypadkiem nie chciałaś powiedzieć, że to ja nie miałem dwóch lat, żeby ją wyćwiczyć?

Allison oparła się pokusie wyjaśnienia na podstawie własnych doświadczeń, w jaki sposób dzieci i zwierzęta domowe ćwiczą dorosłych, którzy się nimi opiekują. Spojrzała w wielkie okno za plecami Matta. Dochodziła dziewiąta wieczór, ale światło wciąż

jeszcze padało na szczyty wysokich sosen. Słoneczna kula żarzyła się nad górą, w oddali.

- Tak czy owak, nie jesteś przyzwyczajony do jej sposobu życia, Matt. A ona pewnie trochę się na tobie odgrywa, bo wie, że straciła coś ważnego, chociaż jest za mała, żeby zrozumieć, co takiego. Dziś na własne oczy widziałam, że masz kłopoty z położeniem jej spać. Czy potem śpi bez kłopotów?

- Nie zawsze. Często budzi się, krzyczy i płacze, póki do niej nie przyjdę i chwilę nie pogadam. Muszę ją wtedy pocieszyć, przytulić i czekać, aż znowu zaśnie. - Odstawił kieliszek. - Fajny z ciebie kumpel, że zamiast w mieście zgodziłaś się zjeść kolację tutaj. Nie mam talentów kulinarnych.

- Pizza z sałatką w zupełności mi wystarczą. Rozumiem twoją sytuację lepiej, niż ci się zdaje. - Upiła następny łyk wina. - Kiedy bliźniaki były jeszcze małe, żyłam jak pustelnica. Zapomniałam, co to znaczy towarzystwo.

- A teraz?

- Oczywiście wychodzę, kiedy chcę. Ale mam ważniejsze rzeczy na głowie niż życie towarzyskie.

- Jak ci poszło spotkanie z szefem kampanii?

Odstawiła kieliszek.

- Chyba w porządku.

- Chyba?

- Po prostu w porządku - odparła, czując, że została przyparta do muru. - Josh zrobi świetną robotę.

- Nie wątpię. - Matt wstał i dolał sobie wina. - Powiedz mi, dlaczego bierzesz się do polityki? - Znow usiadł. - Bardzo mnie to ciekawi.

Allison zmierzyła go wzrokiem.

- Bo dużo wycierpiałam po odejściu męża. Odpowiedź była prosta, najuczciwsza, jaką mogła mu dać. Matt wytrzeszczył oczy, ale nie powiedział ani słowa.

- Paul mnie zostawił, kiedy byłam w piątym miesiącu ciąży. Któregoś dnia wyszedł do pracy i nigdy więcej nie dał znaku życia. Nie wrócił, nie zadzwonił, nawet nie napisał, nic. Przepadł jak kamień w wodę. Zostawił mnie z kupą długów, jakich narobił podczas studiów w szkole medycznej, a...

- Był lekarzem?

- Tak, świeżo po studiach. Dopiero zaczął praktykować. Miał już kilku pacjentów. Tymczasem spłacaliśmy nie tylko długi ze studiów, bo musieliśmy jeszcze kupić i wyposażyć gabinet. Masz pojęcie, ile coś takiego kosztuje? I jak trudno zwrócić pożyczki?

Matt pokręcił głową.

- Mnie się w końcu jakoś udało. Zwróciłam jego długi co do centa, ale...

- Dlaczego? Czy to nie on je zaciągnął? Nie byłaś za nie odpowiedzialna, skoro od ciebie odszedł.

- To zależało od tego, z kim rozmawiałam. Wtedy miałam mniej pewności siebie niż teraz i spłacenie tych długów wydawało mi się jedynym rozwiązaniem. To już historia, ale długo żyłam w strachu. Dlatego postanowiłam coś zrobić, żeby inne kobiety nie musiały

cierpieć z tego samego powodu. Kiedy bliźniaki były małe, pracowałam w banku, ale teraz prowadzę własną firmę. Doradztwo finansowe dla kobiet. Skupiam się na mężatkach, które nie mają swoich dochodów wcale albo mają niewielkie, więc są zależne. Im w największym stopniu grozi, że wykończy je system, jeśli w ten czy inny sposób stracą męża.

- Rozumiem. - Zasłonił usta dłonią i odchylił się na krześle do tyłu.

Allison uśmiechnęła się.

- Zastanawiasz się, co to ma wspólnego z moją decyzją, żeby zająć się polityką?

Skinał głową.

- Przypuszczam, że jesteś zdecydowana dobrać się do skóry wszystkim mężczyznom, którzy...

- Nie. Nie zrozum mnie źle. Nie chodzi mi o gnębienie mężczyzn czy innej grupy ludzi. Chodzi mi po prostu o to, żeby wszyscy byli traktowani uczciwie. To proste. Każdy powinien być odpowiedzialny za własne długi, a jeśli jedno z dwojga nawala...

- Drugie nie zostaje z listą wierzycieli. - Pokiwał głową. - Niewątpliwie rozsądny przyczynek do sprawiedliwości.

- Finansowej sprawiedliwości. Ten problem sięga głęboko w przeszłość naszej kultury. Gdy przychodziło do podziału pieniędzy, kobiety często wyzyskiwano. Podobnie dzieci. Przyjrzyj się problemowi alimentów. Przyjrzyj się, na jakie kłopoty napotykają kobiety, wytaczające sprawy o napastowanie seksualne. Tracą mnóstwo czasu, w którym mogłyby zarabiać pieniądze. Pracuję teraz

po to, żeby moje klientki nie miały takich kłopotów. Chciałabym mieć udział w uchwaleniu ustaw, które stworzyłyby bardziej sprawiedliwy układ. Oczywiście coś się robi w tej sprawie, ale moim zdaniem zbyt wolno. Chcę to jakoś zmienić.

- Rozumiem. - Matt znowu wstał i podszedł do okna. Allison Ford była efektowna, inteligentna, miała dar wymowy i motywację. Same godne podziwu cechy, szczególnie u kobiety ubiegającej się o mandat. Ale wszystko budowała na jednym: na porzuceniu jej przez mężczyznę. Przypomniawszy sobie, jak niechętnie zareagowała rano na propozycję wspólnego lunchu. Jak musiał stawać na głowie, żeby wydebić od niej tę kolację. Bez wątplenia nie ufała mężczyznom, nawet jeśli się do tego nie przyznawała. Z taką kobietą na pewno nie należało niczego zaczynać.

- Masz jakieś poszlaki wskazujące, co się stało z twoim mężem?
- spytał.

- Prawnie uznano go za zmarłego. Za długo się ze mną nie kontaktował. Znacznie dłużej niż jest to wymagane. I to wszystko.

Odwrócił się i spojrzał na nią. Nieznacznie się uśmiechała. Była całkiem spokojna. Nie wyglądała na pogrążoną w smutku żonę.

Naturalnie minęły lata...

- Próbowalaś go znaleźć?

Teraz się zaczerwieniła. Jej oczy jakby pociemniały; błękit nieba stał się mrokiem nocy.

- Przewróciłam świat do góry nogami - odrzekła, ściskając nóżkę kieliszka. - Nawet wynajęłam prywatnych detektywów, gdy policja zrezygnowała. Ale nie było mnie stać na zorganizowanie długich

poszukiwań. - Odstawiła kieliszek na stół. - Wreszcie i ja zrezygnowałam. Gdyby naprawdę nas chciał, na pewno znalazłby sposób, żeby zawiadomić, gdzie jest.

- A jeśli nie mógł? Jeśli nie żyje?

- W takim wypadku nie było sensu wydawać pieniędzy, których bardzo potrzebowałam na coś innego, prawda?

- Na to wygląda.

- Raz omal nie wyszłam ponownie za mąż. — Uniosła kieliszek i obróciła go w palcach. - Pracował na ranchu w Montanie, był sąsiadem moich rodziców. Ale uznałam, że nie powinnam. Nie wiem, czy jestem wolna.

- Według prawa tak.

- Owszem. - Wzruszyła ramionami. - Ale wciąż przypominają mi się różne opowieści o znikających mężach, którzy mieli ku temu ważny powód. W końcu żona się zakochuje, znów wychodzi za mąż, a wtedy zjawia się ten pierwszy i...

Matt parsknął śmiechem.

- To zwyczajne wymysły. Popatrz na siebie. Dziwię się, że nikt dotychczas nie zaprowadził cię do ołtarza. Kochasz jeszcze tego człowieka, który cię zostawił? - spytał z powagą.

- Nie. - Spojrzała na niego odważnie. - Nie Kocham. A ty jak? Ożeniłeś się kiedyś?

- Nie. - Pokręcił głową i z powrotem usiadł. - To nie dla mnie. W tej chwili się ustatkowałem, bo mam Laurel, ale jestem typem wędrowca, po moim starym. - Dopił wino. - Rzucił matkę, tak samo jak twój mąż ciebie, ale nie zrobił jej tej łaski, żeby zniknąć. Zabrał

mnie z sobą, ale raz po raz przejeżdżaliśmy przez moje rodzinne miasto by powiedzieć mamie „cześć”. Chciał, żeby łudziła się nadzieją. A my wkrótce wyjeżdżaliśmy znowu. Ona nigdy nie wiedziała kiedy, dokąd ani na jak długo.

- To okropne!

- Owszem. Miałem już dobrze po dwudziestce, gdy wreszcie pojąłem, jak okropne. Właśnie wtedy mama umarła, a Martha wyszła za mąż za Johna Essex. Teraz jestem dojrzałym człowiekiem, mam trzydzieści cztery lata i... - Zawiesił głos. - Zamówię pizzę. Na dostawę trzeba poczekać ze dwadzieścia minut, a ja jestem głodny. Ty też?

- Chyba tak. - Uśmiechnęła się kwaśno. - Niezła z nas parka, co?

- Hm?

- Tylko na nas popatrz, Matt. Ja chcę zapewnić „siostron” finansowe bezpieczeństwo przed ograbieniem przez niesolidnych partnerów, bo przeżyłam to, co przeżyłam. Ty bierzesz na wychowanie dwuletnią siostrzenicę jako pokutę za to, co zrobił twój ojciec i...

- Laurel nie jest pokutą!

- Ej, nie złość się. Po prostu myślę.

- Nie znasz mnie. Kocham to dziecko.

- Wcale temu nie przeczę, Matt. - Allison wstała i podeszła do niego. - To świetnie widać po twoim zachowaniu. Troszczysz się o nią w sposób godny podziwu, ale...

- Ale nie uważasz, że bym był na właściwym miejscu? - wycedził. - Nie nadaję się na jej ojca?

- Nie przyszłam się kłócić, Matt. Przyszłam na miłą kolację w twoim towarzystwie.

- Przepraszam. - Odwrócił głowę. - Nie powinienem się na ciebie wściekać. - Wziął głęboki oddech i wybuchnął: - Nie jestem przyzwyczajony do tego, że nie wiem, co robić. Mam na myśli Laurel. Chyba się miotam jak ryba w sieci.

- Czy ktokolwiek kwestionuje twoje prawo do opieki nad dzieckiem?

Roześmiał się z goryczą.

- Nie uwierzysz, ale adwokat jej rodziców. Ta kobieta powiedziała mi wprost, że nie nadaje się na opiekuna. Moja siostra zostawiła wszystkie sprawy w absolutnym porządku, Laurel wszystko odziedziczy. Ale w testamencie nie było mowy o opiece. Zostałem nim jako najbliższy żyjący krewny, tylko że pani mecenas wcale nie jest z tego powodu szczęśliwa.

- Może ty też potrzebujesz adwokata. Mój kuzyn jest...

- Nie potrzebuję nikogo. Mam ustawowo zagwarantowane prawo do opieki nad siostrzenicą. - Urwał. Allison była przeświadczona, że przez chwilę widziała w jego oczach błysk bardzo głębokiego uczucia. - Ona jest teraz całą moją rodziną - dodał.

- A ojciec...?

- To nie rodzina, Allie. On należy do wszystkich i do nikogo, a do mnie w najmniejszym stopniu. - Wyciągnął dłoń i dotknął jej twarzy. - Nawet nie wiesz, jaka z ciebie szczęściara. Wprawdzie mąż cię opuścił, ale masz dzieci. Twoje dzieci, nie jego. I rodziców. Jesteś wśród swoich. W rodzinie.

Poczuła łzy, zbierające się jej pod powiekami.

- Ty teraz też, Matt. Masz Laurel.

- To prawda. - Zacisnął pięść. -I niech Bóg broni tych, którzy próbowaliby mi ją odebrać.

Zacięty wyraz jego twarzy przeraził Allison. Przypomniała sobie, z jaką łatwością poradził sobie z tym wielkim bydlakiem z ciężarówki. Jak kilkoma słowami przestraszył go tak, że tamten miał łzy w oczach. Matt Glass nie jest zwyczajnym, sympatycznym facetem, który przejął opiekę nad dzieckiem zmarłej siostry. Jest bardzo skomplikowaną mężczyzną i gdzieś w głębi serca chowa zapiekły gniew. Co tak naprawdę o nim wiedziała? Mimo czułości, z jaką odnosił się do Laurel, było w nim coś szorstkiego.

A ona musi sobie pilnie zadać pytanie, czy chce cokolwiek zaczynać z takim człowiekiem. Natychmiast, zanim grunt usunie jej się spod stóp. Namiętność i ogień, które widziała w miłej twarzy Matta Glassa, nasuwały bowiem przypuszczenie, że jeśli Matt zaangażuje tę energię w romans, to ziemia zadrży bardzo szybko.

Wzburzenie Matta po chwili minęło i wreszcie oboje zasiedli w jadalni, by zjeść świeżo dostarczoną pizzę. Matt zrobił do niej bardzo smaczną sałatkę. Podał też wyborne wino. Allison poczuła, że się odpręży i że ogarnia ją przyjemna błogość. Nie trwało to jednak długo.

Krzyk Laurel rozbrzmiał nagle i był tak przesycony trwogą, że Allison przewróciła kieliszek z winem. Matt już biegł długim korytarzem w stronę sypialni dziecka. Po chwili była przy nim.

- Mój Boże - powiedziała. - Nigdy nie słyszałam, żeby dziecko tak krzychało. Ileż w tym przerażenia!

- Owszem. - Matt szeroko otworzył drzwi, dotąd uchylone, i zapalił światło. Laurel siedziała w dzieciennym łóżeczku. Zmięte prześcieradło oplatało jej nóżki, twarz miała czerwoną, poznaczoną smugami łez. Matt wyciągnął ręce i przytulił małą, szepcząc jej do ucha, że wszystko jest w porządku.

Nad głową dziecka przesłał jednak Allison znak absolutnej rozpacz. On, mężczyzna, który rano bez kłopotu ujarzmił awanturującego się osiłka, teraz przyznawał się do bezradności wobec małej dziewczynki. Allison poczuła, że w oczach wzbierają jej łzy i żal ścisła serce.

Wreszcie dziecko przestało krzyżeć i tylko cicho pochlipywało. Wkrótce chlipanie przeszło w czkawkę, a potem w niezrozumiałe gaworzenie. Laurel odsunęła głowę od zmoczonej łzami i śliną koszuli

Matta i popatrzyła na Allison. Na jej mokrej twarzy pojawił się zniebna promienny uśmiech.

- Mama! - ucieszyła się i wyciągnęła ramiona. Allison wzięła ją na ręce.

- Jestem Allie - powiedziała, głaszcząc dziecko po miękkich włosach. - Ciocia Allie, zgoda?

- Mama.

- Dostałaś dziś nominację - powiedział melancholijnie Matt. - Gdy Laurel mówi coś tym tonem, to wiadomo, że nie zmieni zdania. Możesz mi wierzyć.

Allison roześmiała się z zakłopotaniem, chociaż wszystko w niej drżało. Krzyk dziecka i bezradność Matta wywołały w jej duszy chaos.

- Od ciebie słyszę coś takiego? Nie do wiary! Czy ona zawsze owija cię wokół małego paluszka?

- Spróbuj się z nią dogadać, a sama zobaczysz.

- W porządku. - Spojrzała na niego, potem na Laurel. - Nigdy nie lekceważyłam trudnych spraw. - Wzięła dziecko i oparła je sobie na biodrze. - No, Laurel, chcesz trochę pizzy od cioci Allie?

- Picia. Mama! - Rozległ się radosny śmiech, a potem czkawka.

- No widzisz? - Matt odwrócił się do zmiętoszonego pościelenia na łóżeczku. Ściągnął prześcieradło i koc. - Uparła się i tego nie zmienisz.

- Walka jeszcze się nie zaczęła. - Allison ruszyła do drzwi. - Ale najpierw, Laurel, może pójdziesz na nocnik?

- Picia, mama. Nocnik nie.

- Ostrzegałem cię - oświadczył Matt, mijając ją ze świeżą zmianą pościeli. - Jak chce, to ma pęcherz wielbłąda.

- Dziecku w tym wieku, które właśnie się obudziło, nie można ufać. - Allison zerknęła na prześcieradła i pomacała pizamę małej. - Chyba że już się zmoczyła.

Matt pociągnął nosem.

- Nie. W tym jest dobra. Trzyma jak należy - dodał z dumą.

Allison rozważyła tę informację. To, że Laurel nie zaczęła się moczyć, można by uznać za bardzo dobry znak, świadczący o jej równowadze emocjonalnej. W tej chwili jednak owa równowaga przedstawiała pewien problem; Laurel niewątpliwie po prostu się uparła. Dwuletnie dziecko często to robi i wcale nie musi odreagowywać urazu psychicznego.

- Ale wiesz, Laurel, ja muszę iść na nocnik - nie ustępowała Allison. - Pójdiesz ze mną?

- Picia. - Laurel włożyła dwa palce do buzi, a drugą rączką klepnęła Allison po ramieniu.

- Najpierw pójde na nocnik - stanowczo oświadczyła Allison. Zniosła dziecko do łazienki i zamknęła Mattowi drzwi przed nosem. - Tylko dla pań - zastrzegła.

Wspólny pobyt w toalecie okazał się histerycznie śmieszny. Dzięki temu Allison wkrótce odzyskała nadwątloną wiarę w swe matczyne umiejętności. Laurel zrobiła bowiem to, o co ją proszono. Po kilku minutach obie wróciły do stołu i zajęły się pizzą.

- Połóż kawał folii pod stołem - zaproponowała Mattowi, widząc, jak mozoli się z karmieniem. - Nawet dobra dębowa podłoga na pewno się zapłami. Potem, przed sprzedażą domu, będziesz musiał zapłacić fortunę za odnawianie.

Matt złapał tuż nad podłogą kawałek pizzy obficie polany keczupem.

- Jak tak dalej pójdzie, to chyba każę rozebrać dom i sprzedam samą działkę.

- Nie bądź defetystą.

Szklanka z mlekiem Laurel niebezpiecznie się przechyliła i białe strużki popłynęły po lśniącym blacie stołu. Matt natychmiast nakrył je ścierką z plamami keczupu.

- Czemu nie, jeśli można spytać? - Sprawiał wrażenie śmiertelnie zmęczonego i zniechęconego.

Allison wstała.

- To jest twoje dziecko i twoja odpowiedzialność, więc przykro mi to mówić, ale robisz wszystko źle. - Podeszła do Laurel i wzięła ją na rękę. Dziewczynka wydała z siebie jękliwą zapowiedź głośnego protestu przeciwko nieliczeniu się z jej wolą. - Nie możesz pozwalać, żeby tobą rządziła. Dasz spróbować?

- Nie krępuj się. - Z rezygnacją machnął ręką, zasłonił uszy i zamknął oczy.

- No, panno Essex - zaczęła Allison przyjaźnie, lecz stanowczo. - Zmieniamy jadalnię. - Zniosła dziewczynkę do kuchni i wyciągnęła z kąta wysokie krzeselko.

- Nie! - Laurel zaczęła kopać.

Allison nie powiedziała ani słowa. Posadziła rozgniewane dziecko na krzeselku i dosunęła mebel do kuchennego stołu. Matt przyniósł resztki pizzy i zgodnie z życzeniem Allison postawił je na stole.

- Nie wiem, co zamierzasz - powiedział - ale gwarantuję, że nic z tego nie wyjdzie. Jak ona zaczyna w ten sposób, to niedługo będzie szaleć bardziej niż demokrata starej daty na przedwyborczym spotkaniu swojej partii.

Wyraźnie oczekiwał klęski Allison. Miał na twarzy smutny, lecz dość arogancki uśmiech, który jednak dość szybko zniknął, gdy Allison wzięła się do dzieła. Usiadła, postawiła pizzę przed sobą i czekała, aż Laurel się uspokoi. Póki dziewczynka się awanturowała, Allison nawet na nią nie spojrzała. Położyła ręce na stole i trzymała je nieruchomo - i stał się cud. Kiedy Laurel umilkła, Allison wzięła na widelec mały kawałek pizzy i położyła go na talerzyku dziewczynki.

- Proszę - powiedziała. - Teraz możesz jeść.

Laurel wzięła pizzę i z krzykiem rzuciła ją na podłogę. Allison odwróciła głowę, ignorując rozzwierający wrzask małej. Ponownie położyła ręce na stole i czekała. Nie widziała Matta, ale czuła na sobie jego rozbawione spojrzenie.

Po chwili znów zrobiło się cicho. Allison nabiła na widelec następny kawałek pizzy i podała go Laurel. Powtórzyła to, co poprzednio:

- Teraz możesz jeść.

Tym razem dziecko posłusznie zjadło.

Allison uśmiechnęła się do osłupiałego Matta. Bardzo się starała, żeby jej uśmiech nie był tak arogancki jak poprzednio jego. Mocno jednak wątpiła, czyjej się to udało.

W godzinę później umyta Laurel znów smacznie spała w łódeczku. Allison jeszcze raz wygładziła jej pościel i odwróciła się od posłania. Matt stał przy niej. Pochylił się i pocałował kędzierzawą główkę dziecka, po czym razem z Allison wyszedł z pokoju.

- Jak często dręczą ją takie koszmary? - spytała.

Stali w korytarzu przed sypialnią, więc porozumiewali się szeptem. Wcześniej Allison nie poruszała tego tematu z powodu obecności Laurel. Nigdy nie wiadomo, kiedy małe dziecko coś zrozumie.

Matt znowu zrobił nieszczęśliwą minę.

- Jak dla mnie stanowczo za często. Raz, czasem dwa razy w ciągu nocy. Czasem oczywiście jest spokojnie i Laurel śpi jak aniołek. Radziłem się lekarza. Powiedział, że na trudne chwile da mi środek uspokajający. Nie spodobało mi się to i więcej już do niego nie poszedłem.

- U którego lekarza byłeś?

Matt podał jej nazwisko.

- Są w mieście inni, którzy na pewno pomogliby lepiej - poinformowała go. - Zobaczę, co uda mi się zrobić, żeby...

- Allie... - Stał przy niej i położył jej rękę na ramieniu. - To mój problem, nie twój. Masz dość roboty bez martwienia się o nas.

- Wcale się nie martwię. Po prostu próbuję pomóc.

Dotknął jej twarzy, opuszkami palców znacząc linię na policzku.

- Lepiej naucz się szybko, jak mówić „nie”, bo inaczej wpadniesz w takie kłopoty, jakich nawet sobie nie wyobrażasz.

- Przez ciebie?

- Nie. Przez politykę. - Opuścił dłoń i spojrzał w bok. - Myślałem o twoich marzeniach i ambicjach.

Ludzie będą cię wykorzystywać, posługiwać się tobą do własnych celów. Polityk musi być zasadniczo egoistą, bez względu na to, jak bardzo prospołeczne poglądy głosi. Musisz się nauczyć chodzić po linie, Allie. Poruszać się z wdziękiem i nie spaść. Naprawdę zastanawiam się, czy to potrafisz.

- Potrafię - odparła ze złością. - A w ogóle to nie pytałam cię o radę.

Cofnął się i włożył ręce do kieszeni.

- Wiem. Mimo to ci ją daję.

- Dzięki, ale...

- Ty też dałaś mi radę, jak postępować z Laurel. - Ruszył korytarzem w stronę salonu, strzelając palcami. Nagle odzyskał energię. - Wiesz, Allie, wpadło mi coś do głowy...

Podążyła za nim. Weszli do salonu, ale zanim usiadł przy niej na kanapie z kieliszkiem brandy, zaproponował jej drinka. Podziękowała, ponieważ była bardzo zmęczona i czekał ją jeszcze powrót samochodem do domu. Po dłuższej chwili Matt wyjaśnił, o co mu chodziło.

- Powinniśmy wymienić się doświadczeniami - powiedział. - Każde z nas wie coś, co jest potrzebne drugiemu.

- Spółka ekspertów z różnych dziedzin?

- Właśnie. Ja tobie, ty mnie. Bez umów, bez zobowiązań, bez pieniędzy. Po prostu wymiana doświadczeń. Co ty na to?

Allison zamrugała powiekami.

- Mnie się wydaje, że po prostu chcesz, żebyśmy zostali przyjaciółmi.

Spojrzał na nią zdziwiony, potem zaśmiał się cicho, a wkrótce w salonie zabrzmiał jego głośny śmiech.

- No, no, ale jesteś szybka. Usadziłaś mnie jak trzeba. Profesjonalna robota. - Przełknął duży łyk brandy i rozsiadł się wygodnie. - Jeśli będziesz słuchać sprytnego i sprawnego menedżera, to masz szansę wygrać wybory.

- Słuchać?

- Tak. - Znowu upił łyk. - Słuchać poleceń. Robić, co ci każe. Trzymać się z dala od śliskich tematów w publicznych wystąpieniach. I tak dalej, i tak dalej. W każdym razie słuchanie kompetentnego menedżera jest warunkiem zwycięstwa.

- Hau, hau - powiedziała, wyciągając przed siebie ręce i głośno przy tym dysząc.

Matt przyjrzał jej się z uwagą. Źle go zrozumiała. Uznała, że jego zdaniem menedżer ma mieć nad nią bezdyskusyjną władzę. Nic bardziej fałszywego. Oboje z menedżerem muszą stanowić zgrany zespół. Mimo to uśmiechnął się z jej żartu. Obudziły się w nim uczucia, które były nie tylko przyjazne.

Allison dotknęła jakiejś struny w jego duszy. Zapragnął wziąć udział w jej życiu i marzeniach. Związać się z nią.

Nagle poczuł się zagubiony. Zagubiony i skrepowany. Pewnie przez tę przeklętą brandy. Odstawił kieliszek myśląc, że zmęczony człowiek nie powinien pić alkoholu. Uczucia stają się zbyt żywe, za bardzo chcą się uzewnętrznić. No i proszę, sam właśnie uznał, że czas zdradzić przed Allison trochę z tego, co czuje.

- Oczywiście chcę, żebyśmy zostali przyjaciółmi - powiedział, ważąc każde słowo. - Ale na tym nie koniec. Zależy mi, żebyś zechciała...

- Związać się z tobą?

Matt westchnął.

- Tak. - Pochylił się i pocałował ją w usta. Nie próbowała się odsunąć. - To mnie właściwie zaskakuje - powiedział cicho. - A ciebie? - Oboje wiedzieli, że w tym pytaniu kryje się również seksualna propozycja.

Allison siedziała nieruchomo, pochłonięta grą swoich zmysłów. Dawno już nie miała takich odczuć. Wiedziała, że poruszyły ją łagodność i subtelność Matta. Delikatne zetknięcie warg, oddech muskający policzek, słodkawa woń brandy, ciepło jego ciała, refleksy światła lampy w jego złocistych włosach... Odsunęła się od niego.

- Nie mogę sobie w tej chwili pozwolić na romans - powiedziała.
- To nie byłoby uczciwe wobec ciebie, Matt.

Westchnął głęboko.

- Do diabła z uczciwością!

- Wiesz, o czym myślę! W twoim życiu nastał zamęt z powodu Laurel, a ja zaangażowałam się po uszy w walkę wyborczą. Nie jesteśmy...

- Jacy nie jesteśmy? Dlaczego nie możemy się przekonać, jak nam jest z sobą, wbrew trudnościom, które mamy? Nie bądź śmieszna, Allie. Od dawna nie reagowałem tak na żadną kobietę i wcale nie wstydzę się do tego przyznać. Powiem ci wprost. Może nie czeka nas wspólna przyszłość, ale czemu nie mielibyśmy cieszyć się terażniejszością?

- Boże święty, czy to ma być tekst numer sześć? Mocno go tym uraziła.

- Wybacz, proszę, jeśli pomysł ci się nie podoba, ale to nie jest tekst numer sześć.

- Matt. - Dotknęła jego dłoni. - Sam pomyśl. Jesteś w mieście, w którym nie masz przyjaciół, znikąd nie możesz oczekiwać wsparcia, a do tego musisz się uporać z masą kłopotów całkiem niepodobnych do tego, z czym dotąd się stykałeś. Zupełnie nie dajesz sobie rady z Laurel. W tym momencie pojawia się ja. Znam się na dzieciach, a ty szukasz przyjaciółki. Widzisz potencjalną kochankę. Jesteś znudzony, towarzysko i...

- Co za cynizm. - Patrzył na nią teraz spod przymrużonych powiek, zimno.

- Mam powody do cynizmu. - Wstała. - Dziękuję za kolację, ale chyba powinnam już jechać.

- Usiądź, Allie. Proszę. - Poklepał poduszkę kanapy. - Może masz rację, może nie powinniśmy się wiązać, ale to nie zmienia faktu, że możemy połączyć nasze siły, prawda?

Bez słowa usiadła ostrożnie na krawędzi kanapy.

- Teraz pomyśl. - Uśmiechnął się kwaśno. - Dochodzi pierwsza w nocy. Do tego było wino, brandy i zły sen Laurel. Jestem trochę otepiały i zrobiłem niewłaściwy ruch. Ale nie powiesz mi, że niczego nie czułaś, kiedy się całowaliśmy.

Skinęła głową.

- Czułam.

- Więc...?

- Więc pomysł jest chyba dobry. Ten z połączeniem sił. A przynajmniej z wymianą informacji. Jeśli chodzi o to drugie...

Wyciągnął ku niej rękę i musnął palcami włosy na jej nagim ramieniu.

- Jeśli chodzi o to drugie, po prostu sprawdźmy. Allison poczuła coś cudownego, co obudziło się w jej sercu i chciało wydostać się na powierzchnię. Ale doznanie było dziwne, nieznane, przejmowało ją lękiem, więc tylko się roześmiała.

- Lepiej pojedę do domu. - Ponownie wstała. -

Ale jeśli poważnie myślisz o przyjaźni, to może wybierzemy się jutro na piknik? We troje. - Wspaniale.

Nie odsunął się, ale też nie sprawiał wrażenia, jakby zamierzał sprzeciwiać się jej odejściu. Miał bardzo zmęczoną twarz, ale wyglądał pociągająco. Allison musiała zwalczyć silną pokusę, żeby nie zostać.

Wkrótce znalazła się na drodze do domu. Żałowała, że uległa głosowi rozsądku, była jednak pewna, że postąpiła słusznie. Przelotne romanse nie były w jej stylu. A gdyby pozwoliła sobie na coś takiego akurat w tej chwili, oznaczałoby to dla niej polityczną śmierć. Tylko

tego brakowało, żeby wyborcy dowiedzieli się o skandalizującym życiu prywatnym kandydata. Wystarczy wspomnieć, jak zaszkodziło to w ostatniej dekadzie politykom ubiegającym się o urzędy państwowe. Zresztą w małym mieście niczego nie można długo ukrywać. Nic nie jest sekretem, nic nie jest święte, czy się to komu podoba, czy nie.

Wolno posuwała się górską drogą, uważając, by z boku nie wyskoczył jej pod maskę jeleni. Dom Essexów znajdował się mniej więcej na jednej trzeciej drogi na Linville Mountain, a płowa zwierzyna przemieszczała się tu całkiem swobodnie, jakby samochody w ogóle nie istniały. Allison szanowała jej prawo do bytowania w tym miejscu. Gdyby przypadkiem natknęła się na jelenia, na pewno zjechałaby na pobocze, żeby go ominąć. Zresztą uważała, że tylko idiota może mocno naciskać pedał gazu na krętej, górskiej drodze.

Tego wieczoru nie spotkała na drodze jelenia, chociaż widziała ich wiele na bujnych łąkach. Jednak gdy zjeżdżała już w dolinę, w której leżało miasteczko, zorientowała się, że mimo późnej pory nie jest na drodze sama. Jechał za nią inny samochód. Co dziwniejsze, miał zgaszone światła. Zwolniła z nadzieją, że tamten kierowca ją wyprzedzi i przy okazji przypomni sobie o zapaleniu reflektorów. Ale samochód za nią również zwolnił. Gdy zirytowana przyspieszyła, tamten zrobił to samo.

Ogarnął ją dziwny lęk. Pomyślała o starciu z mężczyzną na parkingu i nagle poważnie się zaniepokoiła. Dom Matta stoi na

odludziu, jest jednym z zaledwie czterech czy pięciu rezydencji przy tej drodze.

Czyż Walt nie ostrzegał Matta, żeby uważnie patrzył we wsteczne lusterko? Ostrzeżenia policjanta nie należy lekceważyć. A ten Teddie jak-mu-tam chyba ją kojarzy z Mattem.

Bała się, a jednocześnie była wściekła. W porównaniu z większymi miastami przestępstwa w Linville Springs były rzadkością, ale czasem się zdarzały.

Na szczęście jednak nie tym razem. Gdy dotarła do jaskrawo oświetlonej obwodnicy, samochód jadący za nią błysnął światłami i skręcił w aleję z elegancką, niską zabudową. Po prostu spóźniony kierowca, który uświadomił sobie swój błąd, pomyślała Allison. Wygłupiała się, dopuszczając do siebie paniczne myśli.

Na wszelki wypadek spojrzała jednak na tablicę rejestracyjną samochodu. Była za daleko, żeby odczytać numer, zauważyła jedynie, że samochód nie jest z Wyoming. I ma pudełkowaty kształt.

Następnego rana ledwie zdążyła zwlec się z łóżka na czas, żeby zdążyć do kościoła. Wypuściła Fred na podwórze za domem, przepraszając za poniechanie porannego spaceru.

- Jak na mnie, to wróciłam późną nocą, suńka - powiedziała, wpuszczając ulubienicę z powrotem do kuchni, gdy pudliczka załatwiła swoje sprawy. - Przykro mi, ale mam zaległości.

Fred się obraziła, lecz zjadła solidne śniadanie i wkrótce zasnęła spokojnie na nie posłanym łóżku. Ta to ma dobrze, pomyślała jej pani, uśmiechając się pod nosem. Troski Fred ograniczały się do kilku spraw, takich jak poranny spacer i pełna miska.

W kościele Allison nie zdołała ani się odprężyć, ani odzyskać energii. Zwykle jej się to udawało, ale tego dnia czekała na piknik z Mattem i nie mogła się skupić na nabożeństwie. Siedziała całkiem rozkojarzona, a znajome słowa zupełnie do niej nie docierały. Nie została potem na kawie z przyjaciółkami. Kilka osób proponowało jej wspólny niedzielny obiad, ale wymówiła się innymi planami. Wywołało to kilka uśmiechów i parę zdziwionych min, lecz Allison nie tłumaczyła się bardziej szczegółowo. Uznała, że nic ludziom do tego.

Wróciwszy do domu, szybko przygotowała się do pikniku i zadzwoniła do Matta. Przypuszczała, że przynajmniej on miał okazję się wyspać. Laurel chyba dała mu rano wolne, bo bardzo późno zasnęła. Allison stała więc przy telefonie i liczyła dzwonki. Trzy kocice ocierały się o jej nogi, miauczeniem domagając się śniadania, a Fred szczełała, dając w ten sposób do zrozumienia, że chce wyjść na spacer. Wreszcie Allison odłożyła słuchawkę, uznawszy, że Matta po prostu nie ma w domu.

Albo nie odpowiada. Przypomniła sobie samochód, który przestraszył ją poprzedniego wieczoru. Co to była za marka? Coś pudełkowatego, pewnie z napędem na cztery koła; bronco albo suburban. Takie wrażenie zostało jej po jednym zerknięciu przy pełnym oświetleniu. Oprócz tego zauważyła, że tablica rejestracyjna była z innego stanu. Spróbowała sobie przypomnieć coś więcej. Czy samochód pojawił się przy domu Matta, czy później? A najważniejsze, czy jechał specjalnie za nią? Tego nie wiedziała.

Nagle Fred zmieniła sposób szczekania. Przestała panią przynaglać i ogłosiła alarm: inwazja na jej terytorium. Rozległ się dzwonek. Allison zostawiła w spokoju aparat telefoniczny i podeszła do drzwi. Zawahała się, ale natychmiast zrobiło jej się z tego powodu głupio, więc otworzyła.

Na progu stali Matt z Laurel, czyści, ubrani w dżinsowe stroje, z uśmiechami na twarzach. Fred zaczęła wokół nich skakać, szczekając wniebogłosy.

- Piesiek! - zapiszczała Laurel. - Au-au! - Wy-chyliła się z objęć Matta i wyciągnęła ręce do Fred, która natychmiast uznała, że należy zmykać, gdzie pieprz rośnie.

- Cześć - powiedział Matt. - Dostałaś wiadomość? Zapowiedziałem, że będziemy godzinę wcześniej. Trochę za długo się wyprawialiśmy. Przepraszam.

- Cześć. - Cofnęła się, żeby wpuścić Matta. - Nie dostałam żadnej wiadomości... Ach, po powrocie z kościoła nie sprawdziłam sekretarki. W każdym razie dobrze, że się spóźniliście. Ja też jeszcze nie jestem całkiem gotowa. Właśnie przygotowywałam dla nas lunch. Fred, siedź cicho!

Suka wycofała się w głąb korytarza i tam niemiłosiernie ujadła.

- Piesiek - zażądała Laurel. W tej chwili jednak zauważyła trzy koty, które stały przy kuchennych drzwiach, obserwując przedstawienie. - Piesiek? -zainteresowała się.

- Nie - odparła Allison, biorąc na ręce najbliższą kocicę. - To jest kot, Laurel. Miaaau. Kot. Nazywa się Tom. Kotek Tom.

- Kotek. - Laurel pobieżnie przesunęła dłonią po futrze Tom i wskazała na Fred, która nieco się uspokoiła i szczekała już tylko co jakieś dwadzieścia sekund. - Piesiek!

- Ale menażeria - zdziwił się Matt. - Czy mogę postawić ją na ziemi? Ten pies gryzie?

- Tak. Nie. - Allison puściła Tom na ziemię i wielka, łaciata kocica prysnęła w nieznanym kierunku. - Fred nie gryzie. Po prostu ją zaskoczyliście, a nie jest przyzwyczajona do takich małych dzieci. Czekaście. - Zawołała sukę. Fred przyczołgała się bezgłośnie z błagalnym spojrzeniem w oczach. U stóp Allison przewróciła się na grzbiet, odsłaniając miękki brzuch. Allison wzięła ją na ręce, - Tu jest piesek, Laurel. Możesz delikatnie go dotknąć. Tylko delikatnie. - Fred aż drżała ze strachu.

Laurel usłuchała. Oczarowana, delikatnie pogładziła grzbiet pudliczki. Fred się odprężyła i polizała małą po ręce. Laurel pisnęła, cofnęła dłoń, a potem zachichotała.

- Mieńki - powiedziała.

- Tak, miękki - potwierdziła Allison. Wstała, przyglądając się z uwagą dziecku i psu, ale wyglądało na to, że ich stosunki układają się dobrze. Harry, najbardziej dojrzała z kocic, półsyjamka, dobrowolnie podeszła powąchać Laurel i sprawdzić, co to za istota. Allison ze zdziwieniem stwierdziła, że mała głaszcze kocicę po głowie, zostawiając w spokoju prowokujący długi ogon. - Popatrz, Matt, jaka ona jest delikatna. Chyba rozumie, że zwierzęta się boją. Powinieneś pomyśleć o jakimś stworzeniu dla niej.

- Jeszcze tego mi brakowało. - Mimo wszystko Matt również był pod wrażeniem zachowania siostrzenicy. - Grzeczna, prawda? - dodał z dumą.

- Jasne. - Allison uśmiechnęła się. - Zaraz przyniosę koszyk zjedzeniem. Poczekajcie minutkę.

Matt przykląkł obok Laurel i Fred.

- Masz, co twoje - mruknął, drapiąc pudła za uchem.

Allison przyglądała im się w zachwycie.

Wyglądali jak rodzina. Jak jej rodzina. Pokręciła głową, wyrzucając z myśli to wyobrażenie i słowa. Przecież są obcymi ludźmi. W najlepszym razie przyjaciółmi. A ona ma swoją rodzinę, swoje bliźniaki i swoje życie.

Laurel i Fred wyglądały na głęboko zasmucone, usłyszawszy, że pudliczka ma zostać w domu, więc Allison zmieniła szybko zdanie i uległa ich błagalnym spojrzeniom. O dziwo, Fred, która zawsze w samochodzie włąziła jej na kolana, tym razem natychmiast wskoczyła na tylne siedzenie samochodu, obok fotelika Laurel. Zajęła strategiczne miejsce, w którym mogła od czasu do czasu spodziewać się miłej pieczyoty ze strony wyraźnie zachwyconej nią dziewczynki.

- Zdaje się, że straciłaś psa - powiedział Matt, sadowiac się na miejscu obok kierowcy, wstawiwszy uprzednio piknikowy kosz do bagażnika. - Albo zyskałaś dziecko.

- Dziękuję, nie skorzystam. - Przekręciła kluczyk w stacyjce. - Dwoje mi starczy, a Fred po prostu chce wzbudzić moją zazdrość. To urodzona intrygantka.

Wyprowadziła samochód na ulicę. Ciepłe czerwcowe powietrze wpadało przez uchyloną szybę, włosy łaskotały jej szyję. Wrażenie było bardzo przyjemne, więc nie podniosła szyby.

- Nie wierzę ci. - Dotknął jej ramienia, potem policzka. Po ciele Allison przebiegł dreszcz. - Na pewno specjalnie wytrenowałaś tego psa, żeby oczarował Laurel. Wiedziałaś, że wtedy będę miał czas tylko dla ciebie.

Zerknęła na niego, a gdy przekonała się, że żartuje, przesłała mu uśmiech.

- Jesteś znakomity, Matt. Nie dziwię się, że podrywasz gwiazdy filmowe.

Jego uśmiech zniknął.

- Nie wierz we wszystko, co czytasz w brukowcach.

- Nie czytuję takiej prasy.

- Więc skąd...?

- Zdaje się, że w tym mieście czytają je wszyscy poza mną. Mnie całą wiedzę o tobie sprzedała June Watson. To jest miejscowy autorytet w sprawach Hollywood.

Matt zasłonił usta dłonią, wyrwało mu się bowiem przekleństwo.

- To był bardzo głupi okres w moim życiu - powiedział. - Upoił mnie blask tego wszystkiego, zanim zorientowałem się, jakie to chore i płytkie.

- Ej! - Klepnęła go po udzie. - Nie bierz tego tak poważnie. Ja w każdym razie żartowałam. Tu nie ma gwiazd, są sami zwykli ludzie. Mamy niedzielę, dzień odpoczynku, i jedziemy na piknik. Pamiętaj o

tym. Chcesz się trochę odprężyć, nim jutro znowu zacnie się wyścig szczurów?

- W Linville Springs wcale nie ma wyścigu szczurów - zaprotestował. - Wierz mi. - Oparł głowę na zagłówek. - Nigdy w życiu nie byłem w tak sennym miejscu. Powinno się je przemianować na Valium City.

- Może tu jest po prostu normalnie.

- Czyżbym słyszał w twoim głosie defensywny ton?

- To nie ja robię złośliwe uwagi o twoim rodzinnym mieście. - Skręciła w przecznicę, kierując się ku autostradzie. - Nie jestem defensywna, tylko chronię to, co dla mnie ważne.

- Spokojnie, Allie. - W jego głosie zabrzmiała ostra nuta. - Musisz przyznać, że tu się żyje na stojąco w porównaniu z Los Angeles albo Nowym Jorkiem. Albo z którąkolwiek światową metropolią. Gdybyśmy na przykład chcieli wyjechać na piknik z Los Angeles, musielibyśmy to zrobić znacznie wcześniej, żeby przebić się przez korki.

Roześmiała się.

- Jeśli lubisz, możesz żyć w pełnym biegu. Dla mnie to jest samobójcze.

- Może. - Teraz on był w defensywie. - Ale właśnie tam człowiek ma możliwości. Tam się toczy życie, moja droga.

- A tu nie?

- Tego nie powiedziałem.

- Może nie wprost. - Spojrzała na niego wyzywająco i uśmiechnęła się. - Ale z pewnością tak pomyślałeś. Mniejsza o to,

Matt. Pokażę ci, że życie przez duże „Z” jest tutaj, w Valium City, jak nazwałeś Linville Springs.

- Wprost umieram z niecierpliwości.

- No i dobrze. - Znów się uśmiechnęła, tym razem przekornie. -

Może oszczędzi mi to kłopotu.

RS

Miejsce wybrane przez Allison na piknik świetnie nadawało się do rozpoczęcia planowanej przez nią kampanii. Pierwszym krokiem było pokazanie Mattowi okolicy Linville Springs. Na drugi, o czym wiedziała, należało poczekać, aż oswoi go z miasteczkiem. Chciała, żeby poznał miejscowe wydarzenia kulturalne i sportowe, życie umysłowe, a przede wszystkim odnalazł tu coś, co umyka zabieganemu człowiekowi w wielkim mieście.

Uśmiechnęła się do siebie. Matt nie ma o tym pojęcia! Nie zdaje sobie sprawy, że tutaj wszystko jest w zasięgu ręki, najdalej kwadrans od domu. Tu nie ma stania w korkach ani nużących podróży podmiejskimi pociągami. Istny raj!

Przez chwilę jechali autostradą międzystanową, wkrótce jednak skręcili na drogę prowadzącą w stronę niskich gór. Teraz na jezdni ledwie starczało miejsca na dwa pasy ruchu i Allison zauważyła, że na ostrych zakrętach Matt mocno się trzyma ramy. Była pewna, że zdarzało mu się jeździć po znacznie gorszych drogach, widocznie więc nie czuł się bezpieczny z takim kierowcą jak ona. Trudno, jego problem. Allison świetnie wiedziała, na co może sobie pozwolić za kierownicą.

Laurel i Fred spały, uśpione ciepłem i kołysaniem w samochodzie. Pudliczka oparła łeb o nogę dziewczynki. Dziwne, pomyślała Allison. Fred na ogół nie lgnęła do dzieci. Bliźniaki,

owszem, lubiła, ale każde z nich chodziło swoimi drogami. Nigdy nie przytulała się do Sama i Sally tak jak do Laurel. Ciekawe.

Jechała i z zainteresowaniem przypatrywała się okolicy. Ostatnio padały ulewne deszcze, więc polne kwiaty obficie kwitły, a rozległe łąki wyglądały jak dzieło zaprzysięgłego impresjonisty. W słońcu mieniły się plamy błękitu, żółci, oranżu i czerwieni. Nawet trawy pstrzyły się kolorami, od głębokiego ciemnozielonego po bladooliwkowy, a nawet fioletowy i złocisty. Matt przyglądał się tej scenerii bez słowa, ale widziała zachwyt w jego oczach.

- U nas na dużej wysokości ziemia często przypomina pustynię - powiedziała. - Wprawdzie po obfitych deszczach, takich jak tej wiosny, wszystko kwitnie na wyścigi, ale bywają lata, kiedy o tej porze widać tylko zbrązowiałe od upału i suszy trawy. Kwiatów ani śladu.

- Trudno mi to sobie wyobrazić. Ta zieleń jest taka bujna.

- Możesz mi wierzyć. W tym rejonie klimat jest surowy. Susze zdarzają się częściej niż powodzie. Jeśli pokrywa śnieżna jest za cienka, przy pierwszych oznakach upału wszystko po prostu więdnie i marnieje.

- Jak wobec tego cokolwiek może tu żyć? - Wreszcie wykazał zainteresowanie.

- Kwestia przystosowania. Antylopy i jelenie w razie konieczności jedzą wszystko. Któregoś roku przez prawie cały styczeń trzymały zabójcze mrozy. Dwadzieścia, trzydzieści stopni poniżej zera. W wielkich stadach padły wszystkie słabe zwierzęta. Wiele sztuk leżało martwych w śniegu. Ale reszta przeżyła, jedząc to,

czego teraz by nie tknęła. Cykle przyrody są zadziwiające. W tym roku przyszła kolej na urodzaj.

- Rozumiem, że antylopy i jelenie bardzo się z tego cieszą.

- Też tak myślę.

Matt wlepił wzrok w boczną szybę. Przejeżdżali przez las, blisko wąskiego, bystrego strumienia z żeremiami bobrów. Allison wskazała tamy i zaostrome pniaki drzew powalonych przez zwierzęta.

- Na razie bobry nie wyłażą. Za gorąco - wyjaśniła. - Wieczorem znowu wezmą się do pracy. Będą ciąć pnie, coś tam mocować, naprawiać, gromadzić zapasy na zimę. Bardzo sobie chwalą mieszkanie tutaj, jeśli tylko się do nich nie wtrącać.

- A drapieżniki? To znaczy naturalni wrogowie?

- Niewiele ich tu zostało. Większość wybili ludzie. Czasem odstrzał był potrzebny, przeważnie nie.

- Ot, historia współzycia człowieka z innymi gatunkami. Oswoić albo zabić. Czasem i jedno, i drugie.

Zabębnił palcami po szybie.

- W każdym razie nie ulega wątpliwości, że groźny z nas gatunek. Tu widzisz to z bliska, na własne oczy.

- Nie wiem... Z bliska widzi się też uliczne strzelaniny w Los Angeles, wybryki na autostradach, handel narkotykami i ich ofiary.

- Myślałam, że masz mocny kark. A ty co?

- Po prostu mówię prawdę. Nie twierdzę, że tam jest bezpiecznie, tylko że to jest ekscytujące. Odpleśniające. Żyjesz w samym środku.

- Środku czego? - spytała, skręcając na bitą drogę, nadającą się bardziej dla pieszych niż samochodów. Wiosenne deszcze nie dały rady pyłowi, który wzbijał się białoszarymi kłęбами spod tylnych kół.

- Pobojowiska?

- Ale śmieszne. - Matt chwycił za klamkę. - Co za sens pchać się tutaj? Chcesz mi poodbijać nerki?

- Ćwiczymy jazdę terenową. Myślałam, że lubisz przygody. Zresztą na pewno jeździłeś po większych bezdrożach.

- Nie z dzieckiem, pudlem i piknikowym koszykiem. - Uśmiechnął się szeroko, odbierając tym słowom złośliwy wydźwięk. - I nie z takim ładnym kierowcą. A muszę przyznać, że jesteś dobra.

- Dzięki. - Zwolniła, żeby ominąć duży kamień sterczący pośrodku drogi. - Ale schlebianie kierowcy nie ułatwi ci tej podróży ani jej nie skróci. Zabieram was z Laurel w bardzo szczególne miejsce.

Znów musnął palcami jej policzek.

- Już nas zabrałaś.

Allison zadrżała, bo dotyk Matta sprawił jej wielką przyjemność. Nawet pożałowała, że mają z sobą psa i dziecko, aczkolwiek w pewnym sensie należało się z tego cieszyć.

Sceneria znów się raptownie zmieniła. Zbliżali się do celu. Bitą drogą wiała się w górę wśród wzniesień i skał. Mijali majestatyczne urwiska z szarobiałego kamienia i ziemi. Kamienisty grunt urozmaicały trawy i polne kwiaty, przydając mu barw i życia.

Matt przestał udawać całkowity brak zainteresowania; obserwował okolicę i otwarcie podziwiał otaczające ich piękno.

- I pomyśleć, że masz to wszystko pół godziny od domu - powiedział. - W dodatku, odkąd skręciliśmy z autostrady, nie spotkaliśmy ani jednego pojazdu.

- W Wyoming jest więcej bydła i owiec niż ludzi. Władze federalne nie zaliczają nas nawet do kategorii stanów rolniczych. Za niska gęstość zaludnienia. Mamy oficjalny status kresów.

- Chyba słusznie - przyznał. - W Kalifornii lub Arizonie takie piękne tereny byłyby podczas weekendów pełne ludzi. Założono by rezerwat przyrody, a grupa zwolenników New Age rozbiłaby tam, na skałach, obóz i pracowała nad pogłębianiem świadomości. Krótko mówiąc, kompletna zgroza.

- Ratuje nas klimat - odrzekła. - Przez większą część roku jest bardzo surowy. Dzięki temu piękno zostaje dla tych, którzy chcą sobie zadać trochę trudu.

Matt milczał. Początkowo nie miał zamiaru ulec wrażeniu, lecz Allison zaraziła go entuzjazmem. Ta kraina nie była baśniowa i mistyczna. Podejrzewał, że pod pewnymi względami daje się we znaki nawet bardziej niż miasto pełne brudów, z którego ostatnio wyjechał, i tropikalne dżungle, które przemierzał. Mimo wielu podróży i przygód, które miał na swym koncie, pozostał jednak zwierzęciem ciepłolubnym. A tu miesiąc temperatur poniżej zera! O takim okropieństwie aż niemiło myśleć!

- Co robisz, kiedy przychodzi zima? - spytał. - Rozumiem, że ktoś organizuje ekspedycję polarną albo wspinaczkę na Mount Everest, ale żeby normalni ludzie musieli znosić takie kaprysy

pogody?! Jak jakakolwiek społeczność może w tych warunkach funkcjonować?

Roześmiała się.

- Trzeba bardzo uważać, oczywiście. - Zwolniła, bo przejeżdżali przez strumyk, którego koryto przebiegało akurat w poprzek drogi. - Co najśmieszniejsze zdarza się, że jest czterdzieści stopni poniżej zera, a w parę godzin później dwadzieścia albo i trzydzieści ciepła. Pogoda zmienia się dosłownie w okamgnieniu. Przy każdej takiej okazji pękają rury. Hydraulicy zarabiają wtedy krocie.

- U ciebie w domu też kiedyś pękły?

- Jasne. Niedługo po tym, jak się tu sprowadziłam. Dzieciaki były mniej więcej w wieku Laurel, może odrobinę starsze. W środku nocy zbudził mnie taki odgłos, jakby przez dom płynął strumień. Tyle że to nie był strumień, a bulgocąca woda, która zalała całą piwnicę. Na szczęście jeszcze wtedy nie pracowałam na własny rachunek i na dole nie było komputera, a...

- I co zrobiłaś? Wzruszyła ramionami.

- Napełniłam wodą wszystko, co się do tego nadawało, z wanną włącznie, i zakręciłam dopływ. Rano wezwałam hydraulika. Miał w tych dniach szalone powodzenie, bo nie u mnie jednej popękały nocą rury. Ale w końcu przyszedł. Potem, po naprawie i sprzątnięciu tego całego bałaganu, kazałam solidnie opatrzyć rury. - Zatrzymała samochód. - No, jesteśmy na miejscu. I jak?

Matt milczał. Nie był pewien, czy powinien jej wyjawić, co naprawdę myśli o niej i o tym miejscu. Ogarnął go bowiem zachwyty.

- Wspaniale - powiedział. - Zjedźmy coś. Jestem głodny jak wilk. - Zauważył na jej twarzy przelotny wyraz rozczarowania i poczuł się jak barbarzyńca. Nie ufał sobie jednak na tyle, by się przed nią odkryć.

W gruncie rzeczy nawet nie bardzo umiał nazwać to, co miałby odkryć. Nigdy dotąd czegoś takiego nie doznał.

Allison potraktowała jego obojętną reakcję jak łagodną krytykę. Miał rację. Wywiozła ich za daleko w porze lunchu. Źle to wymyśliła. Ale mimo wszystko miejsce wydało jej się warte zachodu. A Laurel podczas jazdy spała, więc nie dopominała się o jedzenie. Zaczęła grymasić dopiero po przebudzeniu, zaraz się jednak rozchichotała na widok Fred.

Matt pomógł dziecku wydostać się z fotelika. Zaparkowali samochód w wąskiej dolinie pełnej topól. Od jednej strony ograniczała ją wysoka, szara skalna ściana, którą zdobiły żółte kwiaty wyrastające z niewidocznych zagłębień i jedna dzielna sosna, stercząca pochyło z głębokiej szczeliny. Po drugiej stronie zbocze było mniej strome, a u jego podnóża rozpościerała się wielka, ukwiecona łąka, wznosząca się powyżej dna doliny o jakieś pięć, sześć metrów. W najniższej części sączył się wąty strumyk i właśnie ku niemu Allison ich skierowała. Sama wzięła koszyk z jedzeniem, nie dając Mattowi okazji do zaoferowania pomocy. Matt ujął więc za rękę Laurel i podążył za przewodniczką. Fred obskakiwała ich z każdej strony.

Matt natychmiast dostrzegł cel ich wędrówki. Potężny, spłaszczony głaz przy wodzie stanowił wymarzony stół dla amatorów

pikniku. Fred wyraźnie znała to miejsce, bo wybiegła naprzód, tropem jakichś niewidocznych miejscowych stworzeń. Dobiegła do strumienia i skoczyła do wartko płynącej wody. Laurel zachichotała i chciała zrobić to samo.

- Nie pozwól Laurel pić ze strumienia - ostrzegła Allison. - Woda prawdopodobnie jest czysta, ale nie warto ryzykować. Organizm Fred na pewno to zniesie, ale dla nas w razie potrzeby możemy wodę zagotować.

- Odstawiła koszyk na skalny stół i wyjęła z niego termos oraz filiżanki. - Masz, Laurel - powiedziała, nalewając płynu z termosu. - Lemoniada. Mniem, mniem.

- Laurel sięgnęła po filiżankę i zaczęła chciwie pić, obficie zalewając sobie brodę.

- Może będzie mogła wykapać się w strumieniu - mruknął Matt.

- Może wszyscy się wykapiemy - odrzekła Allison, gdy Laurel bardzo energicznie zwróciła filiżankę, przy okazji rozpryskując jej na dżinsy resztę lemoniady. - Po to tu jest ten strumień. Brodziłam w nim z bliźniakami nie wiem ile razy. Budowaliśmy z kamieni małą tamę, jak bobry, i potem mogliśmy się chlapać do upojenia.

Odwróciła się, wyjęła torbę z kanapkami, sałatkę ziemniaczaną w małych miseczkach, sałatkę z kapusty i galaretkę. Zaczęła się krzątać jak gospodyni domowa, żeby nakarmić mężczyznę i dziecko.

Matt roześmiał się z zakłopotaniem, wyobraził sobie bowiem, jak Allison rozbiera się i kąpie w płytkim strumieniu. Lekki wiatr rozwiewa jej długie, jasne włosy, krople wody mieniają się w słońcu na

gładkich, nagich ramionach, a piersi twardnieją... Odkasznął, żeby pozbyć się tego erotycznego, a zarazem romantycznego obrazu.

Ale nie potrafił. Seks był w jego wizji chyba mniej ważny niż macierzyństwo. Allison jawiła mu się bowiem nie z nim, lecz z dziećmi. Wieczna matka, silna, młoda, w zgodzie z naturą i z sobą...

- Mama? - Laurel pętała się dookoła, badając każdy szczegół: żółty kwiatek, pajęczka i absolutnie wszystko, co interesowało Fred.

- Słucham - odpowiedziała machinalnie Allison.

- Tjo? - Laurel pokazała lśniący odłamek skały.

Allison wstała i podeszła do dziewczynki. Przyklękła obok niej i w prostych słowach wyjaśniła, czym jest skała. A Matt Glass poczuł jakieś dziwne ściskanie w sercu.

Potem wreszcie zjedli lunch. Fred, wyczerpana badaniem terenu, zasnęła w cieniu. Laurel przez chwilę się bawiła, coraz bardziej rozdrażniona, w końcu jednak i ona zasnęła na kocu obok suki. Na drzewach ćwierkały ptaki, kręciła się ziemna wiewiórka, wiatr wzdychał w koronach topól. Również Matt westchnął.

- Tak chyba jest w niebie - powiedział oparty plecami o skałę, zrobiwszy sobie poduszkę z koszuli. Upał dotarł nawet na tę wysokość, więc przyjemnie było czuć na skórze ruch powietrza i ciepło promieni słońca. - Już nie pamiętam, kiedy mi było tak dobrze.

- Zdrzemnij się - poradziła mu Allison, chowając do koszyka pozostałości z lunchu. - Po to są niedzielne popołudnia.

Matt zamknął oczy.

- Oj, pani Ford, na jakim świecie pani żyje? Niedzielne popołudnia są po to, żeby martwić się o poniedziałkowe ranki.

- O nie. Nie tutaj.

Zabręczało srebro i wtedy Matt uświadomił sobie, że Allison nie wzięła jednorazowych naczyń ani sztućców. Mieli prawdziwe srebrne noże i widelce, i talerze z twardego plastyku do mycia w zmywarce i wieloletniego użytku. Nawet serwetki były płócienne. Bardzo mu się to spodobało, bo nie lubił ludzi zostawiających po sobie śmietnik w przyrodzie. A tutaj środowisko, mimo swej surowości, było z pewnością równie wrażliwe jak las tropikalny. Allie odnosiła się z szacunkiem do ziemi, którą kochała. Matt zaczął nad tym rozmyślać i... przysnął.

Allison siedziała cichutko, sama bliska zaśnięcia, i przyglądała się mężczyźnie obok. Wydawał się młodszy niż był w rzeczywistości, dziwnie niewinny i o wiele bardziej bezradny. Większość mężczyzn tak wygląda, pomyślała, odwracając spojrzenie w bok. To nie ma nic wspólnego ze stanem faktycznym, to zwykły skutek rozluźnienia mięśni. Ale w twarzy śpiącego Matta było coś intrygującego, co znów przy ciągnęło jej uwagę.

Przyjrzała mu się dokładnie. Był naprawdę bardzo przystojny. Nie miał w twarzy niczego pospolitego, prostackiego. Jego rysy uwodziły męskością, szorstkie akurat na tyle, by wydały się interesujące. Ktoś taki nieuchronnie kusił i wzbudzał dreszcz niepokoju. Podniosła z ziemi kamyczek i cisnęła go do strumyka. Fred postawiła uszy, ale oprócz niej nikt się nie poruszył.

Gdyby zdecydowali się z Mattem na romans, potrafiłaby utrzymać to w tajemnicy. Miała w tej dziedzinie pewne doświadczenia. Nie należała do samotnych matek, które sprowadzają

pod swój dach „wujków”, żeby dzieci się przyzwyczyły. Nigdy nie uległa kobiecym potrzebom na tyle, by przekroczyć granicę; umiała nad nimi zapanować tak samo jak nad wszystkim innym. Fizyczna namiętność odzywa się z takim natężeniem, na jakie jej człowiek pozwala.

Matt westchnął przez sen i zaczął pochrapywać. Ten odgłos wydał jej się dziwnie kojący. Miała wrażenie, że zaufał jej dostatecznie, by całkowicie się odprężyć. Spłoszyła wielką końską muchę, która nad nim zawisła, a potem, ścigana, przeleciała nad skuloną Laurel. Fred otworzyła jedno oko, zaraz jednak zamknęła je znowu.

Co pomyślałyby o Matcie bliźniaki? Allie rozważała to uważnie, obserwując, czy mucha nie wraca. Jej kowboj z Montany bardzo im przypadł do gustu, ale to dlatego, że był częścią życia na ranchu, które uwielbiały dzięki dziadkom. Matt nie miał z tym nic wspólnego. Obecnie mu było właściwie wszystko, co dla nich stanowiło chleb powszedni. No i nie był sam. Miał pod opieką dziecko. Jak bliźniaki zareagowałyby na obecność Laurel?

Uznała, że nie ma sensu o tym rozmyślać właśnie w tej chwili. Między nią i Mattem nic jeszcze nie zaszło, jeśli nie liczyć przelotnego pocałunku i lekkiego niepokoju, jaki zapanował w jej duszy. Nie wiedziała, co Matt o niej sądzi poza tym, że wyraźnie lubi jej towarzystwo i chyba coś go do niej ciągnie. Zapewne jest nieco znużony życiem, a ona mu zapewnia nieskomplikowaną rozrywkę.

Nie, nie wolno jej tak myśleć. Matt ma w sobie więcej przyzwoitości. Nie zmienia to jednak faktu, że jest mu z nią po prostu wygodnie.

No, jej z nim też. Allison cisnęła następny kamyk i patrzyła, jak rozpryskując wodę, zanurza się w czystym strumieniu. Nie miała prawa kwestionować motywów Matta. Postanowiła pozwolić sobie na chwilę odpoczynku i położyła się. Nad głową widziała bezchmurne, błękitne niebo, jak często latem w Wyoming. Znalazła się na granicy między snem i jawą...

Po przebudzeniu Matt, Laurel i Fred pobiegli do strumienia. Zaczęli bawić się i pryskać na siebie wodą. Matt odkrył, że Fred uwielbia aportować małe, płaskie kamyki. Jak zwykle pudliczka robiła to całkiem bezgłośnie. Aportowanie było dla niej zbyt poważną sprawą, by zakłócać ciszę zbędnym szczekaniem.

Allison usiadła i znów ogarnęło ją wrażenie, jakby byli jedną rodziną. Matt, który zręcznie dzielił uwagę między Laurel, chlapiącą się w wodzie do kostek, i Fred, pomachał jej dłonią i uśmiechnął się szeroko.

- Cześć, śpiochu - zawołał. - Miałaś miłe sny?

- Nic mi się nie śniło. - Wstała, przeciągnęła się i popatrzyła w niebo. - Ojej.

- Co?

Wyciągnęła rękę ku górze. Nad horyzontem wisiały złowrogie chmury, ciemne jak noc. Niebo nad doliną nadal było błękitne, ale zerwał się wiatr.

- Czas się zwijać - powiedziała. - Od północy nadchodzi burza.

Matt wziął Laurel na ręce, nie zważając na jej protesty.

- Groźna?

Allison wzięła na ręce Fred.

- Bywa groźna. Wołałabym, żeby nie złapała nas na polnej drodze. Lepiej się pospieszmy.

W parę minut później samochód gnał po wybojach całym pędem. Tym razem Matt siedział z tyłu z Fred na kolanach, a ramieniem przytrzymał fotelik Laurel. Wyjaśnił, że nie całkiem ufa temu urządzeniu, Allison odniosła jednak wrażenie, że chodzi raczej o jej umiejętności prowadzenia samochodu.

Brakowało im kilkuset metrów do szosy, gdy dopadły ich nagle deszcz i wiatr. Matt, który widział niejedną tropikalną burzę, był zdumiony gwałtownością wichury.

- Stań! - zawołał, usiłując przekrzyczeć odgłosy uderzeń gradu o dach samochodu. - Znajdźmy jakieś schronienie, szybko! - Mocno przytrzymując Fred, objął Laurel.

- Mam! - odkrzyknęła Allie. - Jakieś sto metrów stąd.

Przysunęła twarz do szyby, żeby cokolwiek dojrzeć przez gęstą zasłonę deszczu i gradu. Jechała teraz tak wolno, że samochód niemal pełzł. Wypatrywała zakrętu, który musiał być już blisko.

- Po prostu stań - zaproponował Matt, przekrzykując metaliczny hałas. - Będziemy bezpieczniejsi.

- Miej zaufanie do kierowcy! - Nagła wilgoć w powietrzu sprawiła, że przednia szyba zasnuła się od wewnątrz mgłą. Allison przetarła ją dłonią. - Już prawie jesteśmy u celu.

Jechała dalej mimo sprzeciwów Matta. Przerażona Fred piskliwie ujadła, a Laurel zaczęła płakać.

Dotarła do zakrętu, wykonała ruch kierownicą i przez chwilę zdawało jej się, że siedzi za sterami hydroplanu. Po chwili jednak opony znów wpadły w błotnistą maź. Przesuwali się wolno, metr za metrem, i nagle zrobiło się lepiej. Wjechali pod gęsty, topolowy baldachim. Bębnienie gradu ustało prawie natychmiast, chroniły ich bowiem grube konary, bujnie okryte listowiem.

- Uff! - Opadła plecami na oparcie siedzenia i wyłączyła silnik. - Trochę za dużo rozrywki jak na mój gust. - Odwróciła się do pasażerów. - A jak wy?

- W porządku. - Matt głaskał na kolanach wystraszoną sukę i tulące się do niego dziecko, bowiem gdy silnik zgasł, Laurel zdołała wygramolić się z fotelika i przenieść do bezpiecznego schronienia na jego kolanach. Dzielila tę przestrzeń z Fred, która drżała jak liść osiki. - Zapomnij, że mówiłem o miasteczku Valium. Zwracam honor. Przed chwilą o mało nie wypadliśmy z drogi.

- Bzdura. Przez cały czas byliśmy absolutnie bezpieczni.

Wyciągnęła rękę, żeby popieścić Fred, która stopniowo się uspokajała, chociaż wciąż chciała być jak najbliżej Matta. Laurel zdążyła już odzyskać odwagę i przyglądała się z podziwem gradowym kulom, leżącym na ziemi tuż przed topolową aleją.

- Pewnie - mruknął ironicznie i zaczął pokazywać Laurel, jak rysować palcem po wilgotnej szybie.

- Ciekawa jestem, czy ona pamięta śnieg - rozmyślała na głos Allison, wsparłszy się pod brodę. -I czy zapamięta ten grad? Mam nadzieję, że nie przestraszyła się za bardzo.

Matt narysował śmieszka, a Laurel z chichotem przyłożyła palec do rysunku. Fred skoczyła do szyby i polizała wesołą buzię. I ona też zapomniała już o strachu.

- Raczej nie, to zresztą widać - powiedział Matt. - Ona jest zaprawiona w bojach. Twarda sztuka. Wszyscy mamy jakieś blizny, ale mimo to ciągniemy dalej, nie? - Pocałował Allison w policzek. - Znam wielu ludzi, ale nikogo takiego jak ty. Bez przerwy mnie zaskakujesz. I dobrze. Niezły z ciebie numer, wiesz?

- Jeszcze nie, ale chętnie się czegoś dowiem.

Przez dłuższą chwilę patrzyli sobie w oczy. Napięcie erotyczne osiągnęło trudny do zniesienia poziom, zaćmiło wszystkie inne doznania. Allison wyczuwała je całym ciałem: magiczne poczucie bliskości i pożądania.

Bum! Bum! Wielka pięść, łomocząca w szybę tuż przy jej głowie, wyrwała ją z rozmarzenia. Głośno jęknęła, Matt coś krzyknął, Fred zaczęła szczekać, a Laurel piszczeć. Rozległ się szorstki głos:

- Ej, wy tam, ludzie, chcecie cały dzień siedzieć w deszczu, czy wolicie wejść do domu?

Allison opuściła szybę. Na zewnątrz stał stary człowiek, a co więcej, stary przyjaciel. Poznała go z ulgą. Miał na twarzy uśmiech i wielki parasol rozpostarty nad głową.

- Kelly McClean, czy to pan? - spytała.

- A któżby inny, córeczko. Chodźcie mi tu zaraz wszyscy do domu. Ty i twój mąż, i psina, i dziecko. Na moje oko zaraz będzie wszystko fruwało. Tak, tak, w radio mówili to samo.

Allison poczuła niemiły dreszcz. Sięgnęła na tylne siedzenie po Fred.

- Było ostrzeżenie czy tylko zapowiedź?

- Ostrzeżenie. - Stary człowiek miał teraz poważną minę. -
Lepiej chodźmy wszyscy do środka. Schowamy się w piwnicy.

- On ma na myśli tornado? - spytał Matt, upewniając się, czy Laurel jest bezpieczna w jego ramionach. - Tutaj?

- Wsiadajcie - zakomenderowała Allison. -I wchodźcie do środka. Wszystko ci wyjaśnię, jak będziemy bezpieczni.

Stłoczyli się pod wielkim, czarnym parasolem i poszli za starym do domu, którego Matt wcześniej w ogóle nie zauważył. Była to z wyglądu drewniana szopa, ukryta wśród drzew, ale gdy gospodarz zamknął za nimi drzwi, zasłaniając ich przed wzmagającym się wiatrem, Matt stwierdził, że wewnątrz jest wprawdzie ciasne, ale przytulne i zadziwiająco czyste.

Nie miał jednak czasu na dokładniejsze oględziny. Mężczyzna zaprowadził ich do klapy w podłodze i po drabince zeszli do ciemnej piwnicy. Oświetlenie małego pomieszczenia stanowiła lampa naftowa. Jej zapach w połączeniu z zapachem ziemi przypomniał Mattowi epizod z dzieciństwa, gdy wraz z ojcem ukrył się w takim właśnie miejscu.

Wtedy jednak nie chowali się przed złą pogodą, lecz przed ludźmi. Rozwścieczonymi ludźmi, którzy chcieli ich zabić za

wtargnięcie na teren nie przeznaczony dla niepowołanych oczu. Jeden z tamtych powiedział, że zbeczcęcili święte miejsce, ale Robert Glass był przekonany, że w rzeczywistości natknęli się na kryjówkę przemytników. Podróżowali wtedy po Azji Środkowej, Matt był jeszcze nastolatkiem. Cóż, nieraz podczas różnych wypraw zdarzało im się wpaść w tarapaty z powodu konfliktu z tubylcami.

Matt mocniej przytulił Laurel. To prawdziwy cud, że dziewczynka wciąż ma żyjącego krewnego, zważywszy na sposób, w jaki spędził swe dzieciństwo u boku ojca! Przez wiele lat sądził, że niebezpieczeństwo jest czymś zupełnie naturalnym. Może dlatego spokojny rytm życia w Wyoming wydał mu się taki... inny. Przecież to właśnie było naturalne, a nie sposób, w jaki go wychowano. Przez chwilę rozważał tę myśl, po czym skupił uwagę na gospodarzu.

- To King mi powiedział, że tam siedzicie - wyjaśnił starzec, wskazując ką, w którym coś się poruszyło. - Musiał was usłyszeć, bo zaczął wyc jak wariat. No to poszedłem sprawdzić. Dobry pies - dodał.

King okazał się wielkim, włochatym stworzeniem. Podbiegł, żeby ich powitać, obwąchał Fred i wyraźnie doszedł do wniosku, że nic mu z jej strony nie zagraża.

Allison postawiła Fred na ziemię. Para psów wymieniła pozdrowienia, machając ogonami, a Allison zwróciła się do gospodarza:

- Jestem Allison Ford, panie McClean. Znamy się, ale to było dawno temu.

- Pamiętam cię, córeczko. Wyszłaś za męża za tego doktora, co potem zniknął. O, on leczył wielkie figury. Tak, doktor Paul mu było. Raz byłem u niego po poradę. Przyjął mnie jak Bóg wie kogo. - Zachichotał, a potem wrócił do swego monologu. - Potem też jeszcze parę razy cię widziałem. Pracowałaś w mieście, w banku. Miałaś bliźniaki. - Spojrzał na Matta z Laurel. - A to nowy nabytek? - spytał, nie wyjaśniając, o które z nich mu chodzi.

Allison nie rozwiała tej wątpliwości.

- To jest mój przyjaciel, Matt Glass, i jego siostrzenica Laurel Essex. Byliśmy na pikniku nad strumykiem, przy tej płaskiej skale. No i dogoniły nas chmury. Widać nie dość się miałam na baczości.

Matt wymienił z McCleanem uścisk dłoni. Odniósł wrażenie, że ściska stal.

- Allie ucięła sobie drzemkę - wyjaśnił - a ja i Laurel bawiliśmy się z psem. Jesteśmy tu nowi. Pan nazwałby nas pewnie żółtodziobami. Nie wiedzieliśmy, co takie chmury mogą przynieść.

McClean skinął głową, jakby właśnie takiego wyjaśnienia oczekiwał.

- Nazywam się Kelly McClean - powiedział. - Tutaj musisz się nauczyć czytać niebo, synu, bo to pogoda dyktuje ci, co masz robić. Siadajcie sobie. -

Wskazał składane krzesło, kilka koców i łóżko polowe. - Mam tranzystorowe radio, możemy posłuchać. Jedzenia i picia jest w bród. Czujcie się jak u siebie w domu.

Tak też zrobili.

- Radio nadaje ostrzeżenie natychmiast po zauważeniu tornada w pobliżu - wyjaśniła Allison Mattowi. - A „w pobliżu” może oznaczać nawet odległość stu dwudziestu albo i stu pięćdziesięciu kilometrów od miejsca nadania ostrzeżenia. Zapowiedź oznacza tylko, że tornado może nadejść.

- Na równym widać tornado z ponad pięćdziesięciu kilometrów - włączył się Kelly McClean. - Nie sądzę, żeby dziś doszło tak wysoko w góry, ale ostrożność nie zawadzi.

Wszyscy przyznali mu rację. Przez następną godzinę Matt siedział więc po turecku na klepisku, a Laurel kręciła się po piwnicy, bawiła z psami i słuchała porywającej historii życia Kelly'ego McCleana.

Allison usiadła na kocu i dyskretnie nakłaniała starego do wspomnień. Nie było to trudne, bo ich gospodarz uwielbiał opowiadać. Fragmenty tej opowieści słyszała od innych ludzi, ale chciała, żeby Matt wysłuchał całości u źródła.

Kelly McClean był jednym z ostatnich prawdziwych kowbojów. Dawno już przestał pracować i utrzymywał się teraz z odsetek od szczęśliwej inwestycji w działkę, na której potem odkryto złożę ropy naftowej. Mimo że ceny ropy ostatnio spadły, Kelly wciąż mógł liczyć na stały dochód, wystarczający mu na niewyszukane życie, jakie zwykł prowadzić.

- Jak żyjesz, synu, całe życie blisko ziemi - powiedział, zwracając się do Matta - to nie chcesz na starość mieszkać w jakimś cudaśnym domu dla staruszków.

- W mieście jest zespół mieszkań przeznaczonych dla najstarszych mieszkańców - wytłumaczyła Mattowi Allison. - Blisko sklepów i teatrów. Ale to nie dla pana, prawda, Kelly?

- Za dużo ludzi w takiej ciasnocie. - Stary poklepał Kinga. -I nie pozwoliliby mi zatrzymać psa. Podobno jest za duży do takiego mieszkania. No więc mieszkam sobie tutaj.

Gawędził dalej, wspominając lata swego pobytu w Kolorado, Wyoming i Montanie. Pilnował stad, pędził bydło, ujeżdżał konie. Matt stwierdził, że ma przed sobą żywą historię. W tej chwili dałby wiele za kasetowy magnetofon. Przy okazji dowiedział się, że stary nieźle znał męża Allison. Obaj nienawidzili tego, co Kelly nazywał miejskim życiem. Gdy jednak Kelly zaczął z zapałem rozprawiać o zaginionym lekarzu, Allison szybko zmieniła temat. Ciekawe, pomyślał Matt.

Po pewnym czasie Kelly przerwał opowieść i sięgnął po radio. Spiker podał kilka komunikatów, które Matt nie do końca zrozumiał.

Allie i Kelly odezwali się w tej samej chwili.

- Koniec - powiedzieli razem. King zaszczekał, Fred mu zawtórowała. - Chodźmy zobaczyć, co się stało - dodała Allison.

Weszli na górę po wąskiej drabince. Okazało się, że na dworze znów świeci słońce i jest pięknie. Wiatr odłamał kilka konarów topól w pobliżu domu, dach samochodu Allison był tu i ówdzie wgnieciony, ale poza tym wszystko wyglądało jakby nigdy nic. Tylko gradowe kule tworzyły miejscami prawie trzydziestocentymetrową warstwę.

Matt głęboko odetchnął. W powietrzu unosił się ziemisty zapach, a kontrast między letnią zielenią i bielą gradu sprawiał, że

krajobraz wyglądał jak wyszukana scenografia do filmu, w który zainwestowano masę pieniędzy. Oba psy natychmiast zaczęły biegać z nosami przy mokrej ziemi, a Laurel pisnęła z zachwytu, gdy dotknęła kopy topniejących kul.

- Ho, ho - powiedział Matt. - Jeśli jeszcze raz zdarzy mi się powiedzieć, że to nudne miejsce, daj mi kopa.

- W porządku - zgodziła się Allison i poklepała go po pośladkach. - Masz to jak w banku.

Z jej oczu wyczytał, że chętnie zrobiłaby coś zupełnie innego.

RS

W miasteczku Matt zauważył jednak, że zachowanie Allison uległo radykalnej zmianie. Zamilkła, a gdy dotarli do jej domu, była nieobecna duchem i bardzo czymś zaaferowana. Sprawiała wrażenie osoby, którą coś gnębi. Stała się nagle kimś innym. Matt nie potrafił odgadnąć przyczyny i zastanawiał się, czy to przypadkiem wzmianka starego kowboja o Paulu Fordzie nie wpłynęła na jej nastrój. Nie wydawało mu się to prawdopodobne, bo w czasie gdy siedzieli w piwniczce, Allison była bardzo ożywiona. Postanowił jednak później dokładnie przemyśleć tę ewentualność.

Opuścili Kelly'ego McCleana, gorąco dziękując za gościnę i pomoc. Obiecali wrócić tu kiedyś z wizytą. Matt przypomniał sobie, że przy pożegnaniu Kelly znów wziął go za męża Allison, ale przypisał to wiekowi tego miłego człowieka i konwenansom. Zwykła omyłka, którą łatwo się wybacza. Niemożliwe, żeby Allison czuła się z takiego powodu nieswojo. Chyba nie nad tym rozmyślała z ponurą miną. A może jednak?

Z pewnością była jeszcze całkiem przyjaźnie nastawiona do świata, gdy pomagała mu umieścić Laurel z powrotem w jeepie.

- No i patrz - powiedziała. - Przez cały weekend niewiele wymieniliśmy doświadczeń. Szkoda, bo warto byłoby skorzystać z twojego pomysłu. Zadzwoń do was, zgoda?

- Zgoda.-Nie dzwoń, nie dzwoń...

Po rozstaniu z pudliczką Laurel przez kilka minut protestowała, ale gdy rozpoznała drogę wiodącą ku domowi, stopniowo zaczęła się uspokajać i godzić z rzeczywistością.

On też nie miał innego wyjścia.

Fred nie należała do Laurel.

Allison nie należała do niego.

Skreślił na podjazd domu Essexów. Popołudniowa burza przeszła również tędy i zostawiła po sobie bałagan w postaci postrzępionych liści oraz drobnych gałęzi, poważnych szkód jednak nie wyrządziła.

Może właśnie tak miała wyglądać jego przyjaźń z Allison Ford: małe zamieszanie na drodze życia, trochę podniecenia, przelotny flirt bez uniesień, ale nic znaczącego.

Wprowadził jeepa do garażu.

- Dobra, kruszyno - powiedział do siostrzenicy. - Jesteśmy w domu.

- Mama! - zażądała Laurel. - Au-au! Tjed!

Tak zaczęła nazywać pudliczkę. A kiedy próbował jej wytłumaczyć, że pies i Allison są teraz w swoim domu, a on i ona w swoim, Laurel głośno się rozplakała. Przez łązy wciąż domagała się mamy i Tjed.

Matt westchnął. Nic znaczącego? No właśnie.

Allison przywitała się z kotami i wypuściła Fred na podwórze za domem. Pudliczka zatoczyła szerokie koło z prędkością bliską światłu. Był to jeden z jej ulubionych sposobów na wyładowanie energii i gimnastykę. Zasłużyła sobie na to grzecznym zachowaniem po południu.

- Dobra sunia - powiedziała Allison, klaskaniem w dłonie zachęcając ulubienicę do szybszego biegu. - Psica na medal! Masz dziś u mnie pyszny obiad.

Fred szalała, wymachując ogonem i szelmowsko przewracając oczami. Miało się wrażenie, że świetnie wie, jak dobrze się tego dnia spisała. Ale wpuszczona do domu, natychmiast przestała zachowywać pozory grzeczności. Z wściekłym ujadaniem pogoniła za trzema kocicami, które wyraźnie nie były zainteresowane dzieleniem psiej radości. Pofrunęły kłaki.

Allison zlekceważyła rozdzierające wrzaski i skowyty, wiedziała bowiem, że cała czwórka zachowa umiar i do rozlewu krwi nie dojdzie. Zeszła więc na dół i sprawdziła, co zarejestrowała automatyczna sekretarka. Pierwszy odezwał się Matt. To tej wiadomości Allison nie wysłuchała rano.

- Cześć - mówił znajomy głos. - Nie ustaliliśmy, o której mamy przyjechać, więc będziemy niedługo. Nie mogę się doczekać tego spotkania, bo prawdę mówiąc, potrzebuję cię... potrzebuję twojej pomocy. -W ostatnim zdaniu trochę się zająknął.

Następna wiadomość była od M.J.

- Droga kuzynko, przypuszczam, że całkiem zapomniałaś o greckiej potańcówce. Jest w przyszły weekend. Jako polityk byłabyś idiotką, gdybyś się tam nie pokazała. Joshowi na pewno nie przyszło to do głowy, bo on nie bywa na takich imprezach. Sądzę, że jeszcze zdążysz zamówić bilety...

Allison uderzyła się ręką w czoło, słuchając dalszych instrukcji. Co roku latem kościół greckokatolicki w Linville Springs urządzał

zabawę taneczną. Politycy i kandydaci na różne urzędy musieli być na tej imprezie. Należało się pokazać, zwrócić uwagę na swoje nazwisko i żywić nadzieję, że w listopadzie ludzie jeszcze będą je pamiętać. W dodatku można było nieźle się zabawić.

Potrzebowała jednak męskiego towarzystwa. Kobieta nie chodzi na takie uroczystości sama, nawet jeśli występuje jako polityk.

Normalnie M.J. sam by ją zaprosił. To, że był jej kuzynem, w niczym nie przeszkadzało. Widocznie jednak już miał partnerkę. Allison musiała więc sobie znaleźć mężczyznę, na widok którego ludzie nie wytrzeszczaliby oczu ze zdziwienia i nie plotkowali. Dbalność o opinię była dla niej równie ważna jak publiczny wizerunek, zwłaszcza że ubiegała się o mandat.

Spółeczność grekokatolików była duża, rozpolitykowana i w większości bardzo konserwatywna. Rodzina znaczyła tam wszystko; drugie miejsce w hierarchii zajmowała przyzwoitość. Na wdowę patrzono znacznie bardziej przychylnie niż na rozwódkę, Allison jednak rozumiała, że i tak potrzebuje męskiego ramienia...

Matt.

Wyciągnęła rękę do telefonu. Oboje mieliby frajdę. W zasadzie była mu to winna za powrót z pikniku, bo jej dziwnie ponury nastrój nie uszedł uwagi Matta. Zepsuła popołudnie dumaniem o przyszłości. Myślała o swych politycznych nadziejach, o Kellym McCleanie, który omyłkowo wziął ich za małżeństwo, o tym, czy kiedykolwiek będą z Mattem więcej niż przyjaciółmi. Martwiła się na zapas romanssem, który jeszcze się nie zaczął, a mógłby się bardzo szybko skończyć.

Ech, do diabła z tym! Wymyśliła sobie kłopot i unieszczęśliwia się nim bez powodu. Zaczęła wykręcać numer, ale już po pierwszych cyfrach odłożyła słuchawkę.

Gdyby zjawiała się na zabawie w towarzystwie Matta Glassa, mogłoby to zostać odczytane jako publiczne oświadczenie, że coś ich łączy. Plotka, prawdziwa czy nie, rozeszłaby się szybko i wkrótce wszyscy w okręgu łączyliby ją z tym przystojnym Kalifornijczykiem. A w każdym razie wszystkim zdawałoby się, że coś ich łączy. Czy naprawdę jest na to przygotowana, czy tylko ma ochotę z nim iść? Usiadła i zaczęła się zastanawiać.

Chciałaby z nim przyjść na tę zabawę, ale zważywszy na jej polityczne ambicje, pomysł wydawał się straszny. Matt miał ustaloną opinię, a ponadto nie krył, że zamierza wyjechać z Linville Springs. Jeśli nawiąże z nim bliższą znajomość, może to rzucić cień na jej polityczną przyszłość. To nie ulega wątpliwości, do licha.

Fred przybiegła na dół z wywieszonym ozorem, opadła na kocyk przy biurku i z zadowoleniem sapnęła. Utarczka z kotami musiała się skończyć po jej myśli.

- Ech, gdyby moje życie chciało być takie proste - westchnęła Allison, zazdrośnie spoglądając na sukę. Potem pochyliła się i pogłaskała zwierzę po grzbiecie.

- Ale gdyby tak było, żyłabym jak pies. A o ile wiem, jestem człowiekiem.

Fred szczeknęła i przewróciła się na grzbiet, podstawiając brzuch do drapania. Allison popieściła ją trochę, potem wyprostowała

się i znów podniosła słuchawkę. Czasem kierowała się instynktem, mając przekonanie, że postępuje w jedyny słuszny sposób.

Matt odpowiedział dopiero po siódmym dzwonku. Mówił, jakby brakowało mu tchu.

- Tak? - spytał.

- Cześć, tu Allison. Przepraszam, że cię niepokoje, ale potrzebuję towarzysza na przyszłą sobotę. Właściwie nawet nie prywatnie. W Linville będzie duża uroczystość, ważna politycznie, a ponieważ sponsoruje ją kościół, więc żeby pokazać się w stosownym świetle, muszę mieć męskie towarzystwo. Samotne kobiety nie rażą tylko wtedy, gdy przychodzą razem z wielką rodziną i są za młode albo za stare na określone rozrywki. Reszta musi się pokazywać pod męską opieką. Wiem, że to brzmi drętwo, ale na pewno będzie dobra zabawa. Miałbyś coś przeciwko temu, żeby się tam ze mną wybrać?

Matt zapatrzył się w ścianę. Odebrał telefon w kuchni, więc miał przed sobą rodzinne zdjęcia siostry. W większości nie pozowane, przedstawiały sceny z życia, o jakim będąc chłopcem, a potem młodym człowiekiem mógł tylko marzyć. Teraz miał swój udział w tym życiu, był czymś w rodzaju cienia, a właściwie anielskiego anioła stróża, który zjawił się na pomoc, gdy odeszli rodzice.

Uświadomił to sobie akurat w chwili, gdy słuchał zaproszenia Allison, i poczuł się nieswojo. Nie dość że jest substytutem ojca dla Laurel, to na domiar złego staje się również substytutem męża dla Allison. Nagle zdał sobie sprawę, że go to boli, rani jego dumę i poczucie własnej wartości. Instynkt głośno mu podpowiadał, by jak

najszybciej wyzwolić się z tej sytuacji i uciec. Ale coś zatrzymało go przy słuchawce.

- Ani trochę - odrzekł beznamiętnie. - Chętnie pójdę. Obiecałem ci przecież pomóc w kampanii, prawda?

- To wspaniale! - Allison uśmiechnęła się radośnie do Fred, która obserwowała ją, łypiąc okiem. - Stokrotne dzięki! - Zawahała się. - Będę bardzo dumna, mogąc się tam z tobą pokazać, Matt - dodała.

Nie miał pojęcia, co chciała przez to powiedzieć.

- Czyli w przyszłą sobotę wieczorem, tak? Muszę zamówić opiekunkę do dziecka.

- Zdaj się na mnie, proszę. W ten sposób jedno pomoże drugiemu. Jeśli opiekunka okaże się odpowiednia, to będziesz miał załatwioną część swoich kłopotów.

Matt nie mógł się nie uśmiechnąć.

- Zostaje nam jeszcze problem gospodyni, co?

- Jutro od rana zacznę dzwonić w tej sprawie. Załatwię parę rozmów w przerwach między klientkami. Wiesz, Matt, to popołudnie było fantastyczne. Przepraszam, że pod koniec tak się zamyśliłam. To dlatego, że mam strasznie dużo na głowie.

- Rozumiem, choć gdy dojechaliśmy do domu, musiałem Laurel długo tłumaczyć, że Fred mieszka u ciebie. Zrobiła mi dziką awanturę.

- Ojej, może powinniśmy...

- Powiedziałem ci o tym, bo chcę, żebyś wiedziała, że razem z Fred stałaś się dla niej kimś ważnym. Domyślałam się, co zamierzasz

zapropnować, ale nie jestem za utwierdzeniem Laurel w przekonaniu, że na zawołanie można ją wysłać do was albo sprowadzić Fred do nas.

Przez chwilę milczała.

- Masz rację. I tak zbyt wiele już straciła. Nie powinna się przywiązywać do ludzi ani zwierząt, jeśli nie można na nich trwale liczyć. - Zaśmiała się cicho i smutno. - Zresztą nie wydaje mi się, żeby Fred pozwalała się pożyczać. Poza domem muszę zawsze być w zasięgu jej wzroku albo węchu. Inaczej bardzo się denerwuje. Kiedyś dzieciaki próbowały ją zabrać beze mnie na ranczo i...

Plotła trzy po trzy w przekonaniu, że robi z siebie kompletną idiotkę. Mimo to nie mogła przestać. Ogarniały ją tak sprzeczne uczucia, że nie umiała jasno ich wytłumaczyć. Nawet sama ich nie rozumiała.

Wreszcie, obiecawszy zadzwonić jeszcze raz nazajutrz albo we wtorek w sprawie opiekunki, odłożyła słuchawkę. Dotknęła czoła i ze zdumieniem wyczuła pod palcami krople potu.

- Fred? - zawołała sukę, która tymczasem zasnęła. - Czyżbym naprawdę zaczynała wariować?

Fred tylko cicho parsknęła i przewróciła się na drugi bok, szukając wygodniejszej pozycji.

Mimo niepokojącego zamętu Allison się uśmiechnęła. Z Fred nie dało się pogadać. Pudliczka i kocice pocieszały ją tak jak zwierzęta, ciepłe przytulania, ale były do niczego, gdy trzeba było podjąć trudne decyzje. Pomocy nie należało od nich oczekiwać, więc

Allison znów podniosła słuchawkę i poprosiła o pomoc swego przyjaciela, powiernika i kuzyna, mecenasa M.J. Nicholasa.

- Jesteś zakochana, kuzynko - oświadczył M.J., nakładając jej na talerz obfitą porcję wołowiny po mongolsku, a sobie chyba jeszcze obfitszą. Przez telefon ustalili, że spotkają się w ulubionej przez oboje chińskiej restauracji, niedaleko domu Allison. - To całkiem proste.

- Mylisz się. - Allison upiła łyk piwa cingtao. -Prawie nie znam tego człowieka. I nie kocham go.

- Tego nie powiedziałem. Powiedziałem, że jesteś zakochana. Łatwo rozpoznałem ten stan, bo sam to wielokrotnie przeżywałem.

- M.J., mów sensownie. Czuje się, jakby... jakby ktoś mnie przewrócił na lewą stronę i przepuścił przez wyżymaczkę. Nie mogę być zakochana, jak to nazwałeś. Właściwie nawet się z nim nie całowałam.

- To bez znaczenia. - M.J. nałożył sobie ryżu i zaczął zrećźnie operować pałeczkami. - Nie pamiętasz, jak dziewczyny uwielbiają idoli w szkole średniej? Zapomniałaś, jak to jest, kiedy się ma chętkę na jakiegoś faceta?

- No, owszem, ale...

- To się powtarza w każdym wieku.

- Niemożliwe! - Allison uderzyła dłonią o blat. Kiedy spojrzało na nią kilka osób siedzących przy sąsiednich stolikach, zniżyła głos. - Nie jestem panienką, która zna romanse z marzeń. Raz wydawało mi się, że przeżywam prawdziwą miłość, ale nie miałam szczęścia.

M.J. przybrał poważny ton.

- Wiem, Allie. Właśnie przez to stałaś się do przesady ostrożna i bardzo podatna na urazy. Wiem, że to brzmi dość staroświecko, ale jako twój najbliższy krewny chcę poznać pana Matta Glassa. Szczerze mówiąc, mam wrażenie, że on może być dla ciebie niebezpieczny.

- Trudno sobie wyobrazić bardziej uroczego człowieka.

- Nie myślę o aspekcie fizycznym, dobrze o tym wiesz. Mówię o uczuciach i mam pomysł. Idę na zabawę z Mirandą. Ona lubi duże towarzystwo, więc nie będzie miała nic przeciwko temu, żeby na trochę podzielić się mną z wami. Może odwiedzimy Greków we czworo?

- Hm. - Allison poprawiła się na krześle. - To bardzo wielkoduszna propozycja, ale dziękuję. Nie chcę się mieszać do twojego życia miłosnego tylko dlatego, że moje jest w rozsypce.

- Widzisz? - Kuzyn z naciskiem wskazał palczką w jej stronę. - Przyznałaś się do winy. Powiedziałaś, że twoje życie miłosne jest w rozsypce. A więc idziemy do Greków w czwórkę i koniec. Oskarżenie nie ma więcej pytań.

- Cholera. - Uśmiechnęła się szeroko. - Nie znoszę sprzeczek z prawnikami. Nigdy nie udaje mi się takiego przegadać.

- Mnie na pewno nie zdołasz przegadać - potwierdził M.J., odwzajemniając uśmiech. - A to dlatego, że jestem fantastyczny!

- I wyjątkowo skromny!

Strzepnął z poły marynarki niewidoczny pyłek, a drugą ręką przygładził włosy. Zrobił przy tym ujmującą minę.

- Słusznie. O skromności też nie wolno zapominać. - Nagle znowu spowaźniał. - A teraz wracamy do twojego życia uczuciowego. Pomyśl racjonalnie.

- Nie ma w nim nic racjonalnego. Na tym polega problem.

- Mylisz się. Problem polega na tym, że nie widzisz lasu, tylko drzewa. Posłuchaj.

Odłożył pałeczki i przybrał ton człowieka, który wszystko wie.

- Spotykasz tego mężczyznę w najbardziej codziennych okolicznościach, jakie są możliwe: robi zakupy z dzieckiem w supermarkecie. Jest miły dla małej, mimo że ta demoluje pół sklepu. Wydaje ci się atrakcyjny w sensie towarzyskim i fizycznie.

Allison zmarszczyła czoło, usiłując nadażyć za jego rozumowaniem. M.J. zauważył jej dezorientację i wyjaśnił:

- Przyzwóicie się zachowuje i przyzwóicie wygląda. A to nie wszystko. Jest też „czynnik niebezpieczeństwa”, który czyni go jeszcze bardziej atrakcyjnym. Z plotek dowiadujesz się, że to łowca przygód, który ratował ludzi, a teraz porzucił awanturnicze życie dla osieroconej siostrzenicy.

- Nie tylko dla niej. Tym, co on przedtem, bawią się teraz młodzi, a on się starzeje. Sam mi to powiedział.

- Wszyscy się starzejemy - M.J. zbył wyjaśnienie kuzynki machnięciem ręki - ale on mimo to nie przestał być bohaterem. Dla ciebie na pewno nie. Tam, na parkingu przed supermarketem, zrobił, co do niego należało. Wybawił cię z opresji, załatwił twardego gościa, a o ile słyszałem, wykazał przy tym zimną krew...

- To się stało wczoraj, a ty byłeś w Denver. - Pokręciła głową. - Skąd wiesz? Chyba nie kazałeś mnie śledzić, tak jak wtedy, gdy się usamodzielniałam? Bardzo sobie cenię twoją troskliwość, ale tego mi nie trzeba.

Nagle obudziło się w niej podejrzenie. Przypomniała sobie samochód, który wyglądał tak, jakby za nią jechał. Czyżby M.J. rzeczywiście najął kogoś, żeby jej pilnował?

Kuzyn natychmiast jednak rozwiązał te wątpliwości. Wprawdzie przed ławą przysięgłych wyczyniał najróżniejsze łamańce myślowe, ale przed nią nie potrafił ukryć prawdy. Zawsze umiała przejrzeć go na wylot.

- Nie. - Uśmiechnął się z miłością i szacunkiem. - Nie niepokoję się o ciebie i na pewno nie pogwałciłbym twojego prywatnego życia, kazać cię obserwować. Już wiem, że masz dość rozumu, żeby poprosić o pomoc, gdy jej potrzebujesz. - Jego uśmiech stał się figlarny. - Tak jak na przykład teraz.

- Dobry z ciebie chłopak. A teraz powiedz mi, skąd wiesz o Matcie i tym kowboju z parkingu.

Przykryła jego dłoń swoją. Ten przyjacielski gest nie był między nimi niczym niezwykłym, ale para siedząca w pobliżu ich stolika zareagowała uniesieniem brwi. Allison odnotowała to z rozbawieniem. Kobieta, na którą zwróciła uwagę, była otyła i miała czarne włosy. Jej towarzysz był chudy i nerwowy. To śmieszne, pomyślała Allison. Wyglądają tak, jakby nas podsłuchiwali.

Właściwie nie było w tym nic dziwnego. Od czasu do czasu zdarzało jej się podnieść głos, a że omawiali dość śliski temat, więc

sąsiedzi mogli się zainteresować ewentualnym materiałem do plotek. Nie знаła jednak tych ludzi, więc szybko przestała o nich myśleć. Przyszło jej to bez trudu, sprawiali bowiem bardzo przeciętne wrażenie.

M J. wzruszył ramionami.

- Znasz to miasteczko. Każda plotka, która trąci

Dzikim Zachodem, ma murowane powodzenie. A z tego, co słyszałem, szlachetny bohater bronił cię w klasycznej scenie walki z czarnym charakterem. Walt i ten drugi glina, którego imienia zapomniałem, nie mogli się doczekać, żeby opowiedzieć znajomym, jak gładko twój kawaler poradził sobie...

- On nie jest moim...

M.J. zignorował jej słowa.

- Więc potem poszłaś do niego na romantyczną kolację we dwoje, a jeszcze potem urządziliście sobie piknik, gdzie niebezpieczeństwo było już mniejsze, bo tylko pogoda...

- Nie bądź śmieszny. Nasza kolacja wcale nie była romantyczna. Zamówiliśmy pizzę do domu, a Laurel zbudziła się z krzykiem, bo miała koszmarny sen, a...

- Nie mów mi tylko, że nie mieliście spokojnej chwili dla siebie. Naturalnie nie myślę o łóżku, na to jeszcze nie przyszedł czas. Musicie trochę lepiej się poznać, poczuć się wobec siebie swobodniej, bardziej ufnie... - Urwał i popatrzył na Allison. - Jesteś biała jak kreda, Allie! Co się stało?

- Coś mi się nagle przypomniało. - Chwyła za szklanę i wypła duży łyk piwa. - Chyba wiem, dlaczego ten facet tak mi gmatwa myśli.

- Przyznajesz mi rację?

- Niezupełnie. - Odstawiła szklanę na stół i za-bębniła paznokciami po blacie. - Może boję się tego, czym jest symbolicznie w mojej podświadomości: mężem dla mnie i ojcem dla moich dzieci.

- Nie powiem, żebym nadał za tym rozumowaniem. - M.J. spojrział na nią krytycznie. - Allie, kuzyneczko droga, naprawdę płaczesz się w zeznaniach.

- Nie. Posłuchaj, to wszystko pasuje. Gdybym, jak twierdzisz, była naprawdę zakochana, musiałyby zajść między nami coś więcej. Nie uwierzę, że w moim wieku i z moim doświadczeniem mogę zachwycać się facetem, nie...

- Nie poddawszy go próbie użytkowej?

Roześmiała się, ale zaraz spoważniała.

- Nie bądź wulgarny. Chociaż w zasadzie masz rację. Sam więc widzisz, że to, co się ze mną dzieje, jest zapewne powodowane strachem, że człowiek, który mnie pociąga, okaże się podobny do Paula. Rozkocha mnie w sobie, a potem zostawi. Brzmi to beznadziejnie głupio, ale nie wiem, czy nie to właśnie mnie dręczy.

- Zdaje się, że myślisz we właściwym kierunku, w każdym razie, jeśli chodzi o twoje uczucia. - M.J. przymrużył oczy. - Ale mąż i ojciec? To bardzo poważne słowa. Żeby tak od razu przypinać je do mężczyzny? Nawet jeśli tylko w podświadomości...

- On sam do tego dąży. Stara się być ojcem dla Laurel, a dla mnie właśnie kimś w rodzaju męża. Nie rozumiesz? Razem jemy posiłki, opiekujemy się dzieckiem, rozmawiamy, odwiedzamy się, ale to wszystko toczy się w domowej atmosferze, po przyjacielsku, bez wielkich wzlotów... - Urwała i znów zamyśliła się nad czymś.

- I co dalej? Zdaje się, że wpadłaś na nowy trop. Pokręciła głową.

- Nie wiem. Wciąż mam zamęt w głowie, kiedy próbuję nazwać swoje uczucia. Może rzeczywiście potrzebuję z nim prawdziwego sam na sam. Żeby nie mogła nam przeszkodzić Laurel ani burza nie zapędziła nas do piwnicy, w której poczciwy staruszek ciągle nazywa Matta moim mężem, ani...

- Ani żebyś nie mogła znaleźć pretekstu dla uników, które robisz, nie chcąc przyznać się do tego, że masz ochotę na tego faceta.

- M.J. zmienił pozycję. - Nie czuję się zbyt swobodnie, doradzając ci w tych sprawach, ale może powinnaś po prostu iść z nim do łóżka i rozwiązać w ten sposób tajemnicę.

Wsparła podbródek na dłoni i spojrzała w bok. Dziwna para wciąż im się przyglądała. Ostatniego fragmentu rozmowy nie mogli jednak podsłuchać, gdyż Allison świadomie zniżyła głos.

- Może masz rację - przyznała.

M.J. zmierzył Allison wzrokiem, a potem wskazał na jej talerz.

- No to jedz. Będziesz potrzebowała dużo sił.

Minęło sporo czasu, nim się do tego zabrała. Przeszkodził jej długi atak śmiechu.

W sobotę Matt skonstatował, że jest w stanie tak wielkiego podniecenia, w jakim bywają chłopcy w wieku dorastania. W ciągu ostatniego tygodnia widywał Allison jedynie przelotnie i teraz pragnął natychmiast ją zobaczyć, dotknąć, poczuć jej zapach, porozmawiać z nią znowu o wszystkim i o niczym. Był zdenerwowany i bardzo go to dziwiło.

Pod wieloma względami ostatni tydzień, z weekendem włącznie, bardzo mu się udał, i to dzięki Allison. Pod innymi względami był żalonym koszmarem, ale to nie miało z Allison nic wspólnego.

Studentka, którą Allison znalazła mu do opieki nad dzieckiem, przysłała w tym tygodniu dwukrotnie i okazało się, że radzi sobie z Laurel nie najgorzej. Nazywała się Debbie Preston i była spokojną, poważną dziewczyną z subtelnym poczuciem humoru, a ponieważ studiowała psychologię, potrafiła zrozumieć nastroje Laurel. Co więcej, była zaręczona i absolutnie nie miała zamiaru go uwieść.

Do jego życia zaczął wkraczać ład.

Problem polegał tylko na tym, że Matt nie wiedział, na czym właściwie ów ład ma polegać. Uczucia, jakie żywił do Allison, wydawały mu się po części jasne, po części jednak bardzo zawile. Czy naprawdę chciał, by została jego przyjaciółką lub kochanką na pewien czas? Czy miał prawo stać się jej kochankiem, znając historię jej życia i wiedząc, w jaki sposób opuścił ją mąż? Bo przecież wiedział, że i on w końcu ją opuści. Miał tyle kłopotów z opieką nad Laurel i z zarządzaniem majątkiem Essexów, że chciał wynieść się z Linville Springs natychmiast po uporządkowaniu wszystkich spraw.

Do licha, czemu to wszystko musi być takie skomplikowane? Zerknął kątem oka na swe odbicie w lustrze i z zadowoleniem skinął głową na widok bardzo konserwatywnego ciemnego garnituru, zestawionego z białą koszulą i krawatem w czerwono-granatowe pasy. Allison zaprosiła go na zabawę organizowaną przez kościół, ubrał się więc jak do kościoła. Mgliście pamiętał, że wspominała też o jakiejś szczególnej grupie etnicznej, nie mógł jednak sobie przypomnieć, czy mieli to być Grecy, Włosi, czy jeszcze ktoś inny. To jednak nie miało znaczenia. Nie wątpił, że wieczór będzie bardzo przyjemny, choć bez szaleństw. Ważne, że miał go spędzić z Allison.

Allison była prawie gotowa, gdy usłyszała dźwięk dzwonka. Znieruchomiała na chwilę, nasłuchując ujadania Fred. Uświadomiła sobie bowiem, że nie powiedziała Mattowi o tym wieczorze dosłownie niczego.

Nie powiedziała mu nawet, że idą na zabawę we czworo, z M.J. i Mirandą. Co tam, Matt jest przecież amatorem przygód. Ma teraz szansę tego dowieść. Odłożyła szczotkę do włosów i ruszyła do holu, uspokajając po drodze Fred. Otworzyła drzwi, uśmiechnęła się... i zaniemówiła.

Matt Glass wyglądał jak gwiazdor filmowy albo model z czasopisma: spokojny, wymuskany do najdrobniejszego szczegółu. W niczym nie przypominał gotowego na wszystko podróżnika ani udęczonego samotnego rodzica dwuletniej diablity. Allison podobała się ta zmiana.

Już po ich ostatnim spotkaniu, gdy przypadkiem wpadli na siebie w centrum handlowym, a Laurel skutecznie im przeszkadzała w

nawiązaniu sensownej rozmowy, Matt odwiedził fryzjera. Włosy miał ostrzyżone, gładko wygolona twarz lśniła opalenizną. Sprawiał wrażenie światowego i bardzo eleganckiego człowieka. Garnitur miał oczywiście szyty na miarę.

- Cześć - wybąkała w końcu. - Wejdz, proszę.

Fred powitała go entuzjastycznie, lecz nawet gdy pochylił się, by ją poklepać, nie mógł oderwać wzroku od jej pani. Przypomniawszy sobie, jak zobaczywszy Allison pierwszy raz, pomyślał, że gdyby odpowiednio się ubrała, mogłaby rywalizować z największymi pięknosciami Hollywoodu.

Miał słuszną intuicję. Tego wieczoru wyglądała naprawdę przepięknie. Włosy miała wysoko upięte i zaczesane do tyłu. Fryzura podkreślała jej naturalną urodę. Makijaż był delikatny, suknia z błękitnego jedwabiu pasowała do jej oczu, zapach perfum zaś przyprawił go o zawrót głowy. Matt omal głośno nie westchnął.

- Jeszcze nie jestem gotowa - powiedziała, uśmiechając się z niezwykle dla siebie zażenowaniem, jakby czuła się nieswojo w takim stroju. - I zapomniałam ci powiedzieć, że nie idziemy sami.

- Tak? - Matt się wyprostował. - A z kim?

- Z moim kuzynem, M.J. Nicholsem, i jego dziewczyną, Mirandą Stamos. M.J. jest adwokatem.

Matt uśmiechnął się.

- Wiem, że jest jakiś dobry dowcip o adwokatach, ale jakoś w tej chwili nie mogę go sobie przypomnieć.

- Nie masz nic przeciwko temu?

- Oczywiście, że nie. Bardzo chętnie poznam twojego kuzyna adwokata. Może byśmy się dogadali? Wtedy chętnie przetrzuciłbym do jego kancelarii parę spraw. Dochodzę powoli do wniosku, że potrzebuję tu radcy prawnego, niezależnie od tego, którego mam w Kalifornii. Ta historia z majątkiem Essexów komplikuje się znacznie bardziej, niż początkowo sądziłem, a pani mecenas Marthy niezbyt mi odpowiada, zresztą zdaje się, że z wzajemnością. Oczywiście nic na to nie poradzę, ale...

Wzruszył ramionami.

- Czy masz kłopoty z majątkiem Essexów dlatego, że adwokatka twojej siostry nie lubi cię?

Wyciągnął przed siebie dłonie.

- Dziś o tym nie mówmy. Mamy się odprężyć i zabawić. - Położył ręce na jej ramionach. - I pomóc ci w kampanii, chyba o tym nie zapomniałaś?

Przysunęła się bliżej. Miał ochotę ją pocałować, ale musiał tę pokusę odeprzeć. Wiedział dobrze, że wystarczy jeden pocałunek, jeden cieplejszy gest i będzie stracony.

- Chciałabym cię jeszcze przed czymś ostrzec. - W jej głosie pobrzmiwało rozbawienie, chociaż minę miała poważną.

- Mianowicie? - spytał, usiłując zapanować nad głosem.

- W tym mieście obowiązują pewne zasady ubioru. Jako grupa nie lubimy tego, co jest ogólnie przyjęte. Dlatego przy większości okazji można spotkać najrozmaitsze stroje, od wymyślnej sukni i fraka po dzinsy. I nie sposób na tej podstawie powiedzieć, kto jest kim.

Najważniejszym człowiekiem często okazuje się ten najgorzej ubrany.
Dzisiejszy wieczór nie będzie wyjątkiem.

- Chcesz powiedzieć, że przesadnie się wystroiłem?

- Nie, wyglądasz wspaniale. Wielu mężczyzn będzie miało znakomite garnitury. Nie w tym rzecz.

- No więc w czym?

- Pożałujesz, że włożyłeś czerwony krawat do białej koszuli -
powiedziała i wybuchnęła głośnym śmiechem.

RS

Oczywiście Allie miała rację co do krawatu. Ale dlaczego, Matt odkrył dopiero później. Nie chodziło bynajmniej o elegancję. Przyczyna była dużo bardziej zabawna...

Mniej więcej w kwadrans po nim u Allie zjawili się M.J. z Mirandą. Matt natychmiast poczuł sympatię do M.J., choć równie szybko zorientował się, że jest uważnie obserwowany. Adwokat najwyraźniej bardzo troszczył się o kuzynkę i pilnował jej interesów.

Mimo to Matt uznał, że z kimś takim jak M.J. można kraść konie. Instynkt wskazujący mu godnych zaufania ludzi rzadko go zawodził i nieraz uchronił przed katastrofą w burzliwych latach życia.

Ciemnooka piękność, Miranda Stamos, poflirtowała z nim chwilę, ale raczej z przyzwyczajenia niż na poważnie. Tak więc, gdy po wyjściu z domu wsiedli we czworo do saaba, stanowiącego własność M.J.,

Matt uznał, że czeka go zapewne miły wieczór w miłym towarzystwie.

Miranda, M.J. i Allison gawędzili o lokalnych wydarzeniach. M.J. służył jednocześnie za kierowcę i wiozł ich do jedyne miejsce w Linville Springs, które nadawało się do zorganizowania tak wielkiej imprezy. Allie z pomocą kuzyna opowiedziała Mattowi historię centrum kulturalnego, które było kulą u nogi władz miasta poprzedniej kadencji, póki ktoś nie zaproponował, by szerzej

udostępnić je prywatnym i miejskim, niedochodowym zgromadzeniom. Od tej pory finansowe kłopoty ustały.

Potem rozmowa zeszła na Matta.

- M.J. mówi, że pan jest z Kalifornii - powiedziała Miranda - ale ja mam wrażenie, że już się gdzieś spotkaliśmy. - Odwróciła się, by zmierzyć go wzrokiem. Wyraźnie była zaciekawiona.

Matt dyskretnie sięgnął po dłoń Allison.

- Nie sądzę - odrzekł z uśmiechem. - Z pewnością bym pamiętał.

Lekko uściskał dłoń Allison. Odwzajemniła uścisk, dając mu tym do zrozumienia, że akceptuje jego flirt z Mirandą dla zadośćuczynienia zasadom dobrego wychowania.

- Źle mnie pan zrozumiał. Wcale pana nie uwodzę - zachnęła się Miranda z grymasem na twarzy. - Naprawdę zdaje mi się, że pana widziałam...

- Oj, Mirando - przerwał jej M.J. ze śmiechem.

- Daj człowiekowi spokój. On tylko...

- Pan bywa w telewizji! - Miranda wykręciła się do tyłu, na ile pozwolił jej pas bezpieczeństwa, i chwyciła za zagłówek. - Nie w naszej. Ale mam antenę satelitarną i różne kanały. Widziałam pana...

- Reklamuję się w lokalnej stacji w Los Angeles - przyznał Matt.

- Prowadzę firmę turystyczną, która organizuje kursy przetrwania. To na pewno...

- Nie. - Mirandę całkiem pochłonęły dociekania. - To było coś innego.

Allison obserwowała z uwagą tę wymianę zdań. Matt był zakłopotany i wyraźnie coś ukrywał. Dlaczego? Nadal przytrzymał

jej dłoń. Koniecznie musiała się od niego odsunąć, postanowiła jednak poczekać. Zaufać mu jeszcze chwilę.

- Niech pan się lepiej przyzna, Matt - wtrącił się M.J., zerkając we wsteczne lusterko. - Kiedy mówiłem panu, że Miranda jest piękną kobietą, która prowadzi świetnie prosperującą firmę, nie dodałem, że ta firma to agencja detektywistyczna. Najlepsza w całym stanie. Jeśli ukrywa pan jakąś ponurą tajemnicę, ona niechybnie to wyszpera.

- Jest pani prywatnym detektywem? - Matt wytrzeszczył oczy ze zdumienia.

Miranda uśmiechnęła się szeroko i skinęła głową. Allie wydała z siebie zabawny odgłos. Matt nie potrafił rozstrzygnąć, czy był to śmiech, czy jęk.

- Trudno - powiedział. - Prawda jest cokolwiek krepująca, ale widocznie musi się wydać. Na mój temat zrobiono film telewizyjny i stąd mnie pani pamięta. Samego filmu jeszcze nie nadano, ale stacje pokazują już materiały promocyjne. Film ma być wyświetlony zdaje się jesienią, ale mnie już w kraju nie będzie. Zamierzam być bardzo, bardzo daleko stąd! Jeśli pani ogląda stacje z Los Angeles, to tam bardzo interesują się tą sprawą, bo dotyczy ona znanych osób robiących interesy w Kalifornii. Wie pani, to jest dla nich dobra reklama.

Allison była oszołomiona.

- Co zrobiono? Film o tobie? Z jakiego powodu?

- Fe, Allie - odezwał się M.J. - Mówisz tak, jakby człowiek sobie na to nie zasłużył. Co pan takiego zrobił, Matt, że aż powstał o tym film?

Zanim zdążył odpowiedzieć, Allison zawołała:

- Ojej! To ci filmowcy uwięzieni w dżungli, tak?

- Tak. - Matt zaczął manipulować przy kołnierzyku koszuli, wyraźnie coraz bardziej skrepowany. - Czasem żałuję, że się tam w ogóle pchałem. Lepiej było siedzieć w domu i zostawić ich w spokoju. Ci ludzie są bardziej niebezpieczni niż połowa dzikich zwierząt z tej przeklętej dżungli.

- Co za dżungla? - Miranda dosłownie dyszała z ciekawości. - Jacy filmowcy? Co to było? Niech pan mi powie.

Allison słuchała, jak Matt udziela lakonicznych wyjaśnień, świadomie pozbawiając dramatyzmu relację z efektownej i niebezpiecznej operacji. Uratował prawie sto osób zatrzymanych podczas przewrotu w małym, politycznie niestabilnym kraju. Razem z grupką specjalnie wyćwiczonych ludzi dotarł w tamten rejon, zorganizował akcję dywersyjną, by odwrócić uwagę od zakładników i z powodzeniem przeprowadził sto osób przez dżunglę, pokonując tereny, na które nawet miejscowi żołnierze nie ważyli się zapuszczać. Chociaż opowiadał o tym przemarszu bardzo oględnie, Allison wiedziała, że musiało to być piekło. Tymczasem wszyscy przeżyli i tylko kilka osób zostało rannych. Gdy skończył mówić, zapanowała cisza.

- No, no - odezwała się w końcu Miranda.

- No, no, no - zawtórował jej M.J.

- Ja też: no, no, no - wtrąciła Allison, unosząc rękę.

- Posłuchaj, Allie. - Matt wydawał się rozdrażniony, a także zaniepokojony. - Posłuchajcie wszyscy. Jeśli to się rozniesie i dotrze

do niewłaściwych ludzi, może mi bardziej zaszkodzić, niż pomóc. Staram się zatuszować tę historię. Nie chcę być dla świata człowiekiem, który nieustannie igra z niebezpieczeństwem. Skończyłem z tym. Chcę spokojnie żyć i wychowywać Laurel w domu, w którym będzie bezpieczna, czego ja... W którym będzie bezpieczna i już. Dlatego będę wam wdzięczny, jeśli postaracie się zapomnieć o tym filmie.

Allison nie odezwała się, ale głęboko ją zastanowiło, czemu Matt tak podkreśla potrzebę bezpieczeństwa i kogo ma na myśli, mówiąc o niewłaściwych ludziach. Kogo to obchodzi, że kiedyś był bohaterem, a teraz chce wychowywać dziecko? Jej zdaniem dowodzi to siły charakteru. Tylko czy naprawdę?

M.J. skręcił z autostrady na drogę do centrum kulturalnego.

- Jeśli tak bardzo nie podoba się panu rozgłos, to czemu zgodził się pan na nakręcenie tego filmu?

- Od tamtej pory minęły prawie cztery lata - tłumaczył Matt. - Wtedy była inna sytuacja. Inaczej żyłem. Popełniłem błąd, ale aż do niedawna nie zdawałem sobie z tego sprawy. Trudno, nikt nie wie, co go czeka.

Miranda odwróciła się i poklepała go po policzku, po czym wróciła do poprzedniej pozycji.

- Jeśli o mnie chodzi, nie ma się pan czego obawiać, Matt. W moim zawodzie trzeba dotrzymywać tajemnic.

- Ja też nie powiem ani słowa - obiecał M.J. - Renomą adwokatów niech się pan nie przejmuje.

- Zamykam buzię na kłódkę - dodała Allison. -Ale chyba wiesz, że kiedy pokażą ten film, będziesz musiał ponieść konsekwencje.

- Mam nadzieję, że wtedy już żadnych konsekwencji nie będzie - powiedział Matt dziwnym tonem. Spojrzał za okno, na rozjaśniony złocistym światłem wieczorny widok peryferii Linville.

Zanim Allison zdążyła go pociągnąć za język, dotarli do celu. M.J. wjechał na parking.

- Jesteśmy na miejscu. Zanim wysiadziemy i zaczniemy się bawić, sprawdźmy, czy ktoś chce prowadzić.

Matt uniósł brwi i popatrzył na Allison.

- Jak to? Myślałem, że tę zabawę organizuje kościół.

Gdy wreszcie ucichł śmiech, Allison wyjaśniła:

- Owszem, ale zabawa będzie na sto dwa: mnóstwo jedzenia, alkohole i tańce. - Wyjęła z dłoni M.J. kluczyki. - Zgłaszam się na ochotnika. Muszę wymienić kilka politycznych uścisków dłoni, a poza tym w środę wybieram się na ranczo, więc jutro po południu muszę popracować. Z kacem po ouzo nic z tego nie wyjdzie. Tańce są dostatecznie męczące.

Matt uderzył się ręką w czoło.

- Ouzo! Grecy! Tańce. Już rozumiem. To coś w rodzaju wiejskiego święta. - Allison jeszcze nie widziała u niego tak szerokiego, entuzjastycznego uśmiechu. - Chodź - powiedział, ujmując jej dłoń i obejmując w talii. - Poszalejemy! - Wyciągnął ją z samochodu i zaczął naśladować grecki taniec, pstrykaniem palców podkreślając rytm.

- No no! - Miranda popatrzyła na Matta osłupiała. - On to naprawdę umie. - Zwróciła się do M.J. - Patrz i ucz się, ty anglosaski barbarzyńco.

- A skąd ty to znasz? - Allison potknęła się i natychmiast znalazła się tuż przy boku Matta.

- Nauczyłem się w dzieciństwie - odrzekł, puszczając ją z wyraźną niechęcią. - Przez dłuższy czas spędzałem z ojcem zimy na greckich wyspach - co roku, zanim dostał świra na punkcie Azji, bo wtedy przenieśliśmy się do Tajlandii i Singapuru. Znam kilka stylów.

- Popatrzył na nią wzrokiem, z którego niczego nie można było wyczytać. - To dla mnie niespodzianka, ale bardzo się cieszę, że będę miał okazję poćwiczyć.

- W Valium City, he? Uśmiechnął się od ucha do ucha.

- Oj, widzę, że mi tego nie darujesz. Pomyliłem się, przyznaję. A teraz chodźmy się bawić.

Tak też zrobili. Kolacja i tańce odbywały się w obszernej sali pawilonu przylegającego do centrum kulturalnego. Przy drzwiach powitały ich odświętnie ubrane nastolatki. Allison wyjaśniła Mattowi, że jest to kościelna grupa młodzieży, która wypełnia swoje zadania. Kobiety zajęły się organizacją tańców i przygotowały potrawy, młodzież udekorowała salę i rozprowadziła bilety, mężczyźni zaś wyszukali i opłacili zespół muzyczny.

Przy odbiorze biletów goście dostali również srebrne naklejki zaświadczające, że ich posiadacz jest w tym dniu Grekiem. Należało umieścić je w widocznym miejscu na strojach, żeby obsługa mogła odnaleźć nie proszonych gości.

Allison przylepiła swoje sreberko na staniku sukni, poniżej prawego ramienia.

- Będzie się dobrze trzymać - powiedziała Mattowi. - One mają nieprawdopodobny klej. Parę lat temu wyszłam z tej zabawy niezbyt trzeźwa i przykleiłam coś takiego do lustra w łazience. Do dziś odskrobuję resztki.

Matt przykleił swój znaczek do krawata. Allison skwitowała to uniesieniem brwi, ale nie odezwała się ani słowem. Zastanawiała się, czy zauważył, jak niewielu mężczyzn oprócz niego włożyło krawaty. Nawet M.J., zwykle bardzo konserwatywny w sprawach ubioru, przywdział na ten wieczór koszulkę polo.

Wmieszali się w tłum. Matt przekonał się, że Allison miała rację. Byli tam ludzie w najróżniejszym wieku: od pokolenia pradziadków, w którym znajomość angielskiego była mocno ograniczona i naznaczona wyraźnym akcentem, po małe dzieci, które płynnie zmieniały język w miarę potrzeby. Oprócz Greków przyszło też wielu mieszkańców Linville Springs, mających ochotę pobawić się z sąsiadami na ich tradycyjnym święcie. Stroje istotnie były bardzo różnorodne.

Allison przedstawiała Matta wszystkim swoim rozmówcom, on jednak trzymał się w cieniu i pozwalał jej prowadzić konwersację. Byli przecież wśród jej znajomych i wieczór też należał do niej. On znalazł się tu tylko po to, by pomóc jej w urzeczywistnieniu politycznych ambicji.

Tylko po to... Bez żadnych egoistycznych pobudek. No właśnie.

Ulżyło mu, gdy przekonał się, że chyba nikt go nie poznaje. Z Allison umówili się wcześniej, że będzie po prostu Mattem Glassem, jej przyjacielem z Kalifornii. Kilka kobiet pożerało go wzrokiem, ale żadna nie powiedziała ani słowa.

Do kolacji usiedli z rodziną Mirandy, licznym, rozbawionym gronem, które przyjęło Matta jak przyjaciela Allison, a nie jak męża lub kandydata do ołtarza.

Tak było, póki Matt przez nieuwagę nie roześmiał się z żartu wujka staruszka. Dowcip był opowiedziany w idiomatycznej grece. Zapadło milczenie.

- Pan zrozumiał? - spytał Jason Stamos, ojciec Mirandy, przystojny człowiek pełen godności. - Zrozumiał pan dowcip wuja Johna? - Wytrzeszczył oczy na Matta, najwyraźniej nie wiedząc, jak się odnieść do przybysza. Również pozostali członkowie rodziny Stamosów skupili na nim uwagę.

Matt przeklinał się w myślach.

- Przepraszam, nie chciałem podsłuchiwać.

- Ależ nie o to chodzi. - Stamos rozłożył ręce. - To nieporozumienie. Jesteśmy pod wrażeniem. Bardzo nam przyjemnie. - Wskazał całą rodzinę. - Rzadko się zdarza... nieznajomy, który potrafi porozmawiać z nami w naszym języku, a tym bardziej zrozumieć dowcip. Jak długo pan mieszkał w Grecji?

Matt powiedział parę słów o swoim dzieciństwie. Allison zwróciła uwagę na zaszuchanie audytorium. Stamosowie chłonęli każde słowo.

- Nigdy nie miałem kłopotu z uczeniem się języków - wyjaśnił Matt. - Mieszkaliśmy w wielu miejscach świata, więc po prostu uczyłem się na ulicy tego, co mi było potrzebne. - Wzruszył ramionami, wyraźnie zakłopotany koniecznością opowiadania o swych zdolnościach i o dzieciństwie.

- A pana ojciec? - Babcia Mirandy wydawała się bardzo zaniepokojona. - Czyżby go z panem nie było? Nie chronił pana przed wplątaniem się w kłopoty na ulicy? Ojciec powinien pilnować młodego człowieka. Przytulać go, gdy jest grzeczny, karać, gdy jest niegrzeczny.

- Mój... ojciec był bardzo zajęty.

- Ale...

- Babciu, Matt chyba opowiedział nam już dosyć o swoim prywatnym życiu. - Miranda zwróciła się następnie do wuja. - Ale powinniście się jeszcze dowiedzieć, że on umie tańczyć.

- Ooo! - rozległ się pomruk.

Matt rozumiał, że jego status uległ nagłej zmianie. Rodzina Stamosów wyraźnie lubiła Allison, przyszło mu więc się spotkać z kilkoma dziwnymi objawami aprobaty. Mimo wysiłków Allison i Mirandy, które próbowały odwrócić od niego uwagę, dostał się w krzyżowy ogień pytań. Interesowano się jego przeszłością, teraźniejszością i przyszłością, a najbardziej zamiarami wobec Allison. Z jej pomocą bronił się przed konkretnymi odpowiedziami, najlepiej jak potrafił. Na szczęście wkrótce ocaliła go muzyka.

Podczas rozmowy Allison nie zauważyła, że na podium zaczął się ruch, bo pochłaniało ją ratowanie Matta z rąk rodziny Stamosów.

Ale gdy w sali rozbrzmiały pierwsze takty muzyki, Matt pociągnął ją na obszerny, okrągły parkiet.

- Ojej, ja nie znam kroku - próbowała się wymówić. - Może zatańczysz beze mnie? Zresztą tam są prawie sami mężczyźni.

Matt przystanął. Obejmowanie Allison sprawiało mu taką przyjemność, że nie zwrócił uwagi na to, co gra zespół.

- Masz rację - powiedział z uśmiechem. - To jest taniec dla mężczyzn. Pospieszyłem się, bo chciałem się znaleźć z dala od prababki i jej pytań. Ale chętnie zatańczę. Nie masz nic przeciwko temu?

- Skądże. - Wskazała rozpolitykowaną grupkę, gromadzącą się w głębi sali. - Ja mam tu swoją pracę, a ty się pobaw.

- Zgoda. Ale nie pozwolę ci pracować cały wieczór. - Dotknął jej twarzy opuszkami palców. - Kiedy mężczyźni już się -popiszą, na pewno zaczną się tańce ludowe, które mogą tańczyć wszyscy. Są dość łatwe. Jeśli miałaś okazję popróbować, to na pewno je pamiętasz, a w razie czego nauczę cię tych łatwiejszych.

- W to nie wątpię - odrzekła zastanawiając się, czy któreś z nich mówi teraz wyłącznie o tańcu.

Matt zdjął marynarkę i zaczął tańczyć. Trudno jej było oderwać od niego spojrzenie. Przyłączył się do rzędu tancerzy i natychmiast podchwycił ich rytm i ruchy. Taniec był zasadniczo dla mężczyzn, choć nie tchnął jawnym erotyzmem. Eksponował męską siłę i sprawność. Allison chętnie przyglądałaby się Mattowi cały wieczór.

Niestety, nie mogła. Z westchnieniem przypomniała sobie o prawdziwej przyczynie, dla której tu przyszła. Omiotła spojrzeniem

obecnych i przeszła w drugi koniec sali, gdzie zbierała się polityczna śmietanka. Większość gości otoczyła Ritę Morely.

Pozdrowiwszy kilkoro przyjaciół i kilka miejscowych gwiazdek politycznych, Allie zbliżyła się do tej grupki. Nerwy miała napięte. Do tej pory nie widziała Rity, w głębi duszy miała więc nadzieję, że rywalka nie doceniła wagi tego zgromadzenia albo nie załatwiła sobie zaproszenia na zabawę.

Najwyraźniej jednak było inaczej. Towarzyszem Rity był jeden z najstarszych i najbardziej szczwanych lisów politycznych Wyoming, David Benning, były senator federalny, który wycofał się ze sprawowania funkcji publicznych, podobno z powodu choroby serca. Ten polityk w każdym calu, człowiek pociągający za różne sznurki, był też znany jako zręczny manipulator poza światem polityki. Prawdopodobnie to właśnie naprawdę przerwało jego karierę. Do Allison dotarły pogłoski, jakoby David miał dokonać pospiesznego odwrotu na z góry upatrzone pozycje, żeby upредить skandal wokół swojego nazwiska wywołany romanssem, lecz naturalnie były to czyste spekulacje i plotki. W tej chwili niepokoiło ją tylko to, że David wciąż ma znaczne wpływy w polityce.

I że zjawił się tu pod ramię z Ritą, też wdową. Allison przywołała na twarz uśmiech i stanęła na obrzeżu grupki.

Rita spostrzegła ją pierwsza.

- O, witamy! Toż to Allie Ford we własnej osobie - powiedziała i wyciągnęła do niej zadbaną dłoń. - Jak się bawisz dziś wieczorem, kochana? Naprawdę nie spodziewałam się, że cię tu zobaczę. Jesteś taka zajęta rodziną, tym swoim drobnym biznesem i w ogóle.

Allison ujęła wyciągniętą do niej dłoń. Jej paznokcie były krótkie i nie malowane.

- A dlaczego miałabym nie przyjść? - odparła, nieco podnosząc wzrok. Rita Morely była od niej starsza, kilka centymetrów wyższa, a fryzura z siwiejących czarnych włosów zaczesanych do góry przydawała jej wzrostu. Rywalka była też chuda jak szczapa.

- Latem zawsze wysyłam dzieci do rodziców na ranczo, a pracę ustawiłam sobie tak, żeby mieć czas na kampanię. Zresztą nie opuściłabym tej zabawy za nic w świecie.

- A co z towarzystwem? - Rita rozejrzała się po sali. - Nigdzie nie widzę twojego partnera. Tyko mi nie mów, że przyszedłeś tutaj sama. To byłoby straszne, kochana.

W tym miejscu wmieszał się do rozmowy David Benning:

- Ha, ha, ha! - Bardziej to powiedział, niż się roześmiał. - Mylisz się, moja miła, ona wcale nie przyszła sama. Nasza Allie przygadała sobie na ten wieczór bardzo eleganckiego mężczyznę. - Uniósł siwe, krzaczaste brwi. - A przynajmniej podniecającego, jak słyszę. Gdyby mnie ktoś pytał, powiedziałbym, że tego samego temperamentu. - David zachowywał pozory serdeczności, lecz w jego głosie pobrzmiwała mrożąca ironia. Pochylił się i pocałował Allison, przytrzymując usta przy jej policzku wyraźnie za długo. - Jak się miewasz, dziewczyno?

- Znakomicie, Davidzie. Myślę...

- Co za podniecający mężczyzna? - przerwała im Rita. - Nie powiesz mi chyba, że Josh Henderson miał dość tupetu, żeby się z tobą pokazać. Nawiasem mówiąc, raczej nie nazwałabym go

podniecającym, a już na pewno nie w polityce. Pewnie zresztą sama już się o tym przekonałaś.

Allison przygryzła wargę, zdecydowana nie wspominać o tym, że Rita podkradła jej szefa kampanii, Neda. Gdyby nie zachowała dostatecznej ostrożności, mogłoby się to skończyć kompromitującym pojedykiem rozwścieczonych kocic.

- To nie z Joshem dziś przyszedłam - odparła. - Zaprosiłam kogoś zupełnie innego. Przyjaciela z daleka. Nie znasz go, Rito.

Starannie uczernione brwi Rity błyskawicznie się uniosły.

- Jak to? - zdziwiła się. - Sądziłam, że znam wszystkich nieżonatych...

- Allie, grają nasz kawałek.

Ciepła dłoń spoczęła na jej ramieniu i delikatnie ją odwróciła. Jasne włosy Matta przy sztucznym oświetleniu nabrały złocistego połysku, na twarzy widniały krople potu, szeroki uśmiech ukazywał białe zęby.

Zgodnie z jej przewidywaniami, nie miał już krawata. Zostały tylko różowe plamy na mokrym od potu kołnierzyku. Matt zauważył jej spojrzenie i uśmiechnął się jeszcze szerzej.

- Powinienem być cię posłuchać, jak zwykle. Zaczęła go przedstawiać, on jednak odciągnął ją od grupki.

- Chodź, zatańcz ze mną! - Skinął głową całemu towarzystwu, ani na chwilę nie odrywając oczu od jej twarzy. Świat, w którym obracali się Rita i David, oddalił się i ośrodkiem świata Allison stał się natychmiast Matt. Była pewna, że właśnie tak powinno być.

- Zgoda, spróbuję - powiedziała, biorąc go za rękę.

Dotyk jego dłoni wzmógł w niej poczucie harmonii. Uświadomiła sobie, że w istocie tylko dlatego przyszła na tę zabawę. Od Matta promieniowało ciepło, w którym mogła się schronić. Ustąpił chłód, jakim przeniknęło ją spotkanie z Ritą Morely. Matt poprowadził ją ku tańczącym i włączyli się do szeregu. Szybko opanowała proste kroki i swobodnie poruszała się w rytm muzyki razem z innymi tancerzami.

Szczególnie zgrabnie wyglądała jednak przy Marcie. Miało się wrażenie, że są stworzeni do wspólnego tańca nawet w stylu, w którym tańczy się bez partnera. Zupełnie jakby ich ciała już się nauczyły współtworzyć ten sam ruch.

Przez resztę wieczoru Allie tańczyła w rzędzie, mając obok siebie Matta. Trzymała go za rękę lub czuła jego ramię na ramionach albo wokół talii. Intymność tego dotyku była prowokująca, bo jakby nie spełniona. Prowokująca, lecz również obiecująca przeżycia, jakich nie da się wyrazić słowami.

Od czasu do czasu, gdy zespół robił przerwę lub gdy rytm i kroki stawały się zbyt skomplikowane, Matt zabierał ją na taras z widokiem na miasteczko. Mogłoby to być bardzo romantyczne miejsce. Trudno, pomyślała. Przynajmniej nie ma tu tłoku, więc mogę porozmawiać z ludźmi o polityce.

Wieczorem Linville Springs wyglądało z góry bardzo efektownie. We wszystkich mieszkańcach, którym przyszło do głowy zerknąć na rozświetlony krajobraz, budził się lokalny patriotyzm. Allie zauważyła jednak, że świta Rity nie opuszcza miejsca w głębi sali. Nikt z tego kręgu nie uczestniczył w tańcach, nikt nie wychodził

porozmawiać z ludźmi na świeżym powietrzu. Rozmawiali między sobą i z osobami, które do nich podchodziły, ale nawet nie starali się włączyć do zabawy. Ich strata, uznała Allie.

Zaniepokoiło ją jadowite spojrzenie Rity, które w pewnej chwili pochwyciła. Również David Benning jej się przyglądał. Odniosła jednak wrażenie, że znacznie wnikliwiej obserwowany jest Matt. Na wszelki wypadek zapamiętała sobie ten fakt. Wprawdzie miała nadzieję, że nie będzie żadnych przykrych następstw, lecz powoli zaczynała rozumieć, że należy być przygotowanym na wszystko.

Postanowiła wspomnieć o swych niepokojach Mattowi. Mimo że był tylko jej przyjacielem, nie zaangażowanym w politykę, to gdyby przesadziła z zacieśnianiem tej znajomości, część kłopotów mogła spaść również na niego. Rita była wyraźnie bardzo poirytowana i na pewno chętnie uknułaby coś paskudnego.

Nawiasem mówiąc, był to dobry znak. Po głębszym zastanowieniu Allison doszła do wniosku, że Rita musi obawiać się jej konkurencji. Uścisnęła dłoń Matta, odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się radośnie. Dosyć tych trosk!

Matt poczuł, że udziela mu się szczęście Allison. Wydawało mu się, że przeżywa to samo co ona. Miał ochotę sprowadzić ją z parkietu, znaleźć ustronne miejsce i kochać się z nią aż do świtu.

Ale gdyby zrobił coś takiego, byłby największym łajdakiem w historii romansu. Allison była wrażliwa, łatwo mogłaby przypisać tej nocy zbyt wielkie znaczenie. Pomyślałaby, że się w niej zakochał, że może będzie chciał z nią zostać. A wiedział, że choć w tej chwili bardzo tego chce, na pewno tak się nie stanie. Powtórzyłoby się

doświadczenie, które Allison miała z mężem. Miłość i porzucenie. Bo zdrada bez względu na przyczynę pozostaje zdradą.

Nie mógł tego zrobić. Postąpiłby po prostu nieuczciwie. Nie miał się jednak co oszukiwać, że nie pragnie Allison. Na szczęście był doświadczonym mężczyzną, który potrafi ukryć swoje pragnienia. Przynajmniej publicznie. Ale co się stanie, gdy zostaną sami, trudno przewidzieć.

Zmysły podpowiadały Allison, że jej przyjaciel darzy ją uczuciami znacznie przekraczającymi granice przyjaźni. Nim zabawa dobiegła końca, a kończyła się zawsze o północy, wydawał jej się zbyt podniecony, by nad sobą panować. Jego brązowe oczy lśniły jak nigdy dotąd, a gdy spojrzał na nią, poczuła, że odwzajemnia się podobnym spojrzeniem. Odniosła wrażenie, że rozpływa się i zamienia w kamień, zapada się gdzieś i unosi, a wszystko to jednocześnie. Znała te doznania, choć minęło wiele lat, odkąd ostatnio przeżywała je z taką intensywnością. Tyle lat...

Pragnęła go. Pragnęła tego człowieka, mającego silne i wysportowane ciało, ładne ruchy, namiętność w oczach i delikatne dłonie. Nie będzie należał do niej na zawsze, lecz przez chwilę może się nim cieszyć.

Zdecydowała, że na tę chwilę może sobie pozwolić i z tym postanowieniem dołączyła do M.J. i Mirandy, którym mocno kręciło się w głowach, i Matta, który wydawał się względnie trzeźwy. Rozważała, który dom powinni z Mattem wybrać na pierwszą wspólną noc. Czy opiekunka zechce zostać z Laurel do rana? Czy nie powinni jednak jechać do niego, ryzykując, że mała im przeszkodzi,

obudzona jakimś koszmarem? Był to poważny dylemat, wiedziała jednak, że jakoś można go rozwiązać.

W chwili, gdy zmierzali do wyjścia, zatrzymali ich Rita Morely i David Benning. Rita promieniała, a David sprawiał wrażenie, jakby uśmiechał się z powodu czegoś, co jest wiadome tylko jemu. Allison z trudem powstrzymała drżenie na widok dziwnej miny Benninga. Facet wydawał się nie z tego świata. Zapomniała jednak o tym, gdy tylko odezwała się Rita:

- Wreszcie znalazłam dobrze poinformowanych ludzi i złożyłam wszystko do kupy - powiedziała, patrząc wprost na Matta. - To pan jest tym młodym człowiekiem, który pojawił się po śmierci Marthy Essex i utrzymuje, że jest jej bratem. - Gapiła się na niego bezczelnie, jak gdyby był niczym. - Oj, oj, Allie, jak ty to robisz, że wiążesz się z najdziwniejszymi typami! Pierwszy od ciebie uciekł, a teraz znów to.

Jej słowa zawisły w powietrzu jak zapach zgnilizny. Rita przesłała towarzystwu Allison pożegnalny uśmiech i poszła swoją drogą. David Benning, idący za nią, przynajmniej postarał się przybrać zakłopotany wyraz twarzy.

Allison popatrzyła na Matta. Wyglądał tak, jakby miał zamiar gołymi rękami rozszarpać świat na strzępy.

- Utrzymuje, że jest bratem Marthy? - Allie położyła dłoń na ramieniu Matta. - Matt, co ona gada?

- Nic - odparł kamiennym głosem.

- Wytłumacz mi, o co chodzi. - Delikatnie nim potrząsnęła. - Co ona miała na myśli?

- To nie twoje zmartwienie - odparł chłodno. - Lepiej pojedę do domu. Jesteś gotowa?

- Słuchaj, człowieku - wtrącił M.J. - masz kłopot? Pamiętaj, że jesteś wśród przyjaciół.

- Nie tutaj. - Miranda popchnęła ich wszystkich w stronę drzwi. - Poczekajcie, aż wsiądziemy do samochodu.

Ale gdy znaleźli się w saabie, Matt powiedział tylko, że ma kłopoty z radcą prawnym Marthy, Penny Jackson.

- Pani mecenas podkreśla, że Marthę i mnie wychowywano osobno i że w istocie jesteśmy obcymi sobie ludźmi. A wszystko dlatego, że jej zdaniem nie jestem stosownym opiekunem dla Laurel. Kwestia osobowości.

- I co z tego! - zdenerwował się M.J. - Pani mecenas nie ma prawa podejmować decyzji na podstawie swoich upodobań i niechęci, jeśli twoja siostra w testamencie...

- Testament mojej siostry stanowi część problemu. - Matt, siedzący obok prowadzącej samochód Allison, przetarł oczy. - Ale tak

jak powiedziałem, problem nie jest wasz. Zmieńmy temat. Wspaniale się dziś bawiłem, tak samo jak wy. Wróćmy do domów i już.

Allison nie zrobiła najmniejszego ruchu, by przekręcić kluczyk w stacyjce.

- Czy pani mecenas kwestionuje twoje kwalifikacje rodzicielskie, czy raczej niepokoi się, że masz ochotę zagarnąć duże pieniądze?

Matt przyjrzał jej się uważnie. Teraz w jego oczach nie było pożądania, tylko złość i rozczarowanie.

- Przypuszczam, że jedno i drugie. - Odwrócił głowę. - Ma zresztą pewne podstawy. Moja przeszłość...

- Jest przeszłością! - Allison dotknęła jego ramienia. - Laurel nie znajdzie lepszego opiekuna na świecie - powiedziała. - Rzadko widuje tak troskliwych i zaangażowanych rodziców. Zeznałabym to pod przysięgą przed każdym sądem w tym kraju. Co ważniejsze, Laurel ci ufa i kocha cię. Gdyby miała cię stracić...

- Nie straci! - Matt patrzył przez szybę. - Nic mnie nie obchodzi ten majątek. Nie jest mi do niczego potrzebny. Ale ze względu na Laurel nie chciałbym, żeby przepadł. Jej się to wszystko należy. Gdyby jednak miało do tego dojść, to...

- To co? - Allison czuła, że wszystko się w niej gotuje. - Uciekłyś na koniec świata? Schował się z nią w mysiej dziurze? Nie, miły panie. Zostaniesz tutaj i będziesz walczył o to, co prawnie należy się tobie i Laurel.

- Uspokój się, Allie - poradziła Miranda. - Nie wiesz, co Matt chce zrobić.

- Znam tę Jackson - odezwał się M.J. - Ma opinię trudnej osoby.
Może spróbuję...

- Nie chcę was obarczać moimi kłopotami. - Matt pokręcił głową. - Dziękuję za dobre chęci, ale poradzę sobie.

- A może my chcemy, żeby nas obarczyć - powiedziała Allison, znów lekko go dotykając. - W trudnych chwilach człowiek potrzebuje przyjaciół. Matt, nie odsuwaj się ode mnie. Nie odsuwaj się od nas! - Nagle obudziły się w niej równie silne uczucia jak przedtem, tyle że teraz zupełnie innego rodzaju. Były bardziej codzienne. Owładnęła nią... troska.

Nie. Nie troska... Czyżby to była miłość?

Chcąc ukryć zmieszanie, Allison uruchomiła silnik. To niemożliwe, żeby czuła coś takiego! Nie powinna sobie na to pozwalać. Przecież Matt jest człowiekiem niemal obcym. Poznała go zaledwie dziesięć dni temu, a on najpóźniej za kilka miesięcy przestanie być częścią jej życia. Ale czy można inaczej nazwać to uczucie, wciąż jeszcze wątle i drżące, lecz realne, coraz bardziej trwałe i niekwestionowalne?

- Posłuchaj - powiedziała, podnosząc głos z powodu szumu silnika. - Jest już późno, prawie druga w nocy. Wszyscy wspaniale się bawiliśmy. Proponuję, żebyśmy jutro spotkali się we czworo i porozmawiali. Ale ostatnie słowo w tej sprawie należy do ciebie, Matt. Czy chcesz naszej pomocy?

Matt długo milczał. Jego profil rysował się wyraziście w mroku rozjaśnionym światłem reflektorów na parkingu.

- Chyba tak - przyznał w końcu. - Gdyby chodziło tylko o mnie, poradziłbym sobie z tym po swojemu. Ale Laurel... Proszę was o pomoc ze względu na nią. Nie ja potrzebuję waszej pomocy, tylko my.
- Głos mu się łamał.

M.J. pochylił się nieco do przodu i klepnął go po ramieniu.

- Nie przejmuj się, Matt. Jest w tym samochodzie kilka tęgich głów, nawet jeśli w tej chwili sana lekkim rauszu. Zawalczymy i zwyciężymy! Możesz na nas liczyć.

Matt się uśmiechnął, ale nic nie powiedział. Wsunął się głębiej na siedzeniu i założył ręce na piersi. Allison wyjechała z parkingu, M.J. i Miranda również pogrążyli się w milczeniu.

Zanim dojechała do swojego domu, było już oczywiste, że nikt oprócz niej nie jest w stanie prowadzić samochodu. A ponieważ była zbyt zmęczona, by odwiedzić wszystkich do domu, zaproponowała im nocleg u siebie.

- Mam mnóstwo miejsca - powiedziała. - Matt z M.J. mogą spać na dole w pokoju Sama, a Miranda położy się na łożu Sally.

- Ale numer - zachichotała Miranda. - Cała noc poza domem.

- Świetny pomysł - zawtórował jej M.J. Natomiast Matt pokręcił głową.

- Nie mogę zostawić Laurel na całą noc. Gdyby obudził ją koszmary sen, muszę...

- Matt, ona już się oswoiła z opiekunką. Debbie jest solidna, można na niej polegać. Chyba nie będziesz przez resztę życia siedzieć z Laurel dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. Westchnął ciężko.

- Jestem zmęczony i mam mnóstwo zmartwień. Zdaje się, że uniemożliwia to rozsądne myślenie. Macie rację. Zresztą zapowiedziałem, że mogę nie wrócić - dodał, patrząc na Allison. Z jego twarzy nie można było niczego wyczytać. - Debbie i tak miała zostać do rana, bo zamierzałem wrócić późno. Wiesz, snułem pewne plany...

Allison uśmiechnęła się.

- To mi pochlebia.

M.J. parsknął.

- Zdaje się, że w tym momencie powinienem wkroczyć i z oburzeniem bronić honoru kuzynki, ale szczerze mówiąc, wolę iść spać. - Otworzył drzwi samochodu. - Idziesz, kochanie? - spytał, wyciągając dłoń do Mirandy. - Muszę wyznać, że nie mam dziś siły się do ciebie zalecać. Wybacz mi.

Miranda znów zachichotała.

Allison wprowadziła wszystkich do domu, rozdała nie używane szczoteczki do zębów i pokazała wszystkim miejsca do spania. Sama też była wykończona, więc poszłaby prosto do łóżka, gdyby nie musiała wypuścić Fred. Pomyślała, że przy okazji zaczerpnie trochę świeżego powietrza, więc wyszła razem z suką.

Noc była zimna i bezchmurna. Fred węszyła z zapalem dookoła, a Allison przyglądała się gwiazdom, wzgórzom za domem i alei biegnącej na tyłach domu, za ogrodzeniem podwórza.

W alei stał zaparkowany jakiś samochód. Akurat w miejscu, z którego dobrze było widać jej dom. Zadrzała. Zastanowiło ją, kto...?

Fred zakreśliła się u jej stóp, dając znak, że czas wrócić do środka. Allison wzruszyła ramionami i podążyła za pudliczką. Postanowiła rano zadzwonić na policję, gdyby samochód wciąż tam stał. Napelniając psią miskę jedzeniem, zerknęła na zegar i stwierdziła, że do rana zostało niewiele czasu. Przycisnęła palce do skroni.

Mimo że nie piła alkoholu, skończyło się bólem głowy. Bez wątpienia powodem tego był dym z papierosów i panujący w sali hałas. Ten ból nie miał nic wspólnego z szaloną myślą, że jest zakochana w Mat-cie Glassie. Ani z nie zaspokojonym pożądaniam! To niemożliwe!

Sprawdziła jeszcze, jak się mają kocice, upewniła się, że starczy im wody i jedzenia, i zapędziła Fred do, sypialni. Czas spać, pomyślała.

Mimo zmęczenia nie miała jednak okazji do długiego wypoczynku. O wiele za szybko nastał ranek, dźwięczący ptasimi trelami. Fred zaczęła skamlać, prosząc, żeby znowu ją wypuścić, i zadzwonił telefon. Allison miała pokusę, żeby włączyć automatyczną sekretarkę, ale ponieważ była niedziela i mogły dzwonić bliźniaki, więc podniosła słuchawkę.

Serce w niej zamarło. Głos był cichy, męski, szorstki. Ze słuchawki popłynęły wyzwiska i oskarżenia, jakich pod swoim adresem nigdy w życiu nie słyszała. Czowała, jak narasta w niej złość.

Po chwili uświadomiła sobie, że chyba zna ten głos. Początkowo była zbyt osłupiała, by cokolwiek zrobić; po prostu stała i słuchała.

Potem wolno odłożyła słuchawkę, ledwie trafiając na widełki, i opadła na łóżko.

Drzwi do sypialni otworzyły się. Fred szczeękła, ale ucichła, wyczuwszy znajomy zapach. Na progu stał Matt, ubrany jedynie w spodnie od garnituru, który miał na sobie poprzedniego wieczoru. Włosy miał mokre, zaczesane do tyłu, tak jakby dopiero wyszedł spod prysznica. Chyba nawet zdążył się ogolić.

- Słyszałem - oznajmił, wykrzywając usta w grymasie obrzydzenia. - Wszystko. Byłem w kuchni i machinalnie odebrałem telefon. Myślałem, że może Debbie ma jakieś kłopoty, a nie chciałem nikogo budzić. - Zamknawszy za sobą drzwi, przeszedł przez pokój. Fred usiadła na łóżku i zaczęła mu się przyglądać. - Już w porządku?

- Nie.

- Masz pojęcie, kto to mógł być?

Pokręciła głową, a po policzkach popłynęły jej łzy. Zachłysnęła się powietrzem.

- Głos... był Paula. - Kurczowo zacisnęła drżące ręce na prześcieradle i kocu. - Ale on nie... - Ostatnie słowa wypowiedziała ledwie słyszalnym szeptem, tonem zapłakanego dziecka.

Matt podszedł do łóżka i mocno ją objął. Nawet nie zwrócił uwagi, jak niewiele dzieli w tej chwili ich nagie ciała. Chciał ją jedynie uspokoić, odpędzić od niej lęk i przerażenie.

- To nie był twój mąż, Allie. I nie duch, który mówi paskudne rzeczy. To był wróg, który się ciebie boi. Niech się boi. Nie pozwól, żeby udzielił ci się jego strach. Jesteś bezpieczna. Jesteś ze mną.

Usiłowała zachować resztki godności, ale mimo to wstrząsnął ją szloch. Osunęła się w objęcia Matta, położyła mu głowę na ramieniu i zaczęła głośno płakać.

Poczuła się jednak bezpieczna. Jeszcze nigdy nie miała tak silnego poczucia bezpieczeństwa. Nawet wtedy, kiedy był z nią Paul, mężczyzna, któremu zaufała.

Fred wcisnęła im się między nogi, chcąc uczestniczyć w tej dramatycznej chwili. Psi gest przywiązania sprawił, że Allison rozpłakała się jeszcze bardziej.

Matt trzymał ją przy sobie i zastanawiał się nad swoimi doznaniem. Zdarzało się już, że kobiety płakały przy nim w łóżku, ale nigdy nie potraktował żadnej z taką czułością. Pies Allison spoglądał na niego oczami pełnymi ufności i troską. Matt odniósł wrażenie, że za chwilę sam się rozpłaczę. Nagle rozległo się ostre, zdecydowane pukanie do drzwi.

- Co się stało, do diabła? - M.J. wszedł do środka razem z Mirandą. Oboje sprawiali wrażenie potwornie zmęczonych i przejętych. - Słyszeliśmy telefon, potem ciebie, jak idziesz do sypialni, a potem płacz Allie - wyjaśnił M.J.

- Złe wiadomości? Czy komuś coś się stało? - spytała Miranda.

Allison jakoś się pozbierała, otarła twarz prześcieradłem i nieznacznie odsunęła Matta od siebie.

- Nie - powiedziała. - To...

- Dostała telefon z pogrózkami - wyjaśnił Matt.

- Jakiś drań chce ją nastraszyć. To wszystko. - Puścił Allison, a kiedy Fred oparła mu przednie łapki o łydkę, wziął ją na ręce. - Jeśli

to się powtórzy, będziemy musieli postarać się o specjalne urządzenie, które pozwoli nam dotrzeć do tego dowcipnisia.

- Allie, przecież ty się nie boisz samego diabła.

- M.J. przesunął dłonią po twarzy. - Czy ktokolwiek jest w stanie cię nastraszyć?

- Ten człowiek udawał Paula. Podobno wrócił z grobu, do którego go wpędziłam. - Znowu wstrząsnął nią płacz. - Powiedział, że go zabiłam, że... jestem niewierna jego pamięci.

M.J. zaklął.

- Powtarzasz oczywiście złagodzoną wersję, prawda? - spytała Miranda, krzyżując ręce na piersiach. - W rzeczywistości było to pewnie bardziej jędrne.

Allie skinęła głową. M.J. odchrząknął.

- Potrzebuję kawy, aspiryny i prysznic, niekoniecznie w tej kolejności. Potem zbierzemy się na naradę wojenną. Najpierw możemy się zająć sytuacją Matta.

- Nie. - Matt uspokajająco pogłaskał pudliczkę. - Moje problemy mogą poczekać.

Allison sięgnęła po szlafrok i włożyła go.

- To mógł być tylko incydent. Niewykluczone, że się nie powtórzy, a w ogóle to jest wyłącznie mój kłopot. - Wstała. - Wy macie swoje domy i swoje sprawy. Zaparzę kawę, a potem...

- Boże! - zawołała Miranda. - Nie wiem, czy widziałam ludzi, którzy z większym uporem bronią się przed pomocą przyjaciół! - Złapała się za głowę. - Gdyby mnie tak nie łupało, to wściekłabym się na was oboje.

Allison wzięła Fred od Matta.

- Weź prysznic, Mirando. Możesz skorzystać z mojej łazienki.

Masz tu czysty szlafrok. Wierz mi, że poczujesz się lepiej - oznajmiła i wyszła na korytarz.

Matt uświadomił sobie, że gapi się na M.J.

- Czy już kiedyś ktoś dzwonił do Allison z pogrózkami?

M.J. pokręcił głową.

- Nic o tym nie wiem. Chybaby mi powiedziała.

- Ty też weź prysznic, M.J. - poradziła Miranda.

- Nie pozwolimy się stąd tak łatwo wyrzucić. A ty, Matt, jeśli chcesz przywieźć tu siostrzenicę, żeby się nie denerwować, zrób to.

Matt popatrzył na Mirandę.

- Myślisz, że jest jakiś związek między problemem Allie a moją sytuacją?

Miranda wzruszyła ramionami.

- Bo jeśli jest, to muszę zniknąć z jej życia. Wezmę Laurel i...

- Co?! - Allison w pośpiechu wróciła z drepczącą u jej stóp Fred.

- Wyjechać z miasta? Zostawić mnie? Fantastycznie! Bardzo byś mi pomógł. - Złość powoli z niej uchodziła. - M.J., tam w alei stoi dziwny samochód. Wczoraj wieczorem też tam stał. Wydaje mi się podejrzany. Ktoś chyba obserwuje mój dom.

Matt spojrział na M.J. i obaj biegiem opuścili pokój. Allison usłyszała trzask kuchennych drzwi.

- Są boso - powiedziała.

- Cholera, M.J. nawet nie ma spodni, tylko gatki - dodała

Miranda.

Roześmiały się wprawdzie nie beztrosko, lecz szczerze. W kilka minut później mężczyźni wrócili do domu kuchennym wejściem.

Allison nastawiła ekspres do kawy, a Miranda poszła wziąć prysznic.

- Spłoszyliśmy ich - oznajmił M.J. - Zobaczyli, że biegniemy, i szybko odjechali.

- Mam numer rejestracyjny - dodał Matt - ale jest spoza stanu. A samochód może być wynajęty.

Allison postawiła na stole kubki, śmietankę i cukier.

- Co to był za samochód, waszym zdaniem?

- Toyota - powiedział Matt.

- Land cruiser - dodał M.J.

Allison zawahała się, a potem powiedziała:

- Wiesz, Matt, kiedy wieczorem wracałam od ciebie, miałam wrażenie, że ktoś mnie śledzi. Ktoś w takim kanciastym samochodzie. Mógł to być land cruiser. W środku siedziały chyba dwie osoby, ale samochód skręcił, gdy dojechalismy do granicy miasta, więc nie widziałam ich wyraźnie.

Panowie wymienili spojrzenia. M.J. wziął kubek i nappełnił go kawą.

- Dwie osoby? Jak tobie się zdawało, Matt?

- Tak. - Matt nalał kawy do drugiego kubka. - W toyocie siedziały na pewno dwie osoby. Przysięgłbym, że tak było.

- Dobra, idę wziąć prysznic - oznajmił M.J., biorąc z sobą kubek.
- Nie róbcie nic pochopnie i nie podejmujcie beze mnie żadnych decyzji. - Wszedł akurat w chwili, gdy do kuchni wróciła Miranda z głową owiniętą ręcznikiem.

- Przywiozę Laurel - powiedział Matt. - To wszystko mnie niepokoi. Chcę, żeby była ze mną. - Wypił kawę jednym haustem. - Nie boisz się zostać z Mirandą i M.J., prawda? - spytał Allison.

Allison otworzyła ze zdumienia usta. W każdej innej sytuacji poczułaby się obrażona, gdyby ktoś zasugerował, że nie potrafi zadbać o własne bezpieczeństwo. Tym razem jednak postanowiła pominąć to milczeniem.

- Nie - odparła.

- W porządku.

Matt poważnie skinął głową, z pewnością nie dostrzegając ironii sytuacji. Oto on troszczy się o bezpieczeństwo kobiety, która przez całe dorosłe życie sama dawała sobie radę z dwójką bliźniaków. Potem zszedł na dół, ubrał się i po chwili był znów na parterze, by głównymi drzwiami opuścić dom.

- No, no - szepnęła Miranda.

Popijając kawę, przyglądała się twarzy Allison.

- Widzisz, jak to jest - powiedziała Allison, nie patrząc na Mirandę. Łzy same cisnęły jej się do oczu, choć właściwie nie rozumiała dlaczego. - Daj kurze grzędę...

Podeszła do drzwi spiżarni. Gdy tylko je otworzyła, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki zjawiły się trzy kocice. Allison westchnęła i napełniła ich miseczki karmą dla kotów.

- Niektórzy mężczyźni nie potrafią się nie wtrącać do spraw innych. Kończy się więc na tym, że usiłują zawładnąć wszystkimi i wszystkim dookoła.

- Nie to miałam na myśli, Allie. Sama zresztą dobrze o tym wiesz. - Miranda odstawiła kubek na stół i zaczęła wycierać ręcznikiem włosy. - Ale jeśli chcesz udawać głupią, to twoja rzecz.

Allison cisnęła bekon na żelazną patelnię.

- Nie udaję głupiej. Po prostu stwierdzam fakty. Niezręcznie jej było rozmawiać o tym z Mirandą.

Nie były zaprzyjaźnione.

- Dobra. - Miranda wzięła na ręce jedną z kocic i zaczęła klepać ją po futerku. - Ten człowiek jest w tobie zakochany, Allie. Co ty na to? - Ukryła twarz w kociej sierści. - Ładna kicia - mruknęła.

Allie nie zadała sobie trudu, żeby odpowiedzieć.

Matt zrozumiał to niespodziewanie w połowie drogi pod górę. Właśnie w tej chwili zza zakrętu ukazała się jadąca w jego stronę półciężarówka. Ostatniego wieczoru miał olbrzymią ochotę kochać się z Allie, kochać się tak, żeby oboje umierali z rozkoszy. A dziś ni z tego, ni z owego uświadomił sobie, że ją kocha. Zamrugał i cicho gwizdnął.

Nagle na jego twarzy pojawił się grymas zaskoczenia i złości, bo zorientował się, że półciężarówka jedzie prosto na niego, by zepchnąć go w przepaść. Zamiar tamtego kierowcy był oczywisty. Matt instynktownie skręcił kierownicę w lewo i zaskoczony tym manewrem przeciwnik musiał się zawahać, bo Matt jakoś się zmieścił na drodze.

Wchodząc w zakręt, odruchowo spojrzął we wsteczne lusterko. Półciężarówka hamowała z piskiem opon na skraju urwiska. W

sekundę później ujrzał najeżdżającą na niego śmieciarkę, poczuł ból i wszystko wchłonął ciemny wir.

Gdy dzwonek telefonu rozległ się ponownie, Allison z obrzydzeniem odsunęła się od aparatu. M J., odświeżony, lecz ubrany w wymięte ubranie z poprzedniego wieczoru, podszedł podnieść słuchawkę. Po sekundzie na jego twarzy pojawił się wyraz niedowierzania.

- W jakim jest stanie, Phil? - spytał w końcu. Utkwił wzrok w Allison i już nie spuścił z niej oka.

Allison poczuła, że serce jej zamiera. Phil Jacobs był naczelnym lekarzem pogotowia ratunkowego przy miejscowym szpitalu.

- Kto jest chory? - spytała, chwytając za krawędź kuchennego stołu. - M.J.! Kto?

M.J. odłożył słuchawkę.

- Jakies pół godziny temu Matt Glass uderzył jeepem w bok śmieciarki, która zjeżdżała z góry. Jeep nadaje się do kasacji, a...

- Matt! - Łzy popłynęły jej po twarzy strumieniem, choć nie miała pojęcia, że płacze. - Nie żyje. Znów to samo. Tak jak Paul...

M.J. spojrział na nią ze zdumieniem.

- Nie, moja miła, żyje, a poza tym to wcale nie jest to samo. Mattowi nic się nie stało. Jest trochę potłuczony, ma parę siniaków i skaleczeń, ale to nic poważnego. Phil mówi, że ma lekki wstrząs mózgu i jest wściekły jak jasna cholera. W kółko opowiada o jakimś maniak, który usiłował zepchnąć go z jezdni. Ale poza tym jest w porządku i... - Urwał, bo Allison wybiegła z pokoju.

- Daj jej spokój - poradziła Miranda, widząc, że M.J. zamierza pobeć za kuzynką. - Niech sobie chwilę pobędzie sama. Ona jest chyba w nim zakochana.

- Wiem. - M.J. z powrotem usiadł na krześle. Fred, spłoszona nagłym zniknięciem pani, wskoczyła na najlepiej jej znane kolana i tam się usadowiła. M.J. pogłaskał sukę po łbie i podrapał za uszami. - Mirando, przyjęłabyś ode mnie zlecenie?.

- Czy chodzi ci o śledztwo na rzecz kogoś, kogo znam? - spytała z uśmiechem.

- Mhm. - M.J. skinął głową. - Dwojga ludzi, którzy są za bardzo uparci i przyzwyczajeni do samodzielności, żeby poprosić o pomoc.

- Zgoda. - Wyciągnęła do niego rękę.

M.J. ją uścisnął, a potem odwrócił grzbietem w dół i ucałował.

- Ta półcięzarówka jechała prosto na mnie - powiedział Matt do policjanta prowadzącego sprawę. - To była próba zepchnięcia mnie z drogi w przepaść!

Matt kipiał ze złości.

Allison siedziała w kącie sali. Pojawiła się w szpitalu niemal natychmiast po telefonie Phila i znalazła Matta w stanie wrzenia. Zdawał się w ogóle jej nie potrzebować. Może nawet nie chciał, żeby przy nim siedziała. Tego jeszcze nie była pewna. Wciąż starała się coś wywnioskować z jego zachowania. Phil i drugi lekarz opiekujący się Mattem nalegali, żeby został w szpitalu na obserwacji, ale wydawało się oczywiste, że Matt Glass nie zamierza się zastosować do zaleceń lekarzy ani w ogóle kogokolwiek.

Weszła do salek akurat w chwili, gdy policjant go przesłuchiwał, więc mogła porozumieć się z nim jedynie wzrokiem. Wydało jej się, że patrzy w płonący ogień. Rozmaitość uczuć, które tam dostrzegła, zarazem cieszyła ją i przerażała. Nic mu się nie stało, ale był wściekły jak osa.

- To była półciężarówka Teddie'ego Bakera? - Policjant zajrzał do notatek. - Czy jest pan tego pewien?

Matt pokręcił głową i skrzywił się z bólu.

- Nie. Widziałem ją tylko przez moment, bo starałem się pozostać na drodze i przy życiu.

- Nie ma dowodów na obecność tej półciężarówki na miejscu wypadku - powiedział policjant. Miał mniej więcej czterdzieści lat, nadwagę i rzadniejące czarne włosy. Wydawał się nieco poirytowany tym, że przesłuchanie zepsuło mu plany na niedzielne popołudnie. - Są tylko ślady hamowania przy krawędzi drogi, ale mogły powstać również kiedy indziej. Kierowca śmieciarki nie widział tego samochodu...

- Kierowca tej cholerne śmieciary balował całą noc w chałupie na górze! - Matt przyłożył dłoń do skroni i skrzywił się z bólu. - Ale jemu krwi nie zbadaliście, tylko mnie!

- Pan też balował - odparł policjant. - Mamy świadków, którzy twierdzą, że wczoraj wieczorem nie nadawał się pan do siadania za kierownicą.

- Świadców? - przerwała Allison. - Jakich świadków? Myślałam...

- Zostałem oskarżony - wyjaśnił Matt - o niezachowanie ostrożności za kierownicą. - Oczy lśniły mu ciemnym i groźnym blaskiem. - Kierowca śmieciarki twierdzi, że zajechałem mu nagle drogę, ale nikt nie widział tej półciężarówki, która próbowała mnie zepchnąć z drogi! Za to tamten facet ze śmieciarki ma tutaj masę przyjaciół.

Allison wstała.

- Ty też masz przyjaciół. - Popatrzyła na policjanta. - Czeka adwokat pana Glassa. Proponuję, żeby wstrzymał się pan z dalszymi pytaniami do czasu, kiedy pan mecenas tu przyjdzie.

Policjant wzruszył ramionami i wskazał ręką Matta:

- Jego prawo.

- Moim prawem jest dorwać Bakera i wycisnąć z niego prawdę - rzucił ze złością Matt.

Allison podjęła decyzję.

- M.J. posiedzi tu z tobą, a ja tymczasem pojedę po Laurel.

Zamieszkacie na razie u mnie.

Matt zmarszczył czoło.

- Nie protestuj. - Spojrzała na niego łagodniej. - Raz posłuchaj głosu rozsądku. Jak zamierzasz opiekować się małą w takim stanie? Cały jesteś posiniaczony, a głowa na pewno ci pęka. Pozwól mi.

Proszę.

Zamknął oczy.

- Jeśli narazi cię to na niebezpieczeństwo...

Policjant uniósł brwi, ale się nie odezwał. Wyraźnie jednak był zadowolony.

- O tym możemy porozmawiać później. - Podeszła do niego i delikatnie go pocałowała. - Staraj się nie ruszać i nie szaleć. Niedługo wrócę, a M.J. za moment tu przyjdzie. - Wyszła, mierząc policjanta nieprzyjaznym spojrzeniem.

Matt odprowadził ją wzrokiem do drzwi. Policjant zadawał mu następne pytania, ale nie docierało do niego ani jedno słowo. Mgliste przypominało mu się coś, co stało się tuż przed zderzeniem, jednak nie mógł sobie przypomnieć, co to konkretnie było. Chyba coś w związku z Allie...

Ignorował policjanta, przebiegając w myślach cały poprzedni wieczór i cały ranek do chwili, gdy wyszedł od Allison, żeby pojechać po Laurel. Przypomniawszy sobie, jak bardzo jej pragnął, jak nic nie wyszło z jego romantycznych planów, z czym zresztą można się było pogodzić. A potem stanowczo za szybko nadszedł ranek i sprawy przybrały jak najgorszy obrót. Przypomniawszy sobie telefon z pogrózkami do Allison, przypomniał sobie, jak ją obejmował i czuł... Czuł co? Zaraz sobie przypomni, jeszcze chwilę...

- Panie Glass, czy pan się dobrze czuje? - Policjant stał teraz przy łóżku. - Może wezwać lekarza?

Matt przetarł bolące oczy.

- Tak. To znaczy, nie. Nie wzywać. Miewałem już gorsze bóle głowy. W Himalajach.

Policjant wytrzeszczył oczy.

- Wspinał się pan w Himalajach? Matt popatrzył na niego uważnie.

- Kiedy byłem młodszy, wziąłem udział w kilku ekspedycjach. Wtedy jeszcze lepiej znośłem zimno, ale na szczyty nigdy się nie wspinałem. A czemu pan pyta? Pan też się wspina?

Na twarzy starszego człowieka pojawił się wyraz dumy.

- Zaliczyłem wejście z doliny Jackson Hole na Grand Teton. To było życie, człowieku. To były moje wielkie chwile. - Zerknął do notatnika. - Oczywiście, też byłem wtedy młodszy. Dobra, wszystko pana teraz boli, więc nie będę się naprzykrzał. Tymczasem. Ale jeżeli kierowca tej ciężarówki wniesie przeciwko panu oskarżenie...

- Nie wniesie. - Do sali wkroczył M.J. - Myślę, że mamy dowody na spisek zmierzający do przypisania winy mojemu klientowi. Sprawa zaś przedstawia się zupełnie inaczej...

Matt zamrugał oczami. M.J. w cudowny sposób zdołał się przekształcić z wykończonego człowieka, jakim był jeszcze rano, w złotoustego prawnika ubranego w nieskazitelny, trzyczęściowy garnitur. Matt zastanawiał się, ile czasu mu umknęło. Usiłował słuchać tego, co mówi M.J. do policjanta, ale głos docierał do niego coraz słabiej, aż w końcu zmorzył go sen. Na pewno usłyszał jeszcze tylko:

- .. .znajomy niejakiego T. Bakera.

Potem była już tylko ciemność i cichy głos Allison, pobrzmiwający w najodleglejszych zakamarkach jego serca i umysłu. To mu wystarczało.

W następny piątek, mimo opóźnienia w starannie opracowanym harmonogramie politycznym i zawodowym oraz kompletnego chaosu, jaki zapanował niemal pod każdym względem w jej życiu prywatnym, Allison wyruszyła do Montany, by spędzić weekend Święta Niepodległości i następujący po nim lipcowy tydzień ze swymi rodzicami i dziećmi. Kiedy wyjechała z podjazdu, zerknęła na tylne siedzenie zajmowane przez trójkę pasażerów.

- Wszystkim wygodnie? - spytała.

Matt i Laurel skinęli głowami z uśmiechem. Fred się nie uśmiechnęła, ale uderzyła kilkakrotnie krótkim ogonkiem po tapicercie siedzenia. Allison odwróciła się z powrotem do kierownicy. Napięcie i lęki ostatnich dni coraz bardziej się od niej oddalały. Czuła, jak robi jej się z każdą chwilą przyjemniej.

Nie niepokoiło jej nawet opóźnienie. Wszyscy potrzebowali tej podróży. Uznała, że podjęła słuszną decyzję.

W dzień po wypadku przywiozła Matta do swojego domu, gdzie Laurel już na niego czekała. Zachwytt małej z odzyskania wujka można było porównać jedynie do radości, jaką budziła w niej stała obecność Fred, i świetnej, choć nieco ryzykownej zabawy podczas zawierania bliższej znajomości z trzema nieufnymi kocicami. Allison i Matt z ulgą stwierdzili, że mała chyba nie kojarzy krótkiej nieobecności wujka z utratą rodziców. Zdawała się mieć wielkie zdolności przystosowawcze.

Allison ulokowała oboje gości w pokoju Sally, uznawszy, że lepiej umieścić Laurel w bezpośredniej bliskości Matta. W czasie jego pobytu w szpitalu wezwała na pomoc kilkoro przyjaciół i przywiozła do siebie z domu za miastem większość rzeczy Laurel. Jeśli nawet tym aktem wzbudziła w kimś rozterki natury moralnej bądź przysporzyła komuś kłopotów towarzyskich, to nikt niczego na ten temat głośno nie powiedział. Dowodziło to zresztą rozsądku przyjaciół, bo gdyby ktokolwiek próbował sarknąć, Allison niechybnie urwałaby mu głowę. Miała wiele powodów do drażliwości.

Rozstroiły ją trzy kolejne telefony od „ducha” Paula, które dostała w ciągu tygodnia. Zaczęła analizować swój każdy krok. Nie sądziła wprawdzie, by dzwonił do niej naprawdę Paul, ale wulgarne słowa, które słyszała za każdym razem, zanim zdążyła rzucić słuchawkę, poruszały ją do głębi. Coraz bardziej chciała demonstracyjnie okazać, że potrafi być przyjacielem Matta, nie będąc jego kochanką, co w ohydny sposób sugerował anonimowy rozmówca. Jej znajomość z Mattem była czysta jak kryształ.

Mimo to tydzień, który Matt spędził u niej w domu, minął bardzo przyjemnie. Zerknęła ponownie w lustro. Matt siedział odprężony, jednym ramieniem otaczał Laurel, usadowioną na samochodowym foteliku, a drugie opierał na grzbiecie Fred. Przyglądał się migającym widokom za szybą, mając taką minę, jakby duchem był bardzo, bardzo daleko. Allison pomyślała, że gdyby był innym człowiekiem, mogłaby mu się przyglądać do końca świata i byłaby szczęśliwa. A przecież nawet się jeszcze nie całowali. W

każdym razie nie tak naprawdę. Wyobraziła sobie, jak by się wtedy czuła...

- Niesamowity kraj - powiedział, przerywając jej erotyczne rozmarzenie. — Ciągnie się i ciągnie, i nic.

- Takie to sprawia wrażenie. - Uśmiechnęła się. - U nas powiadają, że jadąc przez Wyoming, widzi się więcej antylop i trawy niż ludzi na autostradzie.

Znowu zerknęła w lusterko. Matt uśmiechał się z nostalgią.

- Takie wrażenie - powtórzył i znowu spojrzał gdzieś w dal.

O czym on myśli?

Przez cały ten tydzień, który spędzili razem, był od niej bardzo daleko. Naturalnie zachowywał się jak przyjaciel, był bardzo miły, ale traktował ją jak obcą osobę, której nie chce się zawracać niczym głowy ani tym bardziej urazić. Gdyby nie bóle głowy, które wciąż go nękały, Allison z pewnością zaczęłaby mu wytykać to zachowanie, ale w tej sytuacji uważała, że nie należy Mattowi zakłócać spokoju.

Poza tym, szczerze mówiąc, jej życie toczyło się zbyt szybko, by miała czas rozwinąć ich romans czy też nieromans. Nawet nie zdążyła wypytać Matta o kwestię opieki nad Laurel. Nie rozmawiała z nim też o anonimowych telefonach. Nie chciała, żeby zaczął się przejmować tym, czy wypada im razem mieszkać. Matt niewątpliwie wiedział o tych telefonach. Był przy niej, gdy podnosiła słuchawkę i nie potrafiła ukryć wzburzenia. Musiał to wiedzieć, ale nie rozmawiali na ten temat.

Zgodnie z sugestią Josha zaczęła w ramach kampanii składać wizyty sąsiadom. Wypełniało jej to długie letnie wieczory i zostawiało

niewiele czasu na krótką rozmowę z Mattem, zanim wreszcie mogła położyć się do łóżka i odpocząć.

Samotnie.

Josh tymczasem próbował zorganizować publiczną debatę z Ritą, ale były trudności z uzgodnieniem terminu. Ned, który zdradziecko przeszedł do obozu rywalki, nie przystał do tej pory na żadną propozycję.

Allison znacznie zwiększyła intensywność spotkań z klientkami, zdając sobie sprawę, że w miarę zbliżania się jesieni i rozwoju kampanii będzie miała coraz mniej czasu na pracę zawodową. W ciągu dnia, gdy klientki przychodziły i wychodziły, Matt usuwał się z drogi i starał się nie rzucać w oczy. Mimo to Allison nie wątpiła, że wszyscy wiedzą o jej gościach: przystojnym, tajemniczym mężczyźnie z małym dzieckiem. Dowody obecności innych osób w domu mógł zauważyć każdy, kto dokładniej się rozejrzył. Laurel była normalnym, dwuletnim dzieckiem, więc normalne było również to, że nie dało się po niej idealnie posprzątać. Zawsze gdzieś tam leżała porzucona zabawka, mimo że Matt bardzo pilnował swojej siostrzenicy.

Zaobserwował jednak, że Laurel rzadziej robi im na złość niż wtedy, gdy mieszkała u niego. Obojgu wydało się to interesujące. Allison przypuszczała, że towarzystwo zwierząt i dwojga dorosłych ludzi pełniej absorbuje małą i powstrzymuje ją od brojenia. Matt też wysnuł któregoś wieczoru przypuszczenie, że Laurel odzyskała poczucie bezpieczeństwa. Allison puściła tę uwagę mimo uszu. Bała się nad nią zastanowić.

- Myślisz, że twoje dzieci są przygotowane na spotkanie z nami?
- przerwał teraz milczenie. - To może być dla nich wstrząs, jeśli mama przywiezie im faceta z małym brzdącem. Zwłaszcza że oboje mieszkają w ich domu.

- Są przygotowane - zapewniła go, w duchu wcale nie będąc taka pewna. - Nie jesteście pierwszymi zabłąkanymi kotami, które zaadoptowałam. Jak myślisz, skąd się wzięły Tom, Dick i Harry?

Matt zachichotał. Ostatnio nie śmiał się często, więc Allison zrobiło się przyjemnie.

- Zatrzymałaś je. Czy nas też zatrzymujesz? Mocniej ścisnęła kierownicę.

- No wiesz! Wcale nie. Nie należycie do mnie i macie swoje domy, a Tom, Dick i Harry nie miały. Po prostu stwierdziły, że im się u mnie podoba i zostały. Mądre koty.

Znów zapadło milczenie. Matt skrzyżował ręce na piersiach i nadal obserwował krajobraz. Allison widziała w lusterku jego profil. Rysy twarzy miał ściągnięte, usta zaciśnięte, kąćki lekko opuszczone; wcale jednak nie był przez to mniej przystojny.

Zastanawiała się, czy Matt myśli o wypadku. Od tamtego dnia nie usiadł za kierownicą, wciąż bowiem przeszkadzały mu bóle głowy. Wywoływały one w nim bardzo zmienne nastroje i Allison to rozumiała. Narzekał też, że źle widzi i ciągle zapomina. To ją lekko zdezorientowało, nie sądziła bowiem, że stał się mniej bystry niż zwykle. Także Phil nie wspomniał ani słowem o możliwych kłopotach z pamięcią. Uważał, że jeśli nie liczyć siniaków i bólów głowy, pacjent jest w znakomitej formie.

Matt wykazał się zresztą znaczną przytomnością umysłu, trzymając się linii obrony, którą opracowali dla niego M.J. i Miranda. Bardzo starannie wypełniał ich zalecenia.

Miranda odkryła, że o nietrzeźwości Matta poprzedniego wieczoru poinformowali policję Rita Morely i David Benning. Najwyraźniej nikt z uczestników zabawy oprócz nich nie miał ochoty zeznać, że Matt był pijany. Allison wiedziała zresztą, że wiele osób nie byłoby w stanie zeznać niczego.

Niestety, nadal nie było dowodu na obecność półciężarówki Teddie'ego Bakera na drodze. Kierowca śmieciarki, która uderzyła w jeepa, nie widział żadnego innego samochodu. A Teddie, według świadectwa kumpli, spędził ten weekend w Kolorado, więc nie mógł być jednocześnie na górskiej drodze w Wyoming. Poza tym półciężarówka podobno stała w warsztacie, gdzie czekała na naprawę przewodu paliwowego i regulację silnika.

Matt mruknął coś o usuwaniu dowodów przez profesjonalistów i dodał, że kolesie Teddie'ego kłamią jak najęci. Miranda była tego samego zdania. Gdyby udało im się znaleźć półciężarówkę Bakera i porównać żwir wyjęty z bieżników opon z nawierzchnią górskiej drogi, mogliby zdobyć poszlakę przeciwko Teddie'emu. Tymczasem jednak nie mieli niczego.

M.J., którego trudno było zniechęcić, zdołał wytrzasnąć świadków, którzy potwierdzili, że poprzedniego wieczoru kierowca śmieciarki uczestniczył w przyjęciu suto zakrapianym alkoholem. Zresztą już sam fakt, że ten człowiek, niejaki Gordon Hendry, nie potrafił wyjaśnić, skąd i dlaczego jechał ciężarówką z góry w

niedzielę rano, rzucał poważne podejrzenie na jego stan. Nikomu jednak nie przedstawiono zarzutów; uznano, że doszło do nieszczęśliwego wypadku, któremu nikt nie był winien. Hendry po prostu miał pecha, że wpadł na Matta.

Ale w miasteczku wrzało. Krążyły najrozmaitsze pogłoski, na szali zaś była dobra opinia Allison, bo Matt mieszkał u niej w domu. Allison się przy tym uparła. Przekonywała Matta, że tego wymaga dobro Laurel. Po bardzo gorącej dyskusji na ten temat wreszcie postawiła na swoim.

- Czy Josh uwzględnił w twoich planach paradę podczas rodeo w przyszłym miesiącu? - spytał Matt, ponownie wrywając ją z posępnej zadumy. - Właśnie dziś rano przeczytałem o rodeo w gazecie.

Kątem oka zerknęła w jego stronę. Sińce z twarzy już znikwały, ale wciąż wyglądał tak, jakby stoczył z ciężarówką dziesięciorundowy pojedynek bokserski.

- Co masz na myśli?

- Musisz przejechać w paradzie. To świetny sposób na zrobienie sobie reklamy. - Matt wyprostował się na siedzeniu. - Allie, wiesz, ruszam się jak ślimak. Jestem potłuczony bardziej, niż chciałbym się do tego przyznać, ale przez cały czas obserwuję. Josh Henderson bardzo kiepsko organizuje ci kampanię. A skoro różne pomysły nie wpadają mu do głowy, to sama musisz wykazać trochę inicjatywy.

Zmarszczyła czoło, wpatrzona w drogę przed maską samochodu.

- Nikogo innego nie mam, Matt. Josh musi mi wystarczyć.

Poczuła na ramieniu jego dłoń.

- Nie.

Oparł się pokusie, by pogłaskać ją po głowie, ponieważ rozmawiali o interesach. Gdyby znienacka zaczął jej dotykać, rozmowa mogłaby przybrać zupełnie inny obrót, a on był na to w tej chwili zbyt zdezorientowany.

- Josh naprawdę nie spisuje się dobrze, a ja mam u ciebie tak wielki dług wdzięczności, że nie wiem, czy kiedykolwiek będę go w stanie spłacić. Powiem ci coś. Proponuję, żeby moje nieoficjalne rady stały się oficjalne. Jeśli Josha za bardzo to nie wkurzy, chciałbym przejąć prowadzenie twojej kampanii.

Omam nie nacisnęła z całej siły na hamulec.

- Nie mogę go wywalić, Matt.

- Dlaczego? Nie sprawdza się.

Na to nie znalazła argumentu. Matt w zasadzie ma rację, ale nie do końca.

- Widzisz, ja tu muszę mieszkać. Ty możesz mi teraz wspaniale pomóc, ale potem nadejdą następne kampanie, a ty nie zawsze będziesz na miejscu. Natomiast Josh tak. Z czasem się nauczy. Podpatrzy, na czym polega sztuka.

Zapadło milczenie.

- Zgoda - powiedział w końcu. - Jak wrócimy do Linville, spytam go, czy przyjmie mnie na asystenta.

Zacisnęła dłonie na kierownicy. Chciała zatrzymać samochód i powiedzieć Mattowi, co czuje, ale się nie odważyła. Nie byłoby to ani uczciwe, ani słuszne.

- Dziękuję. Doceniam wartość twojej propozycji i jestem pewna, że Josh też doceni.

- Mhm - mruknął Matt. I to było wszystko.

Nieco później Laurel zbudziła się z drzemki, przez resztę podróży nie rozmawiali więc o poważnych sprawach. Za dużo mieli kłopotów bez tego. Allison zdążyła już zapomnieć, jak to jest, kiedy jedzie się daleko z małym dzieckiem. Laurel widocznie miała za zadanie skutecznie i ze szczegółami odświeżyć jej pamięć!

Na ranczo dotarli późnym wieczorem; postanowili bowiem jechać bez przystanku, aż do skutku. Allison bardzo chciała uściskać dzieciaki, nie miała jednak sumienia ich budzić. Zajrzała do sypialni, ale tylko na nie popatrzyła. Jej rodzice, Bill i Fran Campbellowie, jeszcze nie spali. Powitali ją z entuzjazmem, a Matta z sympatią. Widziała jednak, że nie są pewni, jaką rolę odgrywa Matt w jej życiu. Cóż, nie oni jedni.

Ojciec pomógł Mattowi rozstawić dziecięce łóżeczko w pokoju gościnnym, matka tymczasem przygotowała kolację. Potem spędzili we czworo pół godziny na rozmowie o mało konkretnych sprawach, jeśli nie liczyć miejscowych plotek. Matt nie chciał jeść, usprawiedliwiając się bólem głowy, toteż Allison pochłonęła większość kolacji sama.

Gdy Matt poszedł się położyć, posiedziała jeszcze trochę z rodzicami. Opowiedziała im o wypadku i wytłumaczyła, dlaczego Matt mieszka u niej w domu. Nie miała pewności, czy robi to dostatecznie jasno, była bowiem zmęczona i sama niezbyt dobrze rozumiała swoje uczucia, ale rodzice przyjęli wyjaśnienia bez słowa komentarza. Zawsze tak robili. Wkrótce udali się na spoczynek, życząc jej dobrej nocy.

Allison odetchnęła z ulgą, kiedy została sama. Cieszyła się, że jest w jedynym miejscu na ziemi, w którym odczuwa prawdziwy spokój i bezpieczeństwo. Wzięła Fred do swego dawnego dzieciennego pokoju i dosłownie padła na łóżko. Aż do świtu spała jak dziecko, bez żadnych sennych marzeń. Ale już o brzasku. ..

- Mama!

- Mamaaa!

Bliźnięta wpadły do jej pokoju wraz z pierwszymi promieniami słońca. Fred zaszczekała ostrzegawczo, natychmiast jednak zaczęła kręcić się w kółko i popiskiwać, co stanowiło objaw najwyższego stadium psiej radości.

Allison usiadła na łóżku ze łzami w oczach, a dzieciaki rzuciły się na nią, ścisnęły ją i całowały, i śmiały się ze szczęścia.

Sam odsunął się pierwszy.

- Mama - powiedział, spoglądając na nią uroczyście swymi piwnymi oczami. - Gdzie jest ten pan i dziecko?

Ton dziesięcioletniego chłopca wskazywał na zaniepokojenie, przez co Sam wydawał się w tej chwili starszy niż był w istocie. Starszy i niepewny, a może nieufny. Jak zwykle.

- No właśnie. - Oczy Sally były bardziej pogodne i wyrażały raczej oczekiwanie niż troskę. Też jak zwykle. - Fajny jest? - Odgarnęła z twarzy kosmyk puszystych, jasnych włosów. - A małe? Też fajne?

Allison podniosła głowę. W otwartych drzwiach sypialni stanął Matt, trzymając na biodrze Laurel. Oboje przyglądali się jej i bliźniakom.

- Sami zobaczcie. - Wskazała ku drzwiom. - Właśnie ich zbudziliśmy.

Bliźnięta odwróciły się i wlepiły wzrok w nieznajomych. Ruchy jednego były niemal lustrzanym odbiciem ruchów drugiego. Jak zwykle. Bardzo różnili się osobowością i spojrzeniem na świat, ich ciała jednak poruszały się w harmonijnym duecie.

Matt miał na sobie džinsy i bawełnianą koszulkę. Jeszcze nie uczesał włosów. Najwyraźniej trudno mu się było przyzwycząić do widoku bliźniąt. Wydawał się zmieszany, a Laurel jeszcze bardziej. Wykrzywiła buzię i zawołała rozpaczliwie:

- Maaamaaa!

I wyciągnęła ramiona do Allison.

Sporo czasu minęło, nim tego rana życie wróciło do normy, ale około południa prawie wszyscy zdawali się wszystkich akceptować, aczkolwiek równowaga była jeszcze chwiejna. Allison uprzytomniła sobie, że podobnie jest wśród zwierząt. Za każdym razem, gdy powiększała grupkę domowych ulubieńców, było najpierw mnóstwo obwąchiwania, sprawdzania przybysza i ostrożności. To samo, jak widać, dotyczyło jej ludzkiej rodziny.

Przy okazji uprzytomniła sobie, że o Matcie i Laurel myśli jak o swojej własności. Było to niebezpieczne, ale nie umiała tego zmienić. Postanowiła więc nie interweniować.

Sally i Laurel zaprzyjaźniły się natychmiast. To Allison nie zdziwiło, gdyż jej córka była podobna do niej: natychmiast obdarzała ludzi zaufaniem. Chyba nawet za szybko, jeśli brać pod uwagę jej interesy.

Natomiast Sam wyraźnie traktował Matta jak intruza i źródło zagrożenia. To z kolei bardzo Allison zaskoczyło.

Mimo zaledwie dziesięciu lat Sam miał wyraźne zadatki na bardzo męskiego mężczyznę. Lubił kręcić się przy robotnikach z rancza i przeżył poważne rozczarowanie, gdy Allison zerwała z kowbojem Mike'em. Bywał niekiedy twardy i szorstki aż do przesady. Nigdy nie naśladował subtelnych zachowań matki lub siostry, uwielbiał za to dziadka i kuzyna M.J.

Wprawdzie nigdy nie odnosił się zbyt przyjaźnie do obcych mężczyzn, lecz również nigdy nie zachowywał się wobec jej znajomych niegrzecznie. A już na pewno nie okazywał takiej zajadłości jak teraz. Zaniepokojona reakcją chłopca, Allison zaproponowała mu spacer i poważną rozmowę. Dała znak ojcu. Bill Campbell zareagował natychmiast.

- Dość już napletliśmy, nie sądzicie? - powiedział, wstając ze swego krzesła na ganku i się przeciągnął. - Mam dla was robotę, leniwe mieszcuchy. Sam, jak pójdziesz na spacer z mamą, sprawdź przy okazji płot na polu lucerny. A ty, Matt, przyjdź do stodoły z Sally i Laurel. - Jego niebieskie oczy niemal nikły pośród zmarszczek i bruzd, które uśmiech wyrył na opalonej twarzy. - Trzeba policzyć kociaki. Urodziły się w tym miesiącu.

Sally aż krzyknęła z zachwytem, co z kolei wywołało radosną reakcję Laurel. Allison jeszcze nie widziała, żeby mała była tak zadowolona. Najwyraźniej jej sympatia przeniosła się z zaniedbanej i zapomnianej teraz Fred na Sally.

Natomiast Sam odniósł się do propozycji spaceru bardzo chłodno. Zapowiedział matce, że jeśli chce z nim porozmawiać, to krótko, bo on ma robotę. Był ubrany w zaplamiony kombinezon, a z kieszeni wystawały mu najróżniejsze narzędzia przydatne do naprawy ogrodzenia. Dłonie chłopca nie pasowały do kościstych ramion; były za duże i poznaczone drobnymi, starymi bliznami. Sam dorasta, pomyślała Allison. Może częściowo na tym polega problem.

Doszli do pola i zaczęli wędrować jego skrajem.

- No więc do rzeczy - zaczęła Allison. - Zawsze byliśmy ze sobą szczerzy, Sam. O co ci chodzi? Powiedz mi. Omal nie naplułeś na Matta. Dlaczego?

- On jest twoim facetem? - Sam nie patrzył na nią. Przesunął dłonią po drucianym ogrodzeniu. - Mieszka z tobą w jednym pokoju? - Głos mu się lekko załamał, zdradzając uczucie, którego nie zdradzała mina.

- „Nie” na pierwsze. I „nie” na drugie. Jest przyjacielem, który jest mężczyzną. A śpi w pokoju Sally i ma obok siebie Laurel w przenośnym łóżeczku dla dzieci. Po powrocie do Linville Springs wróci do siebie do domu, jeśli tylko będzie się dobrze czuł. Pozwoliłam mu zamieszkać u mnie, bo miał wypadek, w którym został ranny.

Przedtem wspominali z Mattem o wypadku, ale bez wdawania się w szczegóły. Allison nie chciała, że by rodzice się martwili. Teraz obawiała się, że to przemilczenie przyniosło więcej szkody niż pożytku.

- Hm. - Sam pochylił się i zbadał drewno w dolnej części jednego z palików.

- No dalej, wyduś to z siebie. - Allison dotknęła jego głowy i poczuła pod palcami jedwabistą miękkość włosów. - Nie straszyles się tak, jak chciałam wyjść za mąż za Mike'a.

- Mike jest mężczyzną. - Sam wstał i ruszył wzdłuż ogrodzenia.
- A z tego, co widzę, ten facet to mięczak.

- Naprawdę? - Allison szurnęła nogą o ziemię i patrzyła, jak obłoczek kurzu wznosi się, by zaraz powoli opaść. Dzień był bezwietrzny, zanosilo się na upał. - Wyrobiłeś sobie zdanie w ciągu kilku godzin?

Sam nie odpowiedział. Znalazł pęknięty drut, uchwycił oba końce specjalnym narzędziem i skręcił je razem. Jego drobne mięśnie wyglądały pod dziecięcą skórą jak sznurki. Allison pozwoliła synowi pracować w milczeniu, podziwiając jego zręczność.

- Prowadzi firmę turystyczną, która organizuje szkoły przetrwania - odezwała się w końcu. - Nie rozumiem, dlaczego wydaje ci się mało męski.

Sam wzruszył ramionami. Sięgnął do drugiej kieszeni i wyciągnął zgniecioną czapeczkę baseballową. Nasadził ją sobie na głowę, zasłaniając daszkiem oczy.

- Oj, mama, firmę każdy może prowadzić - powiedział. Spojrzał na nią zezem spod daszka, potem wykrzywił twarz. - To mięczak, mama. Facet, który opiekuje się takim gnojem, nosi go, karmi i słodko do niego przemawia jest mięczakiem. Zachowuje się jak ty albo babcia.

- No wiesz.

Sam odwrócił się i ruszył dalej.

- Ale jeśli nie jest twoim facetem, to niech go...

- Sam!

- No dobra. Jeśli nie jest twoim facetem, a po moim powrocie już go nie będzie, to wszystko gra.

- Serdeczne dzięki.

Allison namyślała się chwilę, po czym podjęła decyzję. Poza mocnego człowieka trochę ją u Sama niepokoiła. Może nie zauważyła jej wcześniej, bo współczuła chłopcu pozbawionemu ojca. Ale musiała pomóc Samowi w osiągnięciu bardziej realistycznego spojrzenia na mężczyzn.

- Sam, to, że mężczyzna opiekuje się małym dzieckiem, nie oznacza, że jest mięczakiem. Laurel nie ma rodziców, więc Matt próbuje jej pomóc. Nie zawsze prowadził firmę i nie zawsze miał pod opieką małe dziecko - stwierdziła obojętnie, jakby zwyczajnie gawędzili, powiedziawszy już sobie to, co najważniejsze. - Słyszałam, że parę lat temu uratował w Ameryce Południowej sporą grupę ludzi. Byli mu tacy wdzięczni, że nakręcili o tym film. Jesienią ten film pokażą w telewizji. I wiem to nie od Matta, tylko od innych ludzi. On się nie przechwala tym, czego dokonał w życiu. Nie wiem o nim wiele, ale dosyć, żeby móc ci powiedzieć, że jest bohaterem. Dla tych ludzi zrobił to, czego nie zrobiłby nikt inny. Odnalazł ich i uratował im życie.

Sam przystanął i spojrzał na nią.

- Odnalazł ich?

- Tak.

- Czy powiedziałaś mu...

- O twoim ojcu? - Poczula zimny dreszcz. - Tak.

- Czy mógłby odnaleźć... - Sam urwał, a ona nie była w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Gdyby nie te okropne telefony, pewnie powiedziała by coś i uspokoiła Sama, tak jak dawniej, gdy pytał o ojca. Ale w tej sytuacji...

- Co odnaleźć? - rozległ się męski głos. Allison podskoczyła z wrażenia. Odwróciła się i zobaczyła nadchodzącego Matta. Był sam.

- Odnaleźć mojego ojca. - Sam powiedział to stanowczo i wyraźnie, dość wyzywająco. Zdjął czapkę i popatrzył na Matta. - Mama mówi, że pan jest bohaterem i że uratował pan jakichś ludzi, więc niech pan odnajdzie mojego ojca.

Allison skamieniała.

Matt spojrzał chłopcu w oczy. Zaimponowała mu jego siła woli.

- Po co? - spytał. - Po co tego chcesz?

Allison zasłoniła ręką usta. Okazało się jednak, że właśnie takie słowa były potrzebne. Sam jakby nieco zmiękł i wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Pomyślałem po prostu, że jak pan jest takim wielkim bohaterem i w ogóle... - Kopnął czubkiem buta ziemię. - Nie wiem.

Allison była pewna, że zauważyła w jego oczach łzy.

Matt chrząknął i odwrócił głowę.

- Ja też nie wiem nic o ojcu - powiedział. - Myślę, że jeszcze żyje, i już. On pewnie wie, gdzie mnie szukać, więc jeśli będzie chciał, to mnie znajdzie.

Sam trawił tę wiadomość z nieruchomą twarzą. Tylko w jego oczach widać było rozterkę.

Allison też się odwróciła. I ona miała ochotę się rozplakać.

Po tym epizodzie stosunki Sama z Mattem zaczęły się poprawiać.

Zostali na ranczu do następnej niedzieli. Sobotnie Święto Niepodległości minęło wszystkim bardzo przyjemnie, a Allison wygłosiła nawet krótką patriotyczną mowę na okolicznościowej kolacji pod gołym niebem. Zrobiła to tylko po to, żeby nie wyjść z wprawy, bo wśród słuchaczy nie miała wyborców, ale Matt bardzo pochwalił jej pomysł. Stwierdził, że w tej dziedzinie nigdy dość praktyki, jeśli Allison myśli poważnie o karierze polityka.

Wkrótce po przyjeździe na ranczo znów stał się sobą. Przestał narzekać na bóle głowy, miał mnóstwo pomysłów i dobry nastrój. Pozwolił się namówić na rozmowę o kłopotach prawnych, związanych z opieką nad Laurel. Przede wszystkim jednak odpoczywał. Jeździł konno i chodził na ryby z Samem oraz Billem, słuchał rad matki Allison na temat najlepszych sposobów postępowania z dwuletnimi dziewczynkami i szybko nawiązywał kontakt ze wszystkimi poznanymi ludźmi. Spędzał dostatecznie dużo czasu z Sally, by ta beznadziejnie się w nim zadurzyła, i nawet Mike, stara miłość Allison, który odwiedził ich pewnego dnia, odniósł się do niego przyjaźnie. Powiedział, że jeśli ma być stratny, to dobrze, że „przez naprawdę równego gościa”.

Nikt nie wierzył Allison, że łączy ją z Mattem jedynie przyjaźń. Ona zresztą też już nie była pewna, jak wygląda prawda. Jeśli nawet

nie kochała go przedtem, to pokochała w chwili, gdy porozumiał się z jej synem.

Wiedziała jednak, że znajomość z Mattem nie ma przyszłości. Podobnie jak Paul, Matt w końcu zniknie z jej życia. Ale pretensje o to miała tylko do losu, który zesłał jej dwóch takich mężczyzn. Mattowi z góry wybaczyła. Spodziewała się, że będzie chciał odejść i rozumiała to. Co innego Paul. Jemu prawdopodobnie nigdy nie miała przebaczyć, bo zostawił ją bez ostrzeżenia, bez wyjaśnienia, bez niczego. Jak wobec tego mogła go zrozumieć?

Wyjechali w niedzielę o dziesiątej rano z zamiarem dotarcia tego samego dnia do Linville Springs. Laurel zaczęła kaprysić, gdy tylko się zorientowała, że musi opuścić nowo poznanych przyjaciół, ale kiedy Fred wskoczyła na siedzenie obok niej i położyła włochaty łeb na jej nodze, mała uśmiechnęła się i rozchmurzyła.

- Chyba muszę jej sprawić psa - powiedział Matt, obserwując siostrzenicę. - Fred ma wspaniałe podejście do Laurel.

- Lata praktyki. - Allison wyjechała na prosty odcinek autostrady. - Pamiętaj, że uczyła się na bliźniętach. Jest profesjonalistką, jeśli chodzi o opiekę nad dziećmi.

- Ty też. - Prawie niewyczuwalnie musnął jej ramię. - Nigdy w życiu nie widziałem czegoś tak pięknego, jak wtedy rano, gdy siedziałaś na łóżku z dziećmi w objęciach.

Zamrugła powiekami.

- To są wspaniałe dzieciaki i bardzo do nich tęsknię. Ale dla nich czas spędzany z dziadkami też jest bardzo ważny. Sam widziałeś, jak dziadek się sprawdza jako namiastka ojca.

- Owszem.

- Tobie też świetnie poszło z Samem.

Nie mogła tego nie powiedzieć. Kocham cię za to, dodała w myślach. Za to i nie tylko...

- Tak jak mówiłaś, dobry z niego chłopak. Będzie wspaniałym mężczyzną, widzę to po jego oczach. Jest bardzo dojrzały, Allie.

Roześmiała się, żeby nie pokazać tego, co naprawdę czuje.

- Za to Sally... Jest urocza i subtelna jak matka. Ale nie miękka. Na swój sposób dorównuje siłą bratu. - Położył jej dłoń na ramieniu. - Jest taka, jaka byłabyś ty, gdyby życie nie dało ci tak mocno w kość. Połączenie uroku i niezłomności, osóbką zdolną do wszystkiego, ale przede wszystkim do porywającej miłości.

Poczuła dławienie w gardle.

- Doceniam... - zaczęła.

- Kocham cię, Allie - powiedział Matt. Spojrzała na niego.

Wpatrywał się w punkt przed sobą. Znów skierowała wzrok na drogę.

- Słucham? Co powiedziałaś?

- Powiedziałem, że cię kocham. Uświadomiłem to sobie już dość dawno, ale kraksa wybiła mi ten pomysł z głowy. - Wciąż patrzył w inną stronę. - Odkryłem to na chwilę przed zderzeniem z tą śmieciarą, a potem gdzieś mi to majaczyło w podświadomości. Ale kiedy zobaczyłem cię z dziećmi... - zacisnął dłoń na jej ramieniu - wszystko mi się przypomniało. Tylko nie potrafiłem ci tego powiedzieć. Albo nie mogłem znaleźć właściwej chwili. Szczerze mówiąc, sam nie wiem dlaczego. Czy to nie dziwne? Podobno mężczyzna powinien rąbać prawdę prosto z mostu.

Przełknęła ślinę, żeby się nie rozplakać.

- Co to dla ciebie znaczy, Matt? Wyczuła, że wzruszył ramionami.

- Naprawdę nie wiem. - Wskazał palcem. - Tam jest boczna droga. Skręć i stań. Jeszcze nie umiem ci powiedzieć, ale mogę to przynajmniej okazać.

Nie zastanawiając się nad tym, co robi, posłusznie skreśliła. Natychmiast po zaciągnięciu hamulca poczuła, że ma rozpięty pas bezpieczeństwa i jest w ramionach Matta.

RS

Całowali się. Początkowo niezdarnie i gorączkowo, wiedzeni nieodpartym fizycznym pragnieniem, później jednak zaczęli się poznawać uważniej. Allison bez reszty zatraciła się w tym doznaniu. Nie miała pojęcia, jak długo obejmuje tego absolutnie wyjątkowego mężczyznę. Pożądanie oszołomiło ją mocą swego czaru.

Jak łatwo było przewidzieć, Laurel i Fred przerwały swe dotychczasowe zajęcia. Fred szczeknęła, a Laurel spytała:

- Mama? Tata? Cio jobi? - Niepokój w głosie dziecka był tak silny, że natychmiast rozproszył zmysłową aurę.

Matt wypuścił Allison z objęć, ale tylko na kilka centymetrów. Nadal trzymając ją tuż przy sobie, powiedział uspokajająco do Laurel:

- Wszystko w porządku, kochanie. Po prostu się całujemy.

Laurel patrzyła na nich tak, jakby nie rozumiała. Fred z powrotem ułożyła się na siedzeniu i zamknęła oczy.

- Całujemy się - powiedziała Allison, patrząc na dziewczynkę. - Wiesz, co to znaczy. - Przesłała jej ustami całusa. - Dajemy sobie buzi.

Laurel zachichotała i próbowała ją naśladować. Matt pogłaskał Allison po głowie.

- Co teraz, kochanie? - spytał. - Zdaje się, że nie możemy zaspokoić naszej żądzy tu, na autostradzie, w obecności dziecka i psa.

Allison wybuchnęła śmiechem, chociaż miała ochotę płakać ze wzruszenia. Aż do tej chwili potrafiła ukryć, co czuła w głębi serca, i

wydawało jej się to słuszne. Lecz skoro Matt wyznał jej miłość, to czy powinna zrobić to samo? Czyżby tchórzyła? A może gra na zwłokę?

- Muszę przyznać, że to szaleństwo - powiedziała, odsuwając się od niego kilka dalszych centymetrów. Usiłowała się opanować. - Nawet głupota. Całować się przy dziecku! Już wiem, jak muszą się czuć małżonkowie, kiedy... - Zaczerwieniła się, bo nagle uświadomiła sobie, do czego zmierza.

Matt czule dotknął jej policzka.

- Wiem, co masz na myśli. Małżeństwo, miłość, dzieci, wszystko wraz z radościami i kłopotami, jakie to za sobą pociąga. Nigdy tego nie miałaś, prawda?

Mogła się zdobyć jedynie na zaprzeczenie ruchem głowy.

- Wiesz, że nie mogę ci obiecać takiej przyszłości, prawda?

- Oczywiście. - Jakoś znalazła siły, by się odezwać. - Nawet nie prosiłabym o to. Moje życie bardzo różni się od twojego. Byłoby głupio wyobrażać sobie, że moglibyśmy...

Położył jej palec na wargach.

- Nie mów tego, Allie. Żyjmy tym, co mamy teraz. Przekonamy się, co z tego wyniknie.

Znów się pocałowali. Było cudownie i podniecająco, ale ich namiętność nie była już taka nieskrępowana. Przeszkadzała im świadomość rzeczywistości.

Rzeczywistość objawiała się pod wieloma postaciami, przede wszystkim jednak za pośrednictwem chichoczącego dziecka, które wołało: „Buzi, buzi, buzi, buzi” przez następne sto kilometrów albo i dłużej.

Mimo to Matt i Allison podczas jazdy rozmawiali.

- Właściwie nie wiem, co to znaczy dorastać w rodzinie - powiedział. - Mój ojciec nigdy nie rozumiał, czym jest więź rodzinna albo obowiązki wobec bliskich. Dlatego nie jestem pewien, czy potrafię ci wyjaśnić, co mam na myśli mówiąc, że cię kocham.

- Nie martw się. - Allison zerknęła na niego z ukosa. - W tej chwili znaczy to, że lubisz być ze mną, że dobrze ci w moim towarzystwie i chcesz iść ze mną do łóżka. - Uśmiechnęła się. - Nie mam nic przeciwko temu.

- Czasem jesteś przerażająco bezpośrednia. - Dotknął jej ramienia opuszką palca. - Jak chcesz odnieść sukces w polityce, jeśli mówisz wszystko bez owijania w bawełnę?

- Czy to jest polityka?

- Nie.

- Więc nie krytykuj.

- Punkt dla ciebie.

Jechali dalej. Po pewnym czasie Allison odezwała się znowu:

- Powiedz, jak się dorasta ze świadomością, że nie wiadomo, co przyniesie następny dzień?

Cicho parsknął.

- To nic przyjemnego, możesz mi wierzyć.

- Mimo to chcę wiedzieć. Bo rozumiesz, dopóki nie straciłam... dopóki Paul nie zniknął, zawsze byłam wszystkiego absolutnie pewna. Teraz wiem, że to było niemądre. Ale i potem wierzyłam, że wszystko dobrze się skończy.

- Nadal w to wierzysz, Allie.

Pokręciła głową.

- Nie sędzę.

- Wierzysz. - Znów dotknął jej ramienia, delikatnie, na ułamek sekundy, jakby było to wszystko, na co może się w tej chwili odważyć. - W głębi serca jesteś pełna wiary. Ufasz, że ani rzeczy, ani ludzie nie zawiodą cię i nie zdradzą.

- Nie...

- Dlatego właśnie bardzo wytrąca cię z równowagi, gdy ktoś to robi - przerwał jej. - A ja? Ja po prostu wzruszam ramionami i mówię sobie, że w końcu i tak zdarzy się najgorsze, więc nie ma co się szarpać.

Przyjęła tę prawdę z ponurą miną.

- Niezła z nas para, co?

- Oj, niezła.

Po chwili znów zaczął opowiadać, przede wszystkim o dzieciństwie, które spędził z ojcem. Słuchając go, Allison pojęła, że Robert Glass jest wyjątkowym człowiekiem, badaczem i podróżnikiem mającym ustaloną renomę i wieloletnie doświadczenie. Organizował poważne ekspedycje na zlecenie Krajowego Towarzystwa Geograficznego, szeroko go chwalono za odwagę i niezłomnego ducha. To oczywiście wywarło wpływ na jego syna. Życie w cieniu wielkiego podróżnika wywarło na Matta swój wpływ, lecz przede wszystkim wzbudziło w nim potrzebę wyróżnienia się. Zapragnął dokonać więcej niż ojciec.

- Nie ma w tym nic niezwykłego, że syn stara się prześcignąć ojca - zakończył.

- Tobie się to udało?

- Czasem się udaje.

Zanim wiele godzin później zatrzymali się na podjeździe przed domem, Allison wiedziała dużo więcej o życiu Matta. Wiedziała wystarczająco dużo, by nabrać przekonania, że w końcu od niej odejdzie. Gdy tęsknota za podróżą i przygodą opanuje jego duszę zbyt mocno, Matt po prostu weźmie Laurel z sobą i zniknie. Tak samo, jak kiedyś robił jego ojciec.

Tom, Dick i Harry powitały ich powrót z ostentacyjną obojętnością. M.J. wpadał codziennie nakarmić kocice i napoić, więc ich fizyczne potrzeby były zaspokajane. Allison wniosła do domu senną Laurel. W progu miała westchnęła zadowolona.

Wydaje jej się, że jest w domu, pomyślała Allison.

- Wiem, że to zabrzmiało mało romantycznie, ale dziś w nocy muszę z tobą zostać - powiedział Matt, ustawivszy przenośne łóżeczko w pokoju Sally. - Tylko nie chcę zostawić Laurel samej. Masz pomysł, co z tym fantem zrobić?

- Prawdę mówiąc tak - wyznała. - W drodze powrotnej przeanalizowałam kwestie logistyczne.

Przesłała mu ciepłe spojrzenie. Matt skończył słać łóżeczko i wziął od niej Laurel. Dziecko było na wpół uśpione.

- Wygląda na spokojną. Może jednak...

- Niech śpi z nią Fred - powiedziała Allison, wskazując łóżko Sally. - Przyniosę specjalny koczyk, a jak suni powiem, że ma się stąd nie ruszać, to się nie ruszy. Zresztą i tak czasem śpi z Sally, więc to

nie takie wielkie halo. Gdyby Laurel się obudziła, zobaczy Fred, bo noc jest jasna. A Fred oznacza dla niej bezpieczeństwo, więc...

- Jeśli będziesz organizować swoją karierę polityczną choćby w połowie tak dobrze i rozsądnie jak życie osobiste, to kiedyś zostaniesz prezydentem -oświadczył Matt.

Położył Laurel na czystym prześcieradle i przykrył ją cienkim kocem, a potem pogłaskał po głowie i pocałował na dobranoc.

Allison popatrzyła na niego. W dyskretnym świetle wypełniającym małą sypialnię Matt wyglądał na kogoś, kto jest u siebie: czule nachylał się nad siostrzenicą i otulał ją na noc. Ale w istocie wcale nie był u siebie, a ona łatwo mogłaby napytać sobie biedy, gdyby o tym zapomniała.

I tak igrała z losem. Podejrzewała, że jest w Matcie zakochana, nie wiedziała jednak, czy jeśli pozwoli mu na wszystko, to potem zdoła pogodzić się z nieuniknioną stratą. Teraz miała ostatnią szansę, by się wycofać.

- Przynies kocyk dla Fred - powiedział, prostując się nad łóżeczkiem. Jego oczy były błyszczące. - Nie mogę się doczekać, kiedy będziemy razem.

Klamka zapadła. Allison pobiegła po posłanie dla psa.

Matt stał przy drzwiach i czekał, aż Allison rozłoży kocyk i każe Fred się położyć. Wiedział, że popełnia błąd i że ta noc będzie miała poważny wpływ na ich znajomość, ale nie miał wyboru. Pragnął jej coraz bardziej, a był zbyt wielkim egoistą, by odmówić sobie spełnienia tej miłości. Z twarzy Allison wyczytał, że nią również miotają sprzeczne uczucia i że nie jest pewna, czy ich decyzja jest

słuszna, postanowił jednak nie zwracać na to uwagi. Widział jej wahanie, ale było za późno. Miłość go obezwładniła, pragnienie oślepiło... Jakkolwiek by to nazwał, nie potrafił się temu oprzeć.

Allison nadal krzątała się przy psie i dziecku.

- Chodź, Allie - powiedział, wyciągając do niej rękę. - Będą spały.

- Wiem. - Odsunęła się od łóżeczka. - Ale boję się.

- Nie bój się. - Głos wiązał mu w gardle. - Nie skrzywdzę cię, Allie.

- Och, nie o to... - Podeszła bliżej. Rozmawiała z nim prawie szeptem. - Nie boję się ciebie.

- Więc czego?

Nie odpowiedziała. Matt przyglądał się Allison w przyćmionym świetle z przekonaniem, że nigdy w życiu nie widział nikogo piękniejszego. Była zmęczona całodzienną podróżą. Jej twarz była nie umalowana, włosy opadały na ramiona, ale lśniły blaskiem, który pochodził z jej wnętrza. Co za kobieta...

Objął Allison i odchylił jej głowę tak, by ich twarze znalazły się o centymetry od siebie. Dość czekania. Dość mówienia sobie „nie”.

Allison poczuła jego namiętność i jeszcze raz usłyszała w myśli głos rozsądku, ale było już za późno. Teraz rządziły serce i ciało.

Objęła Matta i mocno się do niego przytuliła.

- Po co nam te ubrania? - spytał cicho i dotknął bluzki Allison. - Chcę cię...

- Chodź do mojej sypialni - szepnęła.

Chwyliła go za rękę i pociągnęła za sobą. Oboje potykali się po drodze, zdejmując wierzchnie części garderoby.

W łóżku pozbyli się resztek ubrania i przytulili do siebie nieprzytomnie. Dłonie obojga przesuwają się z gorączkową niecierpliwością. Przenikają ich dreszcze oczekiwania. W chwilę później złączyli się w jedno i trwali tak długo, obezwładnieni silnym uczuciem rozkoszy. Allison starała się nie krzyczeć, w ostatniej chwili przypomniała sobie bowiem, że niedaleko śpi dziecko, a nie zamknęli drzwi.

Matt był zdumiony, że Allison potrafi zachować spokój, będąc w stanie ekstazy. Pragnął kochać się z nią tak, jak nikt przed nim, w perwersyjnym szale miłosnym naznaczyć ją piętnem, z którym już nigdy nie będzie chciała innego mężczyzny. I nigdy nie będzie potrzebowała innego mężczyzny.

Allison z radością poddała się następnym pieszczotom Matta. Kilkakrotnie tej nocy osiągnęli spełnienie, wreszcie jednak Matt położył się obok niej, podłożył ramię pod głowę i wyznał:

- Nie wiem jak ty, ale ja będę miał dzisiaj zdrowy sen.

Allison roześmiała się i podparła na łokciach, żeby na niego spojrzeć.

- Myślisz, że ci pozwolę? Jesteś teraz w moich szponach.

Przewrócił oczami.

- Boże, Allie, miej litość. Jestem tylko człowiekiem.

- Mogłeś mnie oszukać.

- To prawda, udawałem. - Zamknął oczy. - Wydajesz mi się odpychająca.

Uśmiech na jego ustach zdradzał jednak, że te słowa nie mają nic wspólnego z prawdą. Przypatrywała mu się długą chwilę.

- No, to teraz poważnie. - W jej oczach zabłyśły łzy. - Kocham cię, Matt, wiesz?

- Dotąd nie byłem tego pewien. Chodź. - I znów przytulił ją do siebie, po chwili dowodząc, że jeszcze nie ma zamiaru zasypiać.

Następnego ranka Matt zbudził się pierwszy. Przez kilka minut uważnie przyglądał się Allison. Ładna, inteligentna, ambitna, opiekuńcza... Urodzona matka z wrodzoną umiejętnością dawania. Wystarczy popatrzeć na te wszystkie zwierzaki, które przygarnęła!

Dlaczego właściwie nie miałyby z nią zostać? Dlaczego miałyby z tego nic nie wyjść? Z pewnością nigdy nie uda mu się znaleźć innej kobiety, łączącej w sobie tyle wspaniałych cech.

Może powinien jeszcze raz przemyśleć swoje życie... Czy powrót do Los Angeles naprawdę jest niezbędny? Czy Laurel byłaby szczęśliwsza na zachodnim wybrzeżu niż tutaj, gdzie się urodziła?

Przecież mogą podróżować. Od czasu do czasu wyjeżdżaliby zobaczyć coś nowego...

Tylko że Allison jest bardzo przywiązana do tego miejsca i nie byłaby szczęśliwa w żadnym innym. Spróbował wyobrazić ją sobie w Los Angeles i natychmiast się skrzywił.

Nic z tego. To jednak on musiałby się przeprowadzić, gdyby...

Zadzwonił telefon. Laurel krzyknęła spłoszona, Fred zaszczeakała.

Allison usiadła na łóżku, rozpuszczone włosy zasłoniły jej twarz. Początkowo nie docierało do niej, co się dzieje. Po chwili ujrzała Matta sięgającego po słuchawkę.

Serce zabiło jej gwałtowniej. To mógł być następny anonim. Lecz gdy Matt pokręcił głową i uśmiechnął się do niej, odetchnęła z ulgą. Ktoś dzwonił do niego. Allison sięgnęła po szlafrok i poszła do pokoju Sally.

Na jej widok Laurel szeroko się uśmiechnęła i wyciągnęła do niej ramiona.

- Mama - powiedziała głosem dźwięcznym jak dzwoneczek.

I Allison znów poczuła, że topnieje jej serce.

Matt mocniej zacisnął dłoń na słuchawce. Czuł, jak narasta w nim gniew.

- Mogą to zrobić, M.J.? - spytał, zastanawiając się, czy z wściekłości nie drży mu głos. - To jest zgodne z prawem?

- Jak dotąd tak - odrzekł adwokat. Mówił beznamyślnie, tonem profesjonalisty, niemal wrogo. - Mają mocne argumenty przemawiające na ich korzyść. Są rodziną, i to zasiedziały. Są krewnymi Johna Essex'a. Żona przez wiele lat często odwiedzała twoją siostrę i szwagra, mimo że mieszkała w innym stanie, natomiast ty...

- Natomiast ja bujałem po świecie, goniąc za przygodą. - Matt zaklął. - Nie pozwolę, żeby mi ją zabrali, M.J. Chcę walczyć.

- Decyzja należy do ciebie, Matt, ale radzę ci to dobrze przemyśleć.

- Po czyjej jesteś stronie, do cholery?! - zawołał Matt. - Przemyśleć? A co ja twoim zdaniem robię?

- Uspokój się - powiedział M.J. nie zmienionym tonem. -
Porozmawiaj na ten temat z Allie. Zobacz, co ona powie. Będę w
kancelarii za jakąś godzinę. Zadzwoń do mnie.

Matt trzasnął słuchawką o widełki.

- O tak, zadzwonię - mruknął i ponownie zaklął. - Na pewno
zadzwonie!

- Co się stało? - Głos Allison kazał mu się odwrócić. Stała na
progu z Laurel na rękach i Fred kręcącą się pod nogami. Była
naprawdę piękna. - Matt, powiedz, kto dzwonił.

Patrząc na nią w tej chwili, zrozumiał, że ona naprawdę go
kocha. I wpadł w panikę. Czy może sobie pozwolić na utratę tego
wszystkiego? Na utratę Allison? Laurel? Spokoju, który znalazł u ich
boku?

Nie! Będzie walczył.

- Dzwonił M.J. - odrzekł. - Laurel ma kuzynkę, niejaką panią
Turner. Ta kuzynka chce zakwestionować na drodze sądowej moje
prawa do opieki nad Laurel. Jest mężatką i może zapewnić dziecku
normalny dom.

Przy ostatnim zdaniu wykrzywił usta, jakby znowu miał zamiar
zakląć.

Allison spojrzała na niego z uwagą.

- I co?

- Nic. - Wstał, ciągnąc za sobą prześcieradło. -Nie ma o czym
mówić. - Przesunął dłonią po włosach.

- Idę wziąć prysznic, ubrać się, a potem zamierzam walczyć.
Chcę zatrzymać moje dziecko.

Wszedł do łazienki i trzasnął drzwiami.

Allison zaniepokoiła się. Miał dokładnie taką samą minę jak tego wieczoru, gdy razem jedli kolację. Minę wściekłego, niebezpiecznego człowieka. Takiego, któremu lepiej zejść z drogi.

Na tym się jednak nie skończyło. Po nakarmieniu Laurel Allison rozłożyła gazetę i przeżyła kolejny wstrząs. W listach do wydawcy ktoś kwestionował jej polityczne ambicje. Autor oskarżał ją o życie w grzechu z mężczyzną, który bezprawnie przechowuje dziecko. Na to ostatnie położono nacisk. List był podpisany, ale nazwisko nic Allison nie mówiło. Zaświtało jej coś dopiero wtedy, gdy przypomniała sobie kobietę kwestionującą prawo Matta do Laurel. Turner. Ciekawe, czy to ta sama.

Sięgnęła po słuchawkę, żeby zadzwonić do wydawcy i poprosić o publikację oświadczenia w sprawie jej stosunków z Mattem i Laurel, ale na szczęście rozsądek ostrzegł ją w porę.

Mogła niepotrzebnie narobić hałasu wokół czegoś, o czym nie powinno się mówić. Bądź co bądź, po ostatniej nocy naprawdę „żyje w grzechu”. Nie chciała przysporzyć Mattowi dodatkowych kłopotów w jego staraniach o zachowanie opieki nad Laurel. Oboje byli dla niej zbyt ważni.

Matt wszedł do kuchni.

- Twój kuzyn nie sprawiał wrażenia pomocnej duszy - oznajmił.
- Nie wiem, czy jest najlepszym adwokatem do tej sprawy.

Allison się zjeżyła.

- Jeśli coś ci się u M.J. nie spodobało, trzeba było to z nim wyjaśnić. Nie wściekaj się tylko dlatego, że zaczynają się schody. Kto to jest ta pani Turner? Znasz ją może?

Matt spojrzał spode łba, wyraźnie niezadowolony z jej reakcji.

- Nigdy o niej nie słyszałem. Do dziś nie wiedziałem o jej istnieniu. - Nalał sobie kawy i usiadł przy stole.

- Czy to jej dzieło? - Allison położyła przed nim gazetę. - Tu jest podpis: „Turner”. Jeśli tak, to ona gra nie fair. Wykorzystuje naszą prywatną sytuację do wywarcia nacisku na sąd.

Matt zaczął czytać list. W trakcie lektury coraz bardziej marszczył czoło.

- A niech to - powiedział tak cicho, że Allison ledwie go usłyszała.

Popatrzył na nią wręcz nienawistnie i Allison skuliła się zaniepokojona. Potem wypił resztę kawy i wstał. Wyraźnie nie zdawał sobie sprawy z tego, jakie robi na niej wrażenie. Wprost trząśł się od tłumionej złości. Jego oczy miały płomień. Allison nigdy nie widziała człowieka w takim stanie.

- Muszę wyjść - oświadczył. - Proszę, uważaj na Laurel. Niedługo wrócę.

Wyszedł z kuchni, nawet nie przystając przy Laurel, która wyciągnęła ku niemu ręce i żałośnie zachlipała, gdy ją zignorował.

Allison usłyszała trzask drzwi, który wstrząsnął całym domem. Potem rozległ się zgrzyt skrzyni biegów i pisk opon. Matt odjechał jej samochodem. Tak jak Paul.

Przez następną godzinę czuła się jak w złym śnie. Zajmowała się Laurel, przygotowywała do wypełniania obowiązków zawodowych i urządziła dziewczynce przestrzeń do zabawy w piwnicy, obok swego gabinetu, żeby móc jednocześnie pracować i jej doglądać. Gdy bliźniaki były jeszcze małe, robiła to samo. Zasada była bardzo prosta. Należało mieć oko na dzieci i nie angażować się zbyt w pracę, żeby nie przegapić odgłosu zapowiadającego kłopoty. Zdołała bez przeszkód przyjąć jedną klientkę. Dzień pracy potoczył się jak zwykle.

Okolo jedenastej zadzwonił Josh.

- Zdaje się, że jest mały kłopot - powiedział. -Może przemyślisz swoje sprawy mieszkaniowe, Allie. Mamy fatalną prasę.

- Rozumiem. - Zacisnęła dłonie tak, że aż wbiła sobie paznokcie w skórę. - Właśnie nad tym pracuję, Josh. Czy masz jakiś pomysł?

- Przełoń go albo wyjdź za niego za męż.

- Dzięki.

- Przepraszam, Allie, ale wiesz, jacy konserwatywni są ludzie w Wyoming. Sprawa nie wygląda dobrze.

- To rozumiem sama. Niestety, są komplikacje. Nie chodzi tylko o moje dobre imię.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Allison zawahała się. Josha naprawdę nie obchodziła sytuacja Matta.

- Powiedzmy po prostu, że autorka tego listu zrobiła to z pobudek osobistych.

- Mogę prosić o szczegóły?

- Przykro mi, ale na razie nie.

- Dobra. - Josh odchrząknął. - Zobaczą, co da się zrobić. Aha, zapomniałem ci powiedzieć, że poczyniłem przygotowania do twojego udziału w paradzie na rodeo. Za dwa tygodnie. Bądź wolna we wtorek rano.

- Dobra. Dziękuję.

W nieco lepszym nastroju odłożyła słuchawkę. Josh wcale nie jest taki beznadziejny, jak twierdzi Matt.

Około jedenastej zadzwonił M.J.

- Musimy porozmawiać - oznajmił bez wstępów. - Natychmiast.

- Nie mogę, M.J. Mam na głowie Laurel.

- To weź ją z sobą i przyjedź prosto do kancelarii. Czy Matt jest z tobą?

- Nie, Matt jest...

- Jest niebezpiecznie wkurzony. Jeśli się spotkacie, to go nie drażnij. Obiecuj mi to.

- Co ty gadasz? Mam się go bać?

M.J. zawahał się.

- Nie wiem, słowo daję. Jest jak wulkan, który lada chwila może wybuchnąć. Nie chcę, żebyś ty albo Laurel były w pobliżu, kiedy to się stanie. Przyjedź prosto do kancelarii.

Allison odjechała krzesłem od biurka.

- Nie mam samochodu. Matt wziął. Powiedz mi, co się stało.

- Ufff. - Na chwilę zapadło milczenie. - Był u mnie dziś rano. Powiedziałem mu, żeby przemyślał przekazanie opieki nad Laurel innym ludziom. Tamci mają dom w Lade, w Nebrasce. Mąż tej pani

pracuje na dobrym stanowisku w miejscowym banku i cieszy się dobrą opinią. Chcą mieć kilkoro dzieci, a na razie mają jedno i ona już nie może rodzić. Zajmują wysokie miejsca na kilku listach adopcyjnych i postanowili wziąć Laurel.

- Widziałeś się z nimi?

- Nie, ale dzwoniła do mnie Penny Jackson, adwokatka Essexów i...

- M.J., ona go nie znosi. Matt nie wie, czym jej się naraził, ale nie sądzę, żeby pani mecenas Jackson była bezstronna. Jak się ci ludzie nazywają?

- Frank i Joan Turnerowie.

- Czytałeś dzisiejszą gazetę?

- Nie miałem czasu.

- To zrób to od razu.

- Poczekaj przy telefonie.

Ze słuchawką przy uchu Allison wyjrzała z gabinetu, by sprawdzić, co porabia Laurel. Mała z zapalem bębniła plastikową pałeczką po kilku drewnianych klockach. Trzy kocice obserwowały to zajęcie z bezpiecznej odległości. Fred siedziała bliżej z wystawionym jęzorem, gotowa skoczyć za klockiem, gdyby go rzucono.

W słuchawce rozległ się szelest gazety.

- A niech to cholera! - zawołał M.J. Gazeta znowu zaszeleściła. - Już rozumiem.

- J.F. Turner? To chyba nie zbieg okoliczności?

- Nie sądzę. Najprawdopodobniej list napisali ci sami Turnerowie, nabrawszy doprawdy dziwnego przekonania, że

wywierając na ciebie nacisk, zmuszą Matta do kapitulacji. - M.J. wpadł w zadumę. - Zaczynam rozumieć, dlaczego się tak wściekł.

- Ale to niczego nie zmienia, prawda?

- Nie. Posłuchaj, nie ruszaj się z domu. Chcę jeszcze zadzwonić w kilka miejsc. Tylko najpierw powiedz mi jedno.

- No?

- Co właściwie czujesz do tego gościa? Mam na myśli dalsze plany.

Allison obróciła się na krześle twarzą do białej ściany.

- Co czuję? Kocham go. A dalsze plany? Beznadziejne.

Łzy popłynęły jej po policzkach nieprzerwanym strumieniem.

M.J. westchnął.

- Rozumiem, że wyjaśnienie zajęłoby ci zbyt wiele czasu. Muszę się tym zadowolić.

- Posłuchaj, M.J. O ile mi wiadomo, nadal mam gdzieś męża.

Nie mogę tak zwyczajnie drugi raz wyjść za mąż. Nieważne, co czuję.

- Z prawnego punktu widzenia jesteś wolna.

Zamknęła oczy.

- Prawo nie ma z tym nic wspólnego. Powinieneś znać mnie dostatecznie dobrze, żeby to wiedzieć. Póki nie mam niezbitego dowodu, że Paul nie wróci, nie mogę... Po prostu nie mogę i już.

- W porządku. Chyba cię rozumiem. Ale nie denerwuj się.

Niedługo zadzwonię. Aha, kuzynko...

- Słucham.

- Moim zdaniem oszalałaś.

- Toś mnie pocieszył. Serdeczne dzięki.

Oboje się roześmiali, bardziej dla rozładowania napięcia niż z innego powodu. Potem Allison pożegnała M.J., odłożyła słuchawkę i usiadła zatopiona w myślach.

Śmiech Laurel ściągnął ją na ziemię. Śmiech i zaraz potem radosny okrzyk:

- Tata!

Allison znieruchomiała, czując, jak włosy jeżą jej się na karku. To Matt wrócił.

- Chodź, kochanie - powiedział. - Już nas tu nie ma.

Allison wybiegła z gabinetu. Matt trzymał Laurel na jednym ramieniu, a w drugiej ręce miał marynarski worek. Był ubrany podobnie jak wtedy, gdy zobaczyła go pierwszy raz; w koszulę i spodnie khaki.

Tym razem jednak był to strój najwyraźniej roboczy. Buty były wysokie, w stylu wojskowym, jak u spadochroniarzy, sznurowane. U pasa wisiał nóż w pochwie. Allison była pewna, że gdy się odwrócił, dostrzegła wypukłość kabury pistoletu w okolicach krzyża. Matt był ubrany i uzbrojony do walki. Wyglądał jak współczesny wojownik w drodze na pole bitwy.

- Co robisz? - krzyknęła, nie śmiejąc jednak podejść bliżej.

Była w tej chwili tak przerażona, że nie potrafiła zdobyć się na refleksję.

- Nikt z was nie chce mi pomóc - powiedział, patrząc na nią dumnie. - No więc sam sobie pomogę. Do widzenia, Allie. Naprawdę szkoda, że tak wyszło, bo myślałem, że będę mógł cię kochać do końca życia.

Nagle wszystko stało się jasne. Wreszcie zrozumiała, co powinna zrobić.

RS

- Ty kłamco! - Mimo lęku Allie stanęła mu na drodze. Spała z tym człowiekiem, kochała się z nim, ale nie wiedziała, do czego jest zdolny w ostateczności. Czy posłużyłby się przemocą, by postawić na swoim? Czyżby tylko na tym się znał?

A może miłość jest dostateczną siłą, żeby go uspokoić i skłonić, by jej wysłuchał? Kochają się, to wiedziała na pewno, czy nie warto więc zaryzykować? Powalczyć?

Stanowczo warto, pomyślała, zakładając ręce na piersi i mierząc mężczyznę przed sobą gniewnym spojrzeniem. Chciał walki, to będzie ją miał.

- Nie kłamię mówiąc, że cię kocham - powiedział Matt. Niepewny, defensywny wyraz jego oczu dziwnie kontrastował z wojowniczą postawą. Laurel przytuliła się do niego z ponurą miną, jakby po swojemu rozumiała, jak ważna jest ta chwila dla jej przyszłości. Powietrze było naładowane elektrycznością. Żadne z czterech zwierząt przyglądających się tej scenie nie odważyło się nawet poruszyć. - Bez względu na to, co zrobię, wszystko, co mówiłem o moich uczuciach do ciebie, jest prawdą.

- Oczywiście - mruknęła, świadomie go prowokując. - Paul mówił dokładnie tak samo.

Matt nieco złagodniał.

- To nie jest uczciwa ocena sytuacji, Allie. Dobrze o tym wiesz. Próbuję ocalić to, co mam. Jeśli naprawdę mnie kochasz, usuniesz się na bok i pozwolisz mi zrobić swoje.

- Mylisz się. Jeśli naprawdę cię kocham, Matt, to się nie usunę, ale stanę przy tobie. - Wybuchnęła płaczem, wściekła na siebie, że okazuje słabość. - Ja... ja nie chcę cię stracić.

- Allie... - Zrobił krok w jej stronę i spojrzał na nią czule. - Jedź ze mną. Albo poczekaj, aż znajdę jakieś bezpieczne miejsce. Przyślę ci wiadomość i przyjedziesz.

Pokręciła głową.

- Nie ma bezpiecznego miejsca, Matt. Nie przed tym, przed czym chcesz uciec. Nie przed egoizmem. Zrozum to. Jeśli teraz uciekniesz, któregoś dnia znów uciekniesz, tym razem od Laurel. I uciekłbyś ode mnie, gdybym okazała się na tyle głupia, żeby pojechać z tobą. Tego nauczył cię ojciec, ale jeśli nie zerwiesz teraz z takim stylem życia, nie zrobisz tego nigdy.

Cofnął się o pół kroku.

- Nawet jeśli masz rację, nie mogę cię stracić, Allie. - Mówił niemal szeptem, lecz mimo to głos miał silny i pełen emocji. - Nie mogę stracić ciebie ani Laurel. Może ucieczka jest błędem, ale nie wiem, jak inaczej wybrnąć z tej sytuacji.

Podeszła do niego.

- Więc słuchaj tych, którzy wiedzą. Słuchaj M.J. i Mirandy. Słuchaj mnie! Znamy ten region. M.J. jest chyba najlepszym adwokatem w okolicy, gdy przychodzi do żmudnej pracy i inteligentnych sztuczek w sądzie. Jeśli jest na świecie sposób, żeby dojść sprawiedliwości, to on na pewno go znajdzie!

- Ale...

- Wiem. - Uspokoila się trochę, bo zaczął jej słuchać. - Wygląda na to, że wszystko sprzysięgło się przeciwko tobie. Przeciwko nam. Ale gra dopiero się zaczęła, Matt. Przeciwnicy wystrzelili pierwsze pociski i co z tego? Skończyło się na drobnych kłopotach i strachu. Zobacz. - Uniosła ramiona. - Mam rany?

Wykrzywił usta w kwaśnym uśmiechu.

- Nie. Jesteś twarda i niezłomna jak zawsze. - Pochylił się i postawił Laurel na podłodze, pocałował ją w głowę i poklepał Fred, która usiadła przy małej. Pudliczka drżała. Matt jeszcze raz uspokajająco ją pogłaskał i szepnął coś do dziecka i psa jednocześnie. Potem podniósł się i spojrzał na Allison.

- Powiedziałem im właśnie, że nigdzie nie jedziemy - oznajmił cicho. - Przynajmniej na razie. Pamiętam, jak w dzieciństwie uciekaliśmy z ojcem. Raz za razem. Czasami było to uzasadnione. Kiedy indziej... prawdopodobnie robiliśmy to dlatego, że ojciec chciał wybrnąć z trudnej sytuacji. Widocznie mam to we krwi i dlatego z miejsca pomyślałem o ucieczce. Ale jeśli mogę cię w ten sposób zatrzymać przy sobie, to chcę posłuchać, co masz mi do powiedzenia. Niczego nie obiecuję, ale posłucham.

Uczucie ulgi było tak wielkie, że pod Allison ugięły się kolana.

- Kocham cię, Matt. I kocham Laurel.

- Nie możesz mieć więcej dzieci, prawda? - Było to bardziej stwierdzenie niż pytanie. Nie zawierało współczucia, brzmiało zupełnie zwyczajnie.

Zaskoczył ją.

- Rzeczywiście, nie mogę. Miałam ciężki poród i były komplikacje. Skąd wiesz?

Wzruszył ramionami.

- Zgadłem.

- Chcę mieć z tobą dziecko, ale to niemożliwe.

- Rozumiem, wcale mi to nie przeszkadza. I tak mamy trójkę, czyli więcej niż trzeba. Pod każdym względem. - Wyprostował się i uśmiechnął do niej ciepło. - Zrozumiałem to wczoraj w nocy. I utwierdziłem się w tym przekonaniu dziś rano, gdy przyglądałem się, jak śpisz.

Bała się, że pęknie jej serce. Wiedziała, że nigdy nie kochała i nie będzie nikogo kochać tak, jak Matta w tej chwili.

- Nie odchodź ode mnie, Matt - powiedziała przez łzy. - Jakoś uporządkujemy nasze sprawy. Wszystkie.

Wyciągnął do niej ramiona i objął ją. Ofiarował jej swą słabość i zawierzył przyszłość. W tym momencie Allison podjęła decyzję. Ich przyszłość musi być wspólna. Bez względu na koszty!

W parę godzin później okazało się jednak, że koszty mogą być bardzo wysokie. W najgorszych przewidywaniach Allison nie podejrzewała, że mogą być wręcz astronomiczne.

Zadzwoiła do M.J., by go poinformować, że Matt zmienił zdanie, więc adwokat wezwał posiłki. Pospiesznie zwołana narada strategiczna, na którą zaproszono również Josha i Mirandę, tylko potwierdziła słabość ich pozycji.

Siedzieli w sali konferencyjnej, w kancelarii M.J. Przestrzeń była tam zdominowana przez politurowany stół z mahoniowego

drewna. Wzdłuż ścian stały regały pełne prawniczych książek. Przez okno od południa sączyło się słoneczne światło, które trochę ożywiało ponure poza tym pomieszczenie.

Naradzie przewodniczył M.J.

- Poprosiłem do nas Josha - wyjaśnił - bo doszedłem do wniosku, że splata się w tej sprawie kilka zawiłych wątków naszego życia. - Przetarł czoło, co dla Allison stanowiło dowód głębokiego zatroskania. -Paskudnych spraw. Wy dwoje z pewnością sobie na coś takiego nie zasłużyliście, nie mówiąc już o Laurel.

Matt przytaknął skinieniem głowy. Nie odzywał się, myślał jednak o tym, jak niewiele brakowało, by odrzucił pomoc przyjaciela, a wraz z tym szansę, by wreszcie na powrót stać się członkiem ludzkiej rodziny. Gdyby Allison nie okazała tyle siły i nie przeciwstawiła mu się...

O tym nawet nie był w stanie myśleć, albowiem definitywnie zamknął pewien rozdział swego życia. Uśmiechnął się pod nosem i pomyślał, że oto zaczyna się edukacja Matta Glassa na temat tego, jak w społeczeństwie być człowiekiem, a nie wyrzutkiem.

Miał nadzieję, że edukacja ta przyniesie pozytywne skutki, bo w innym razie musiałby wrócić do starych przyzwyczajzeń i jakoś przekonać do nich Allison.

- Po pierwsze - ciągnął M.J. - mamy tu Allie i jej kampanię polityczną, stanowiącą zagrożenie dla Rity, która kandyduje z ramienia partii. Zagrożenie to jest realne, mimo że Allie ma bardzo skromny budżet i niedoświadczonego szefa kampanii.

Matt zerknął na Josha, który dotąd unikał jego spojrzenia. Josh poczerwieniał, ale milczał. Matt uznał to za dobry znak. Zamierzał roznieść go na kawałki, gdyby zaczął się bronić.

Naturalnie w przenośni, bo jego nóż był z powrotem w marynarskim worku, razem z pistoletem i ubraniem wojskowym. Na to spotkanie Matt włożył garnitur i krawat. Rodzaj broni zależy wszak od czasu i miejsca; teraz jego bronią była miłość do Allison i Laurel. Miał nadzieję, że również inteligencja i odwaga.

M.J. podniósł dwa palce.

- Po drugie, mamy tu Matta i jego chęć sprawowania opieki nad Laurel. Jest najbliższym krewnym małej, toteż jego prawna pozycja powinna być mocna. Problem polega jednak na tym, że Matt nie ma żony i prowadził dotychczas dosyć burzliwy tryb życia. -Adwokat odkaszlnął i spojrzał na blat stołu. - Następny minus stanowi jego związek z Allie, budzący wątpliwości natury moralnej.

Nikt się nie odezwał. Nikt nie odważył się zaczerpnąć tchu. Co zaś najważniejsze, jak zauważyła Allison, nikt M.J. nie przerwał. Jej kuzyn wcielił się w rolę adwokata diabła, co wszyscy zdawali się rozumieć i doceniać. Szczególnie Matt.

M.J. podniósł w górę trzeci palec.

- Mamy też anonimowe telefony do Allie, które zaczęły się dwa tygodnie temu. Ktoś stwarza wrażenie, że dzwoni jej zaginiony mąż. Są więc groźby werbalne i szantaż uczuciowy, czyli znęcanie się moralne, które rozbija człowieka psychicznie, lecz nie stanowi jeszcze czynnej napaści. Najwyraźniej jednak celem tych telefonów jest osłabienie i nastraszenie Allie.

Trudniej jest natomiast zaatakować Matta Glassa. Jeśli czegoś się boi, nikt o tym nie wie. Przeciwnik postanowił więc wygarnąć z grubej rury. Miranda odkryła, że kilka miesięcy temu Teddy Baker, którego Matt publicznie upokorzył, pracował dla Davida Benninga, politycznego mecenasa Rity Morely. Może to jest przypadek, dla mnie jednak zastanawiający. Moim zdaniem bowiem wypadek Matta nie był ani wypadkiem, ani przypadkiem, tylko...

- Naprawdę sądzisz, że oni działają wspólnie? - Allison nerwowo poruszyła się na krześle. Po konfrontacji z Mattem czuła się bardzo wyczerpana, była jednak gotowa paktować z samym czartem, gdyby okazało się, że jest taka konieczność. - Czy Teddy Baker, Rita i ci Turnerowie mogą razem coś knuć? Mnie się to wydaje mocno naciągane. Jak to możliwe?

- Tego jeszcze nie wiemy, ale mamy teraz przesłanki, których M.J. nie miał, gdy rano się z Mattem pokłócili - odpowiedziała za adwokata Miranda. - Te wszystkie sprawy może łączyć wspólne ogniwo. - Uśmiechnęła się. - Myślę o małej Laurel Essex.

- Laurel? - powtórzył Matt. - Czy coś jej grozi? Pytanie było zadane łagodnym, cichym głosem, lecz Allison wyczuła groźny ton. Splotła dłonie pod stołem, modląc się, żeby Miranda nie powiedziała czegoś, co znów Matta rozgniewa.

Miranda jednak chciała podtrzymać go na duchu.

- Nie, Laurel nic bezpośrednio nie grozi. Fizycznie na pewno nie, ale ona jest ośrodkiem całej tej sprawy. Chodzi o jej pieniądze. Jestem gotowa założyć się o dużą sumę, że zagrała tu nasza stara,

pocziwa chciwość. Jakie to proste! - Położyła na stole kilka kartek. -
Matt, czy zdajesz sobie sprawę z wielkości jej majątku?

- Tak.

- Wobec tego wiesz, o co walczysz? - spytał M.J.

- Nie sądziłem, że ktokolwiek jest w stanie tknąć jej majątek.

Opiekun ma nim rozporządzać tylko do czasu, aż Laurel osiągnie
pełnoletność. Nie rozumiem więc... - Matt urwał, pochylił się do
przodu i oparł łokcie na blacie stołu. - Czekaście - rzekł po chwili
namysłu. - Co robi ten cały Turner?

Miranda i M.J. uśmiechnęli się z aprobatą.

- Dotarło, kolego. Jest bankowym doradcą inwestycyjnym -
odrzekła Miranda. - Drobną rybką, ale tak to bywa. Człowieka może
wkurzyć, jeśli latami patrzy, jak inni zbijają fortuny, a sam nie ma do
tego okazji...

Miranda urwała i zostawiła konkluzję ich domysłom. Matt
zrozumiał.

- Ale ten facet nie może tknąć pieniędzy Laurel bezpośrednio, bo
są w zarządzie funduszu powierniczego - powiedział. - Ma jednak
inne możliwości. Jako doradca inwestycyjny mógłby ich użyć do
testowania inwestycji, nie ryzykując własnej gotówki. A gdyby coś się
sprawdziło, wprowadziłby zamiast nich swój kapitał. Teraz rozumiem.
To znaczy, że wcale nie rozmawiamy tutaj o gorącym pragnieniu
Turnerów, żeby mieć jak największą rodzinę, prawda?

Napięte mięśnie twarzy zdradzały, że jest zły.

- Na to wygląda - przyznała Miranda.

- Oczywiście brak jakichkolwiek dowodów, tak? -spytała Allison. - To wszystko jest wzięte z kapelusza.

- Do czasu - powiedział Matt. - Na razie mamy przynajmniej świadomość, kim jest wróg, a właściwie wrogowie. Osobiście nie wierzę, żeby naprawdę byli tacy dobrzy w te klocki, jak im się wydaje.

- Przepraszam... - Josh odezwał się po raz pierwszy. - Czuję się w tym wszystkim mocno zagubiony. No bo wiecie, państwo, spisek jest bardzo mocnym i paskudnym słowem. Czy jesteście pewni, że...?

- Prawie, Josh - potwierdził M.J. - Wierz mi, że sytuacja jest dziwna. Nie traktuj jeszcze naszych domysłów jako czegoś pewnego, ale przypuszczam, że niedługo będziesz mógł.

Josh drgnął niespokojnie.

- Wiecie, nie jestem zbyt odważny, więc... - Jego głos zabrzmiał dziwnie.

- Chce się pan wycofać, Josh? - Matt przyjrzał mu się dokładnie. - Jeśli puszczają panu nerwy, to mogę przejąć kampanię Allie.

- Nnnie. - Josh pokręcił głową. Dziwny wyraz jego twarzy zastanowił Allison. - Nie chcę zrezygnować. - Uśmiechnął się słabo. - Ale na pewno chętnie przyjmę pańską pomoc, Matt. Oczywiście, jeśli Allie nie ma nic przeciwko temu.

- Nie mam - zapewniła. - Nawet zamierzaliśmy na ten temat z tobą porozmawiać, zanim jeszcze powstała ta sytuacja. Wcale nie uważam, żebyś źle pracował. Ale Matt jest...

- Człowiekiem walki - dokończył Josh. - W odróżnieniu ode mnie. A walka będzie jak dwa razy dwa jest cztery, nawet jeśli ten

cały spisek wymyśliliście. - Wstał. - Sądzę, że reszta tego spotkania nie dotyczy mnie bezpośrednio, więc chciałbym już iść. Allie, zadzwoń do mnie później, proszę.

Skinęła głową i Josh opuścił kancelarię.

- Wracamy do tematu. - M.J. wyrównał leżący przed nim stosik papierów. - Co chcesz dalej robić, Matt? Następny krok należy do ciebie.

- Chcę walczyć. Na całego. - Sięgnął do kieszeni i wyjął z niej czek. - Oto pieniądze. Wysokość honorariów, twojego i Mirandy, nie ma znaczenia. Nie potrzebuję pieniędzy Laurel; jestem dostatecznie bogaty. Włóczenie się z ojcem po świecie w latach młodości miało jedną zaletę: nawiązałem kontakty, które potem zaprocentowały. Dochody z inwestycji starczą mi z grubą nawiązką do końca życia. Nie potrzebuję pieniędzy Laurel - powtórzył.

- Wiemy to - rzekła Miranda. - Sprawdziliśmy.

- To dobrze. - Matt skinął głową. - Byłbym rozczarowany, gdybyście tego nie zrobili.

Allie przysłuchiwała się, jak pozostała trójka szkicuje strategię. Doszli do porozumienia bardzo szybko. Z jednej strony należało się z tego cieszyć, z drugiej jednak taki sojusz był potencjalnie mało trwały. Allison miała dość politycznego doświadczenia, by zdawać sobie z tego sprawę. Chwilowo Matt godził się na grę według reguł, była jednak pewna, że zechce wrócić na stare ścieżki, jeśli tylko Laurel lub jej zagrozi niebezpieczeństwo. Pod wieloma względami Matt był bardzo nieskomplikowanym człowiekiem, zdecydowanym za wszelką cenę chronić to, co darzy uczuciem.

Nie jest to wcale takie złe. Ale dobre też nie, skoro przyszłość ma zależeć od tego, czy Matt zdoła powściągnąć swoje instynkty i zawierzyć ludziom, których nie zna. Allison uznała, że musi go starannie obserwować.

Odwróciła wzrok od pozostałej trójki i wyjrzała przez okno. Musiała podjąć bardzo trudną decyzję. No, decyduj, ponagliła się w myślach. Poskutkowało.

Nie minęło wiele czasu i M.J. skończył szkicować swój wstępny plan. Zamierzał domagać się przyznania Mattowi opieki nad Laurel, powołując się na jego sytuację finansową, która była znacznie lepsza niż Turnerów, i bliższe pokrewieństwo z Laurel.

Na korzyść Matta przemawiały też inne argumenty, takie jak natychmiastowa reakcja na sytuację, w jakiej znalazła się Laurel, i jego oficjalne oświadczenie, że chce zostać jej opiekunem. M.J. ostrzegł jednak, że wynik będzie zależał od tego, jakie kroki podejmie przeciwnik i na ile okaże się bezwzględny. Nikt nie wspomniał o problemie, jaki powstał po tym, kiedy Matt i Laurel zamieszkali u Allison, a ona też nie spieszyła się, by to rozważyć. Nie zamierzała wypuścić tych dwoje od siebie.

Nikt też nie zastanawiał się, co robić, gdyby zdarzyły się następne anonimowe telefony lub gdyby doszło do agresji fizycznej. Allison mogła jedynie żywić nadzieję, że były to odosobnione przypadki i nawet jeśli uknuto spisek przeciwko niej i Mattowi, to druga strona postanowiła porzucić takie metody, wybrawszy bardziej cywilizowaną konfrontację prawną. Rozmyślania na ten temat wpędziły Allison w wyjątkowo ponury nastrój. W pewnym sensie

gwałtowna, bezpośrednia reakcja Matta wydawała jej się zdrowsza. On zdawał się mówić: Z tarczą albo na tarczy. Bądź co bądź, jest to naturalna odpowiedź człowieka na zagrożenie.

Matt zauważył jej zamyślenie, ale wspomniał o tym dopiero po wyjściu z kancelarii.

- Powiedziałaś, co miałaś do powiedzenia, a potem nagle spochmurniałaś i ucichłaś. - Otworzył przed nią drzwi samochodu, okrążył maskę i również wsiadł. Przestały go już nękać bóle głowy, uznali więc, że może prowadzić. Na razie musieli jednak zadowolić się samochodem Allison, bo Matt jeszcze nie kupił nowego. - Nic więcej nie przyszło ci potem do głowy?

- Całe mnóstwo. - Allison zapięła pas. - Ale nic na teraz.

- A na kiedy?

Uruchomił silnik i wjechał na ulicę.

- W odpowiednim czasie dam ci znać. - Usiadła wygodnie w fotelu. - Teraz muszę cię przeprosić.

- Za co? Gdyby któreś z nas miało przeproszać, to na pewno ja.

- Oskarżyłam cię o egoizm, tymczasem sama jestem nie mniej winna.

- Ty? - Matt parsknął śmiechem. - O ile mi wiadomo, nie ma ani krzty egoizmu w twoim ślicznym ciele. A miałem okazję sprawdzić.

Wzruszona poczuła, że ma ochotę wyciągnąć do niego rękę. Jeśli go dotknie, znów ogarnie ich czar. Jednak nie wolno jej było przerwać ważnej rozmowy.

- Mylisz się, Matt. Prawie całe życie mieszkam sama. Jestem jedynaczką. Dopóki Paul nie odszedł, prawie wszystko działo się tak, jak ja chciałam. I potem też sama decydowałam, co dalej.

- Ale dzieci... - Wydawał się zdziwiony. Wzruszyła ramionami.

- Są moje. Nie muszę uzgadniać z partnerem, jak je wychowywać. I są fantastyczne. Zachowałam całkowitą niezależność, mimo że się nimi opiekuję. Z mojego punktu widzenia nie mam więc prawa rzucać w ciebie kamieniem. - W końcu uległa pokusie i dotknęła ramienia Matta. - Tobie po prostu odrobinę bardziej niż mnie zależy na tym, żeby postawić na swoim.

- Hm. - Skręcił w przecznicę. - Chyba wyrażasz się jasno, chociaż nie rozumiem, co z tego wynika.

- Zerknął na nią. - Bo widzę, że dla ciebie coś z tego wynika. Koło fortuny zostało puszczone w ruch.

Odwróciła głowę.

- Już ci mówiłam. Dowiesz się w swoim czasie.

Nie nastąpiło to jednak szybko. Allison była przekonana, że gdyby powiedziała Mattowi, co wymyśliła, to natychmiast pokrzyżowałby jej plany. Lepiej było urzeczywistnić zamiar bez głośnych zapowiedzi i fanfar. Tym razem była pewna, że ma rację.

Josh postawił się jednak okoniem, i to zaskakująco ostro.

- Allie, nie możesz nagle zrezygnować ze wszystkiego tylko z powodu tego człowieka. - Uderzył otwartą dłonią w stos papierów leżących na biurku.

- Popatrz na to - powiedział. - Naprawdę możesz dobrze wypaść. Mój nieoficjalny sondaż wskazuje, że masz przynajmniej równe szanse z Ritą, jeśli nie większe, mimo skandalu...

- ...z powodu Matta, który u mnie zamieszkał -dokończyła za niego.

Było popołudnie, dzień po naradzie u M.J. Matt został w domu z Laurel, ona natomiast przysłała powiedzieć Joshowi, że rezygnuje z walki o mandat.

- Nie chcę zwyczajnie rzucić tego w diabły - wyjaśniła. - To mogłoby negatywnie wpłynąć na sytuację Matta. Zupełnie jakbym przyznała, że nie mamy czystego sumienia. Nie. Chcę przestać walczyć powoli. Niech wyjdzie na to, że nie jestem godnym przeciwnikiem dla Rity. - Popatrzyła uważnie na Josha. - Ogłoszę, że wycofuję się z kampanii wkrótce po pierwszym wrześniu, kiedy sondaże wykażą, że nie mam najmniejszych szans. Możesz to dla mnie zrobić?

Josh pokręcił głową.

- Nie jestem tym zachwycony, ale jeśli nalegasz, to nie wiem, czy mam wybór.

- Dzięki. - Poklepała go po dłoni. - Jak szum ucichnie, postaram się rozgłosić, że to nie była twoja wina.

Josh wzruszył ramionami.

- Wątpię, czy ktoś ci uwierzy. - Położył rękę na biurku i wsunął jakąś kartkę pod teczkę, po czym zaczął w nią postukiwać ołówkiem.

- Zaufaj mi.

Josh skinął głową, ale nie spojrzał jej w oczy.

Wyszła, rozmyślając nad znaczeniem słowa „zdrada”. Dlaczego ludzie zdradzają innych ludzi? Zastanawiała się, czy nie robi tego sama, rezygnując w taki sposób z walki. Żałowała, że nie potrafi wymyślić rozwiązania, które wszystkich by zadowoliło. Najbardziej dręczyła ją sytuacja Josha: skazywała go na następną porażkę, a to nie było uczciwe.

Dopiero w drodze do domu zaintrygowało ją, co było napisane na tej kartce, którą Josh przed nią schował. Szybko jednak przestała zaprzętać sobie tym głowę. Miała dużo ważniejsze sprawy do załatwienia.

Matt czekał na nią na progu.

- Muszę skorzystać z samochodu - powiedział. - Masz coś przeciwko temu?

- Nie. - Podsunęła mu policzek do pocałunku, ale Matt przemknął obok, po drodze pozbawiając ją kluczyków. Westchnęła i weszła do domu. Dzielenie się samochodem było męczące. Trudno im było skoordynować swoje rozkłady dnia, toteż z niecierpliwością czekała, kiedy Matt kupi nowy samochód.

Laurel powitała ją radosnym okrzykiem:

- Mama!

Szybko jednak zaczęła kaprysić, domagając się pełnej uwagi.

Allison z westchnieniem uległa temu żądaniu. Ona i Matt są co prawda obiektem plotek, ale mimo chwil zakazanej, szaleńczej miłości, jakie przeżyli ostatnio, było w ich życiu coś ze starego małżeństwa. Obecność dziecka nie sprzyjała zmysłowemu uniesieniom.

- Nie cię - zakwiliła Laurel, broniąc się przed klockami, którymi Allison próbowała ją zainteresować. -Nie!

Westchnąwszy ponownie, Allison sięgnęła po leżącą na stoliku książeczkę. Nawet Fred i kocice ją opuściły. Najwyraźniej Laurel już im zaszła za skórę.

- Może ci poczytać? - zaproponowała.

Mała wyduła wargi, ale skinęła głową i usiadła jej na kolanach. Włożyła kciuk do ust i prawie natychmiast zamknęły jej się powieki.

- No tak. Czy tata kładł cię spać? - spytała Allison, dopiero po fakcie uświadamiając sobie, że znowu nazwała Matta „tata”. Robiła to za często. Gdyby miało się okazać, że sprawy nie ułożą się po ich myśli, sprawi dziecku niepotrzebny ból, pomagając mu zapamiętać Matta jako tatę.

Ale Laurel i tak nazywała ją mamą. Czy więc mogła się stać z takiego powodu jeszcze większa krzywda?

- Spać nie! - oświadczyła Laurel dobitnie i jakby na potwierdzenie powagi swych słów groźnie wykrzywiła twarz, tak jak potrafi tylko senne, rozkapryszone dziecko. - Spać nie! - powtórzyła.

- Spać tak. - Allison wstała, biorąc małą na ręce. - Myślę, kruszynko, że bardzo potrzebujesz snu.

- Spać nie!

- Kochanie, przykro mi, ale powinnaś.

- Niiieeee!

I walka rozgorzała na nowo.

Allison miała nadzieję, że jeśli pozwoli się małej wykrzyzczeć, to jeszcze przed zaśnięciem Laurel rozładuje złość i rozczarowanie. Ale

dziewczynka nie zamierzała łatwo się poddać. Tym razem zdawała się bić rekordy. Allison już zapomniała, jakie natężenie może osiągnąć wściekłość małego dziecka i jak długo może trwać. Laurel przenikliwie wrzeszczała jej prosto do ucha, aż wreszcie Allison zaczęła się obawiać, że ogłuchnie. Pomyślała też, że mogą popękać szyby! I ta druga obawa w pewnym sensie się potwierdziła.

Ponieważ wróciła do domu nieco poirytowana sprawą samochodu i obojętnym zachowaniem Matta, zapomniała zamknąć drzwi wejściowe. Teraz, idąc do sypialni z wrywającym się dzieckiem na rękach, zauważyła, że na progu stoją ludzie - chyba pięć osób.

Przystanąła, zaskoczona tym najściem. Jeszcze bardziej zaskoczyło ją, gdy snop jaskrawego światła uderzył ją prosto w oczy.

- Widzicie? - rozległ się przenikliwy kobiecy głos. - Tak jak mówiliśmy?! Dla mnie to jest klasyczne znęcanie się nad dzieckiem. Sadystyczne znęcanie się nad dzieckiem! Sfilmujcie to i nagrajcie. Wszystko. Musicie mieć dowód na taśmie, żeby można było aresztować tę kobietę i zabrać to słodkie, niewinne maleństwo w bezpieczne miejsce!

Allison znieruchomiała, zdezorientowana oślepiającym światłem. Laurel przestała krzyczeć. Objęła Allison za szyję i mocno się do niej przytuliła.

- Mama - zakwiliła. - Taaataaa!

Allison przytuliła ją z całych sił i pogłaskała po włosach.

- Co wy tu robicie? - zawołała zdenerwowana do grupki przy drzwiach. - Idźcie sobie, proszę. Straszycie dziecko.

- Maaamaaa - zapłakała Laurel, chowając twarz w bluzkę Allison.

Ale nieproszeni goście nie odchodzili. Przeciwnie, jedna z kobiet wtargnęła do środka i zawołała:

- Jaka tam mama! To nie jest twoja mama, cukiereczku. Ja będę twoją mamą! - Spojrzała na Allison ze złością. - Ona jest moja, ty suko! - krzyknęła, wyciągając ręce w stronę płaczącej dziewczynki. - Daj mi to i dziecko! Chcę ją zabrać, zanim jeszcze bardziej ją skrzywdzisz.

Allison stała bez ruchu, nie wiedząc, co począć. Instynkt podpowiadał jej, żeby natychmiast się wycofać, zapewnić Laurel bezpieczeństwo i uciec przed tak jawną agresją. Mimo to nie cofnęła się ani o krok.

- Wynoście się stąd - powiedziała, zaskoczona swoim spokojnym głosem. -I to natychmiast.

Zaczynała drżeć z wściekłości i oburzenia.

Kobieta była niska, ale przysadzista, i sprawiała wrażenie silnej. Miała czarne, krótko ostrzyżone włosy, jej twarz była purpurowa ze złości, oczy płonęły nienawiścią. Allison mgliście sobie tę twarz przypominała, nie mogła jednak dociec skąd.

Nieznajoma rzuciła się naprzód i wyciągnęła rękę po Laurel.

- Nie wyjdę bez dziecka!

Laurel głośno krzyknęła, Allison cofnęła się i kopnęła kobietę w otłuszczone kolano. Ta upadła, wyjąc z bólu.

Do holu weszła następna postać, tym razem mężczyzna.

- Ej, ty! - zawołał, grożąc jej palcem. - To przemoc! Moja żona nic ci nie zrobiła!

- Ona wtargnęła do mojego domu! - zawołała Allison. - Tak samo jak pan. Wynoście się stąd!

Łzy popłynęły jej po policzkach, bardziej ze złości niż ze strachu. Ale i strach zrobił swoje. Kobieta leżąca na podłodze usiłowała teraz chwycić nóżkę Laurel. Dziewczynka darła się wniebogłosy, śmiertelnie przerażona. I nagle Allison przypomniała sobie, gdzie widziała tę parę. To oni przyglądali się, jak jadła kolację w chińskiej restauracji z M.J.

Szpiegowali ją! Co za koszmar. Czowała, że ogarnia ją panika.

Niespodziewanie do holu wpadła Fred. Zaszczekała i warcząc obnażyła zęby. Dzięki temu Allison odzyskała poczucie bezpieczeństwa. Tylko ktoś zupełnie nie znający się na psach mógłby uwierzyć, że Fred jest naprawdę groźna.

Zachowanie psa wywarło jednak pożądaný skutek. Intruzi zaczęli się wycofywać, krzycząc coś o wściekłym psie. Allison oparła Laurel o biodro i wolną ręką podniosła pudliczkę z podłogi.

- Wynoście się z mojego domu! - zawołała. Fred, ujadając zawzięcie, dodała mocy temu żądaniu.

Allison czekała w napięciu. Początkowo sądziła, że intruzi stawią opór. Kobieta podniosła się na nogi i stała teraz lekko pochylona do przodu, jakby zamierzała jeszcze raz spróbować odebrać Allison dziecko. Mężczyzna miał dłonie zaciśnięte w pięści. Nagle jednak padające z ganku światło zgasło i rozległ się spokojny, męski głos. Allison odetchnęła z ulgą. To był Matt! Nie widziała go, ale to na pewno on.

- Moim zdaniem powinniście państwo posłuchać prośby tej pani - powiedział. - Bo jeśli nie, to będę musiał państwa siłą usunąć z jej domu. A nie gwarantuję delikatności.

- Matt! - zawołała Allison. - Oni mnie szpiegują. Ona próbowała skrzywdzić Laurel! Chcą ją porwać!

- Kłamiesz, ty suko! Nie...

Kobieta urwała, gdy z ganku dobiegł ją krzyk, a potem metaliczny łoskot i dźwięk tłuczonego szkła. To inna para protestowała przeciwko rozbiciu kamery.

- Przecież prosiłem państwa o opuszczenie domu - ciągnął Matt.
- Bardzo mi przykro, że potknęli się państwo na stopniu. Trzeba uważać!

Zachrząściło rozbite szkło, zadźwięczał metal.

Para będąca jeszcze w holu wydała się nagle bardzo zaniepokojona. Fred, bezpieczna na rękach Allison, wciąż ujadła i warczała.

- Lepiej idźcie stąd jak najszybciej - powtórzyła Allison. - Wszystko jedno, kim jesteście. Nie sądzę, żeby ten pan się z wami cackał.

Matt wszedł do środka i stanął oparty o framugę.

- Na ganku spotkałem parę dziennikarskich sępów - powiedział. - Mieli pecha i stłukli kamerę, ale już sobie poszli. A te ptaszki to są Turnerowie. - Mówił takim tonem, jakby nic się nie stało. - Joan i Frank Turnerowie. Kuzynka męża mojej siostry ze swoim mężem. Przyszli tu, żeby zakwestionować moje prawa do opieki nad Laurel. - Wykrzywił pogardliwie usta.

Nikt nie powiedział ani słowa. Powietrze wydawało się ciężkie od napięcia. Laurel zamilkła, przytulona do Allison. Nawet Fred ucichła.

Matt przyjrzał się Turnerom z miną biologa oglądającego preparat, po czym przeniósł wzrok z powrotem na Allison.

- Czy nie wydaje ci się, że to znakomici kandydaci na rodziców Laurel? - spytał łagodnym tonem. Jedyne oczy zdradzały, że jest wściekły. - Miranda mnie ostrzegła, że mogą wpaść tu z wizytą, więc przerwaliśmy spotkanie, żebym mógł zajrzeć do domu i sprawdzić, co słychać. Cieszę się, że zajrzałem.

Allison przestraszyła się, bo zrozumiała, że Matt za chwilę wybuchnie. Co się stanie, jeśli straci panowanie nad sobą właśnie w tej chwili?

Turnerowie wydawali się nieświadomi zagrożenia.

- Nie może jej pan zatrzymać - powiedziała kobieta znacznie spokojniej niż przedtem. - Prawo jest po naszej stronie.

- Dziwię się, że to pani coś takiego mówi. - Matt zmierzył ją zimnym spojrzeniem. - My też uważamy, że prawo jest po naszej stronie. Dopóki sąd nie wyda odmiennego postanowienia, Laurel jest nasza... moja. - Wskazał im gestem drzwi. - Ponadto pogwałcili państwo prawo, dokonując wtargnięcia do domu pani Ford. Proszę wyjść, bo wezwę policję.

- Nie ośmieli się pan... - zaczęła kobieta.

Jej czarne oczy błyszczały nienawiścią. Podniosła do góry ręce i rozczapierzyła palce. Wyglądała tak, jakby chciała się rzucić na nich oboje.

Allison nie czekała na dalszy rozwój wydarzeń. Trzymając na rękach dziecko i psa, podeszła do aparatu telefonicznego i wykręciła numer 911.

- Należą ci się brawa za szybkie myślenie, kuzynko - powiedział M.J. w kilka godzin później. - Niemniej jednak zdaje mi się, że odrobinę przesadziłaś. Czy straż pożarna i pogotowie też były potrzebne?

- Wcale nie przesadziłam!

Allison odstawiła na stół szklanekę z mrożoną herbatą. Razem z M.J. i Mattem siedzieli w jej kuchni, omawiając wydarzenia dnia i rozważając ewentualne następstwa. Jeden z problemów polegał na tym, że w odpowiedzi na jej telefon zgłosiły się wszystkie służby

alarmowe w mieście. W ten sposób Allison niepotrzebnie ściągnęła uwagę na swój dom.

- Matt właśnie stłukł kamerę i spuścił dziennikarzy ze schodów - powiedziała - a ta amazonka aż się prosiła o guza. Jestem pewna, M.J., że ci sami ludzie podsłuchiwali naszą rozmowę w chińskiej restauracji. Oni to dawno zaplanowali, mówię ci. Matt już szykował się do walki. Nie chciałam sprawdzać, kto zaatakuje pierwszy. Uznałam, że wycie syren zwróci ich uwagę. I nie pomyliłam się.

Przerwała, żeby zaczerpnąć powietrza, uśmiechając się do swoich myśli. Turnerowie uciekli jak dwa wielkie owady, gdy tylko zjawily się policja i straż pożarna.

- Nie zrobiłbym krzywdy ani tej babie, ani jej mężowi - powiedział Matt. - Chciałem tylko mieć pewność, że szybko się wyniosą, zanim narobią więcej szkód.

W odróżnieniu od Allison, której usta się nie zamykały, Matt milczał prawie bez przerwy, odkąd w domu zapanował spokój. Przypominał wulkan przed wybuchem. Powietrze wokół niego wydawało się naelektryzowane złą energią.

- Nie miałem zamiaru narobić sobie kłopotów -dodał.

- Mam nadzieję - odrzekł M.J. - Wierzę w twój rozsądek. Inaczej tamta kobieta mogłaby znaleźć pretekst, żeby złożyć na ciebie doniesienie. Ona tylko czeka na okazję. - Zamknął oczy i otarł twarz. - I tak musiałem dopieścić tych pismaków, żeby nie wnieśli skargi.

- Oni weszli do mojego domu - zwróciła uwagę Allison, broniąc Matta. Robiła to od kilku godzin. Najpierw osłaniała go przed policją, teraz przed kuzynem. - Naruszyli moją prywatność.

M.J. skinął głową.

- To prawda. Dlatego nie wniosą skargi o zniszczenie sprzętu. -
Zwrócił się do Matta. - Swoją drogą ciekawi mnie, coś ty zrobił z tą kamerą. Rozjechałeś ją ciężarówką?

Matt wzruszył ramionami. Laurel, śpiąca na jego kolanach, drgnęła.

- Raz czy dwa nadepnałem na nią. Czasem w złości trochę się zapominam.

M.J. ponownie skinął głową.

- Nie rób tego więcej, dobrze?

- Zrozumiałem. - Matt pogłaskał Laurel po głowie i przytulił policzek do jej włosów. - Zrozumiałem - powtórzył tak cicho, że Allison ledwie go usłyszała.

M.J. zaś usłyszał jego ton i odgadł, o czym Matt myśli.

- Ja nie żartuję, Matt - powiedział. - Jeśli zrobisz cokolwiek, co można nazwać przemocą, pożegnaj się z wygraną sprawą. Nie dostaniesz Laurel, rozumiesz? To nie jest dżungla, gdzie możesz robić, co ci się podoba. W oczach prawa człowiek, który rozwiązuje problemy przemocą, nie nadaje się na ojca.

- Jak możesz mówić mu takie rzeczy, skoro to tamci zaczęli? - spytała Allison, nadal broniąc Matta. Uratował ją jednak z opresji, choć stłuczenie kamery było pewną przesadą. Matt nie powiedział ani słowa.

M.J. popatrzył na niego ze spokojem.

- Na ten temat jest ich słowo przeciwko waszemu, bo taśma w kamerze została zniszczona. Złość zadziałała na waszą szkodę; Matt

usunął jedyny dowód agresywnego zachowania Joan Turner.

Wprawdzie świadkami wejścia do holu byli dziennikarze, ale są to wrogo nastawieni świadkowie. Mają pretensje, że ich wyrzucono, a do tego rozbito sprzęt. Nie oczekiwałbym od nich poparcia.

Matt wstał.

- Idę położyć Laurel do łóżka - powiedział. -Masz rację, M.J., niepotrzebnie się tak zachowałem. Przepraszam. Działalem pod wpływem impulsu. Więcej tego nie zrobię.

- Nie wydaje mi się, żebyś musiał przeproszać za swoje zachowanie - powiedziała Allison, piorunując wzrokiem M.J. - Teraz możemy siedzieć i debatować, ale wtedy trzeba było szybko coś zrobić.

Matt pogłaskał dziecko śpiące mu na rękach.

- Tak, ale to ty zadzwoniłaś pod 911 - powiedział, przyglądając jej się badawczo. - Chciałaś zapobiec awanturze, bo wiedziałaś, jakie byłyby konsekwencje, a ja się awanturowałem.

- Nie, Matt - zaprotestowała.

On jej jednak nie słuchał i wyszedł z kuchni. Allison oparła się pokusie, by pójść za nim i dokończyć rozmowę.

- Z czym musimy się teraz uporać? - zwróciła się do M.J. - Każdy rozsądnie myślący człowiek powinien rozumieć, że Joan Turner nie ma piątej klepki. Niewykluczone, że jej mąż również, ale tym razem prawie nie miał okazji się odezwać.

M.J. wydawał się szczerze zatroskany.

- Przyszli do ciebie nabuzowani. Nie panowali nad sobą, tak samo jak Matt. Moim zdaniem jednak fakt, że przyszli tu z

dziennikarzami, dobrze świadczy o ich sprycie. Dziennikarze mieli się przyglądać i czekać, czy nie wydarzy się jakiś incydent. Wcale bym się nie zdziwił, gdyby podczas przesłuchania w sądzie Turnerowie wykręcili kota ogonem. Jeśli nie pozwolą się ponieść emocjom, mogą wyrzucić na sędzim lepsze wrażenie niż Matt.

- A ja? - spytała, zanim pomyślała, co mówi.

- Jak to ty, Allie? - M.J. oparł łokcie na stole. - Zdecyduj się: bierzesz w tym udział czy jesteś widzmem?

Wbiła wzrok w blat stołu, czując, że nie może spojrzeć kuzynowi w oczy.

- Dobre pytanie - przyznała w końcu. - Myślałam, że już wiem, co robić, ale ten incydent mną wstrząsnął. Muszę się nad tym zastanowić.

M.J. skinął głową.

- Zachęcam cię do tego bardzo gorąco.

Wiedziała, że w tej chwili mówi do niej adwokat, a nie kuzyn. Nie tylko mówi, lecz przede wszystkim ją ostrzega.

Matt siedział na łóżku w niemal absolutnej ciemności i przyglądał się Laurel. Pomyślał, że popołudniowe wydarzenia mogły poruszyć ją znacznie głębiej, niż im się zdawało. Dlatego, choć od czasu zamieszkania u Allison mała ani razu nie zbudziła się z powodu koszmaru, tej nocy Matt postanowił nie ryzykować i czuwać przy małej. Chciał być tuż obok, gdyby nagle się obudziła. Tyle przynajmniej mógł dla niej zrobić.

Miał również inny powód. Potrzebował samotności, żeby spokojnie pomyśleć. Oparł się wygodnie o wezglowie łóżka i zamknął oczy.

Ciemność przypomniała mu noc, gdy pierwszy raz w życiu wpadł w poważne tarapaty. Mogło się to źle skończyć nie tylko dla niego, lecz również dla jedynej osoby, którą wówczas darzył miłością, czyli dla jego ojca.

To było głupie, co zrobił, bezmyślne. Zachował się jak donkiszot. Byli wtedy na Bliskim Wschodzie. Nie jest to miejsce, gdzie szybko wkracza nowoczesność, zwłaszcza w sferze obyczajów. Miał wtedy dziesięć lat, zbliżał się do jedenastu, i nie wiedział jeszcze, do czego są dziewczyny. Zainteresował się jednak platonicznie, po przyjacielsku taką, która twierdziła, że ma czternaście lat. Zaczęli się potajemnie spotykać, szeptali do siebie przez szparę w murze, który dzielił dom dziewczyny od willi wynajętej przez jego ojca. Matt uśmiechnął się na wspomnienie dotyku suchej, nierównej powierzchni muru i zapachu kwitnących dookoła kwiatów.

Któregoś wieczoru dziewczyna poprosiła go o pomoc w ucieczce z domu. Powiedziała, że ojciec chce ją wydać za mąż za starego, obcego jej człowieka, a on, Matt, uwierzył w to i spełnił jej prośbę.

Omiał go nie złapano na gorącym uczynku. Kiedy wpadł do domu ścigany przez policję, ojciec przyjął wiadomość ze zwykłą dla siebie energią. Spakował ich niewielki dobytek i uciekł wraz z występny synem w ciemną noc.

Nie próbuj niczego wyjaśniać, powiedział wtedy. Nie mów, że dziewczyna cię okłamała. A ona wykorzystywała go, by chodzić na schadzki z prawdziwym kochankiem, z którym następnie uciekła, zostawiając naiwnego chłopca w charakterze kozła ofiarnego. Najlepszym zaś wyjściem, gdy nie ma się przewagi liczebnej lub gdy przeciwnik trzyma z glinami, jest ucieczka. Tak twierdził ojciec.

- Tato - szepnął Matt - prawie miałeś rację.

Na tyle, że do tej pory przyznawał mu słuszność.

Laurel jęknęła przez sen, lecz się nie poruszył.

Ojciec był tchórzem, pomyślał nagle.

Aż usiadł, bo to odkrycie nim wstrząsnęło. Jego ojciec, wielki, nieustraszony Robert Glass, podróżnik jakich mało, był tchórzem.

Nie to, że fizycznie bał się bólu, ale był tchórzem w sensie moralnym. Nie potrafił wziąć na siebie odpowiedzialności i nauczył Matta tego samego. Kiedy są kłopoty, należy uciekać. Ucieczka jest sposobem na rozwiązanie problemów.

Oblał go zimny pot i spojrzał na Laurel, która spokojnie spała pod kocem córki Allison. Gdyby Allison nie miała odwagi, by stawić mu czoło, teraz też by uciekał. Tak samo jak jego ojciec. Nawet teraz, gdy już zdawał sobie z tego sprawę, pokusa wciąż była silna.

Uciec. Ukryć się. Uniknąć niebezpieczeństwa... Przeczekać burzę.

Znów oparł się o wezgłowie i pomyślał o starym Kellym McCleanie i burzy, jaką przeczekał pod jego dachem. Ukrył się. Przeczekał. Inni ludzie też to robili. Nie tylko jego ojciec. Czy zaginiony mąż Allison próbował tego samego? Czy mu się udało? A

może szczęście go zawiodło? Mattowi przypomniały się słowa McCleana, które usłyszał w piwnicy.

Paul Ford leczył wielkie figury.

Hmm.

Allison położyła się tego wieczoru późno. Gdy zajrzała chwilę wcześniej do pokoju Laurel, dziewczynka spokojnie spała, podobnie jak jej wuj. Leżał skulony na pościeli, w ubraniu, i wyciągniętą dłonią trzymał pręt dziecięcego łóżeczka, jakby chciał się upewnić, że dziecku nic nie grozi. Allison cicho zamknęła drzwi i poszła do siebie w asyście Fred. Pudliczka wydawała się niezbyt szczęśliwa z powrotu na łóżko pani, ale po zgaszeniu światła pogodziła się ze swym losem i szybko zasnęła.

Za to Allison nie mogła zasnąć. Przewracała się z boku na bok i przez cały czas myślała o Matcie i Laurel, usiłując rozwiązać dylemat, przed którym teraz stała.

M.J. delikatnie i taktownie dał im do zrozumienia, żeby albo się pobrali, albo zamieszkali osobno. Naturalnie mogliby się spotykać, byle razem nie mieszkali.

Co by się jednak stało, gdyby Turnerowie wtargnęli do domu Matta w czasie, gdy dzieckiem opiekuje się Debbie? Czy opiekunka czułaby się dostatecznie zadowolona i silna, by odeprzeć ich atak? Nie. Od osoby z zewnątrz nie można tego wymagać.

M.J. omal zresztą nie powiedział wprost, że i ona, Allison, jest dla Matta osobą z zewnątrz. Formalnie nic ją z nim nie wiąże. Czy rzeczywiście tak jest? I czy powinno tak być?

Przewróciła się na plecy i utkwiała wzrok w suficie. Jedynym sposobem, by zyskać prawo uczestniczenia w kłopotach Matta, jest zwiążanie się z nim na stałe.

Wziąć z nim ślub.

Poczuła ból żołądka. Znowu nerwica. Podciągnęła nakrycie pod brodę, przy okazji poruszając śpiącą pudliczkę. Fred westchnęła i zmieniła pozycję.

Zostać mężatką. Drugi raz. Niewyobrażalne. Nie mogła się na to zdobyć. Bez względu na swe uczucia do Laurel i Matta nie była w stanie.

Na tym właśnie polega problem. Nie może do końca życia borykać się z paralizującą niepewnością. Nie wolno jej wychodzić za mąż, nie mając z wiarygodnego źródła wiadomości, że Paul nie żyje. Po policzkach popłynęły jej łzy. Po chwili zasnęła, dręczyły ją jednak niespokojne sny.

Nad ranem zbudził ją dziwny, cichy odgłos. Za oknem było jeszcze ciemno. Usiadła i zaczęła nasłuchiwać. Fred drgnęła i szczeknęła, wskazując, że coś się dzieje, ale nie jest to groźne. Gdy Allison wstała i włożyła szlafrok, suka postawiła uszy i zamerdęła ogonem.

- Co jest, Fred? - spytała Allison. - Chciałabym mieć tak wyostrzone zmysły jak ty.

Wyszła na korytarz, a pudliczka, wciąż machając ogonem, ruszyła za nią.

Hałas rozległ się znowu. Tym razem Allison zrozumiała, skąd pochodzi. To Matt. Coś jakby mówił lub pojękiwał... Otworzyła drzwi pokoju Sally.

Matt siedział na łóżku z twarzą ukrytą w dłoniach, Laurel nadal spokojnie spała. Pokój był pogrążony w półmroku, bo przez okno wnikało światło księżyca. Żaluzje nie były spuszczone. Matt podniósł głowę i zobaczył Allison.

- Miałem zły sen - szepnął. - Taki sam jak zawsze. Nie ma się czym przejmować. Idź spać.

Wydawał się spięty i zmęczony.

- Dobrze. - Weszła do pokoju i spuściła żaluzje, tak że zrobiło się prawie ciemno. Podeszła do szafy i wyciągnęła stamtąd bawełnianą kołdrę. Owinęła się nią i położyła na łóżku Matta. Fred wskoczyła na łóżko i natychmiast zaczęła się mościć na kołdrze. Westchnęła z zadowoleniem i zamknęła oczy. Allison również westchnęła, uśmiechnęła się do Matta i wskazała na drugą poduszkę.

Matt przyglądał się przez chwilę kobiecie z psem. Potem bez słowa wsunął się pod kołdrę, objął Allie i położył głowę na poduszce obok. Allison dostrzegła łzy w kącikach jego zamkniętych oczu i ogarnęło ją wzruszenie.

Wkrótce oboje zasnęli i do rana panował w domu spokój.

A potem znowu się wszystko zaczęło. Allison czytała gazetę, popijając kawę, i relacjonowała Mattowi najważniejsze wydarzenia, a Matt karmił Laurel. Mała ćwiczyła tego dnia rzucanie jedzeniem.

Epizod z Turnerami trafił na pierwsze miejsce w kronice policyjnej.

- Według tego, co tu piszą - powiedziała Allison -w moim domu doszło wczoraj do przemocy. - Popatrzyła na Matta. - Skąd im to przyszło do głowy?

Wzruszył ramionami.

- Sama zadzwoniłaś pod 911, prawda? Musieli zapisać, jaki był powód wezwania.

- Tak, ale to nie była przemoc. Z tego można wnioskować, że z kimś walczyłam. - Rzuciła gazetę na stół. - Kłamią.

Matt chwycił kawałek gruszki, zanim ten upadł na podłogę. Fred podbiegła i usiadła bliżej stołu. Wydawała się rozczarowana, że straciła okazję do pochwylenia smacznego kąska.

- Prawem prasy jest publikować taką prawdę, jaką widzą dziennikarze - powiedział Matt. - O tym wiesz. Poza tym jesteś osobą publiczną, przecież kandydujesz do parlamentu. To utrudnia albo i uniemożliwia wytoczenie procesu o zniesławienie, nie mówiąc już o tym, że byłaby to skrajna głupota. Czy wydawca gazety ma jakieś polityczne kontakty?

- O, tak! - Allison uderzyła pięścią w gazetę. -Nie tak dawno popierał Ritę.

- Cóż. - Matt wziął ręcznik i starł z buzi Laurel płatki pszenne. - Musimy udowodnić, że ta gazeta to brukowiec. Publikuje się tam same sensacyjki, przewidywania wyborcze są kompletnie bezpodstawne i księżycowe.

- Matt...

- Nie kłóć się dziś ze mną. Jeszcze jestem w nastroju do walki. W nocy śniły mi się koszmary, więc się nie wyspałem. Chcę

skierować agresję na jakiś użyteczny cel, na przykład wspomóc twoją kampanię.

- Moja kampania nie jest ważna...

- Dla mnie tak. - Cisnął brudny ręcznik do zlewu i schylił się, żeby pomóc małej zejść z wysokiego krzesła. - Chcę, żebyś urzeczywistniła swoje ambicje i marzenia.

- Ale, Matt, ty... - Nie była w stanie dokończyć.

- Co ja? - Odwrócił się i spojrzał na nią. - Ja ci przeszkadzam, prawda? Jeśli będę z tobą mieszkał, prasa cię zniszczy. Jeśli zostanę...

Wstała i podeszła do zlewu. Okno nad zlewem wychodziło na podwórze, dalej ciągnęła się preria. Wysoka trawa jeszcze była jasnozielona, ale zaczynała już blednąć, nabierać złocistego odcienia lata.

- Jeśli odejdziesz, to kto będzie z tobą spał, gdy zbudzi cię koszmar? - spytała, odwróciła się i popatrzyła mu w oczy. - Albo kto będzie pilnował Laurel, gdy wyjdiesz z domu?

Matt wytrzeszczył na nią oczy i postawił Laurel na ziemi. Dziewczynka chwiejnym krokiem podążyła za Fred.

- Co mi chcesz powiedzieć, Allie? - spytał.

- Nie wiem - odparła, nerwowo krzyżując ręce na piersi. - Wiem tylko, że nie chcę, żebyś się wyprowadził.

- Nie mam wyboru. Muszę się liczyć z tym, co jest najlepsze dla ciebie.

Pokręciła głową.

- Sama nie jestem pewna, czy jeszcze wiem, co jest dla mnie najlepsze. - W jej oczach zalśniły łzy. Tym razem nie starała się ich powstrzymać. - Matt, nie znam cię jeszcze nawet dwa miesiące, ale...

- Allie, wyjdiesz za mnie?

Pochyliła się nad zlewem. Łzy płynęły coraz szerszym strumieniem.

- Nie mogę. Nigdy nie będę wolna. - Uderzyła dłonią w kuchenny blat. - Nie mogę, rozumiesz? Nie mogę!

- Ależ jesteś wolna - zaprotestował. - Po prostu znalazłaś sobie wymówkę. - Przysunął się do niej, lecz jej nie dotknął. - Musisz zerwać z przeszłością, Allie! To już skończone.

- Chciałabym, ale...

Cofnął się o krok.

- Ale masz dzięki temu wspaniały pretekst, co?

Wytarła oczy.

- To nie pretekst, Matt. Nie nalegaj.

- Czemu? - Założył ręce na piersi i zmarszczył czoło. - Chcesz wiedzieć, jaki sen wymęczył mnie dziś w nocy?

- Ja... To twoja...

- Nie. Posłuchaj. To był sen o samotności i zagubieniu.

Straciłem ciebie, straciłem Laurel i wszystko, co było dla mnie cenne w życiu.

Allison zaczęła odzyskiwać panowanie nad sobą.

- To nieuczciwe mówić mi coś takiego, Matt - stwierdziła. - Prosisz, żebym zapomniała o przeszłości, a dla siebie zarezerwowałeś przyszłość. Nie sądzę, żebyś wytrzymał tutaj do końca życia, a tego

wymagam od mężczyzny, z którym chciałabym wziąć ślub. Muszę wierzyć w jego przysięgę.

Odchylił głowę do tyłu, jakby wymierzyła mu policzek.

- Nie zwalaj wszystkiego na mnie. Jestem gotów do kompromisu. A ty?

- Jaki to ma być kompromis? Jak możesz mi obiecać, że nie odejdziesz któregoś dnia tak samo jak Paul?

- Przestań, Allie!

- Co mam przestać? - Nie rozumiała, skąd się w niej wzięła taka wściekłość, i nie potrafiła powstrzymać słów, cisnących jej się na usta. - Przestać mówić, co naprawdę myślę? Och, przepraszam. Zapomniałam na chwilę, że...

- Mama? - Laurel weszła do kuchni, Fred zjawiła się tam zaraz za nią. Dziewczynka wydawała się przestraszona. - Mama płacze? - Popatrzyła na nich oboje. -Tata?

To pytanie i żalony wyraz twarzy małej podziałały na Allison jak kubeł zimnej wody. Jak mogła prowadzić taką rozmowę z Mattem, wiedząc, że Laurel może ją usłyszeć? Tego nie wolno robić!

Przyklękła na jedno kolano.

- Już w porządku, kochanie. Mama nie płacze. -Wyciągnęła do Laurel ramiona. Mała zachichotała i podbiegła do niej. Allison objęła dziewczynkę i popatrzyła na Matta. -I co my zrobimy? - spytała. - Tu nie chodzi tylko o ciebie i o mnie. - Pogłaskała dziecko po głowie. - Stanowczo nie.

- Masz rację. - Zgarbił się. - Gdyby chodziło tylko o nas, moglibyśmy poczekać i zobaczyć, ale... -Otarł twarz dłonią. - Cholera, nie wiem, co powinniśmy zrobić. Zupełnie nie...

Przeszywający pisk opon przerwał im rozmowę. Allison wyprostowała się, wciąż trzymając Laurel.

Fred znieruchomiała na chwilę, postawiła uszy i najeżona zbliżyła się do Matta. Kocice nagle wylazły ze swoich kryjówek i podbiegły do Allison z postawionymi ogonami.

- Co to jest? Kto?... - spytała Allison.

Matt pokręcił głową.

- Nie... - Umilkł i zaczął nasłuchiwać. Położył dłoń na ramieniu Allison. - Uwaga! - krzyknął i pchnął ją wraz z Laurel na podłogę. Światem wstrząsnęła seria ogłuszających eksplozji.

Po każdym wybuchu słyszała brzęk szkła i trzask łamiącego się drewna. Trwało to i trwało. Wreszcie znów złowrogo zapiszczały opony.

Allison leżała przytulona do podłogi, sparaliżowana strachem. Z trudem oddychała i czuła, że słabnie. Gdzieś z daleka dobiegł ją płacz Laurel, wycie Fred i wrzaski kotów, wszystko naraz. Jest im potrzebna! Próbowwała otrząsnąć się z letargu.

- Allie! Słyszysz mnie? - Dłonie Matta wyciągnęły ją z ciemności. - Allie? Powiedz coś! Proszę!

Zamrugnęła powiekami, żeby odzyskać ostrość widzenia. Wreszcie mogła oddychać. Dookoła unosiła się chmura dymu i pyłu. W ścianie oddzielającej kuchnię od salonu widniała dziura, która wyglądała tak, jakby jakaś gigantyczna pięść wybiła ją przez tynk i izolację cieplną. Przewód elektryczny, wystający z rumowiska, iskrzył, pobzykiwał i kopał.

- Co się stało? - spytała zadziwionym tonem. - Bomba?

Matt wpatrywał się w nią przez chwilę, jakby chciał się upewnić, czy rzeczywiście jest zdrowa i cała, a potem wstał, trzymając Laurel na rękach.

- Nie, ale prawie. Zdaje się, że nas ostrzelano. Wstań i sprawdź, czy działa telefon. Jeśli tak, to dzwoń po gliny. Tym razem naprawdę ich potrzebujemy.

- Ale kto...?

Drżąc, wstała z podłogi. Bała się, że nie ustoi na nogach. Potoczyła wzrokiem po swojej domowej menażerii. Wszystkie zwierzęta były śmiertelnie przerażone, ale nic im się nie stało. Fred dosłownie wskoczyła jej na ręce.

- Kto to zrobił? - powtórzyła. - Chcieli nas zabić! Czy oni jeszcze tam są?

- Nie. - Matt zmrużył oczy, bo w powietrzu unosiło się mnóstwo pyłu. - Uciekli, jak tylko opróżnili magazynek. Po ostatnim strzale słyszałem pisk opon. - Spojrzał na Laurel, potem na Allison, a w końcu na zwierzęta. - Wiesz, zmieniłem zdanie. Daj spokój glinom. - Pochylił się i chwycił dwie kocice. Trzymał je pewnie, mimo iż próbowały się wyrwać. Laurel w milczeniu przyglądała się zwierzętom, ale nie próbowała ich dotknąć. - Wynośmy się stąd, i to szybko.

- Ale...

- Posłuchaj mnie, Allie. Raz zrób jak mówię, bez żadnego „ale”. Wsiadaj do samochodu. Pojedziemy do mnie.

- Matt, czy jesteś pewien, że tak trzeba?

Nieco przesunęła Fred i wzięła na ręce ostatnią kocicę. Tom prychnęła, ale poddała się woli swej pani.

- Jestem pewien. - Popchnął ją ku drzwiom prowadzącym z kuchni do garażu. - Napadł nas ktoś, kogo nie obchodzi, ile osób zrani. Zawodowiec, któremu zapłacili za wykonanie zadania. Ja też jestem zawodowcem. Z tym umiem sobie radzić.

Zaniepokoił ją, ale była zbyt wstrząśnięta atakiem, by protestować.

Nieliczni sąsiedzi, którzy jeszcze byli w domach o tej porze dnia, wbiegli na podwórko, gdy Matt wyprowadzał samochód z garażu. Zarzucili ich gradem pytań, Matt jednak łatwo zapanował nad sytuacją. Poprosił wszystkich, żeby wrócili do domu i zawiadomili o tym wydarzeniu policję. Emerytowaną nauczycielkę, która mieszkała najbliżej Allison, poinformował, że jadą do domu Essexów i tam można się z nimi kontaktować. Gdyby policja lub ktokolwiek inny chciał im złożyć wizytę, niech lepiej uprzedzi o tym telefonicznie. Nauczycielka skinęła głową.

Wkrótce znaleźli się na drodze wiodącej w stronę gór. Przed odjazdem Allison zdążyła jeszcze zerknąć na zniszczony front swojego domu i aż krzyknęła z przerażenia. Pociski rozbiły wielkie okno w salonie i pozostawiły głębokie dziury w ścianie. Szyby w pokoju Sally również były stłuczone. Gdyby Laurel akurat tam się bawiła... Gdyby bliźnięta były w domu...

Przez cały czas jazdy do domu Essexów Allison płakała. Czuła się słaba i rozbita. Jeszcze nigdy tak się nie przerażyła, nawet w dniu, gdy w końcu stwierdziła, że Paul nie wróci. Czym sobie zasłużyła na takie przeżycia? Najpierw anonimowe telefony, potem najście domu, a teraz akt prawdziwej przemocy. Ten koszmar zdaje się nie mieć końca!

Uświadomiła sobie, że jest w szoku. Pozwoliła Mattowi zaprowadzić się do domu Essexów wraz ze zwierzętami i Laurel, i zostawiła inicjatywę w jego rękach. Kocice i suka zdawały się tak

samo oszołomione jak ona. Wystarczyło im, że mogą się do niej przytulić, gdy usiadła z Laurel na kanapie w wielkim salonie i nie widzącym wzrokiem patrzyła na piękny, górski pejzaż za oknem.

Po chwili zauważyła, że suka i kocice pierwszy raz w swym zwierzęcym życiu nie biorą się za łby o byle co. Uśmiechnęła się słabo.

Usłyszała, że Matt rozmawia przez telefon. Widocznie wzywał policję. Zamknęła oczy, a Laurel przytuliła się do niej mocniej, jednocześnie ssąc palec. Koty monotonicznie mruczały, choć były to raczej pomruki zaniepokojenia niż zadowolenia. Fred ciężko dyszała. Allison zaczęła się przysłuchiwać, jak Matt radzi sobie z sytuacją...

- Guzik mnie obchodzi, człowieku, ile to będzie kosztowało - mówił. - Macie tu być w komplecie. Ze spluwami.

Allison wytrzeszczyła oczy. Spluwy? To znaczy broń. Jaka broń?

- Chcę mieć wyszkolonych ludzi, Chico - ciągnął Matt. - Takich, którzy nie boją się kłopotów. Tutaj nikogo nie znam, więc zdaję się na ciebie. Zbierz całą paczkę z dawnych czasów. Niech to będzie splata starego długu. Wiecie, że jesteście mi to i owo winni. - Nastąpiła pauza. - Dobra.

Allison zdjęła Laurel z kolan i posadziła ją na kanapie. Dziewczynka zaprotestowała gwałtownie, ale na szczęście przytuliła się do niej Fred Allison wstała. Nogi miała jak z waty, ale jakoś pokonała trzy stopnie wiodące do jadalni, która była połączona z kuchnią. Matt nadal rozmawiał przez telefon. Siedział przy kuchennym stole i zapisywał coś w notesie.

- Co robisz? - spytała.

Spojrzał na nią. To był zupełnie inny Matt. Jego oczy lśniły bezwzględnością.

- Zajmuję się tobą, Laurel i... tym wszystkim. Odsunęła krzesło od stołu i usiadła.

- Jak?

- Allie, zostaw to mnie.

- Jak? - Położyła dłoń na blacie. - Jak zamierzasz się zająć tym wszystkim? I jak zamierzasz się zająć mną?

- Zapewnię ci ochronę.

Nie zdążyła odpowiedzieć, bo znów zadzwonił telefon. Matt podniósł słuchawkę. Jego spojrzenie stało się jeszcze twardsze. Wymamrotał coś pod nosem, a potem powiedział wyraźnie:

- Mogą być najemnicy, ale nie ludzie od mokrej roboty. Spytaj wszystkich, którzy z nami pracowali. Im ufam. Nie chcę zawodowych morderców, kapujesz?

Allison zmartwiała. Matt odłożył słuchawkę, zamieniwszy przedtem z rozmówcą kilka zdań po hiszpańsku.

- Kim ty właściwie jesteś? - spytała, bardziej przerażona teraz niż w chwili zamachu. - Ja cię wcale nie znam.

- Znasz.

- Co to za najemnicy? - Wstała i zaczęła nerwowo przechadzać się po kuchni. - Jacy zawodowi mordercy? Matt, ja cię zupełnie nie znam. Nie wyobrażam sobie...

- A jak twoim zdaniem miałem uratować tych filmowców? - spytał. - Z pomocą drużyny skautów? Nie żartuj, Allie. Spójrz

prawdzie w oczy. Jestem tym samym człowiekiem, którego znasz od dnia, gdy Laurel upaprała cię galaretką. Pamiętaj jednak, że zanim zostałem jej opiekunem, miałem inne zajęcie. Szukałem guza po całym świecie. Znam ludzi bardzo dziwnych specjalności i niektórzy z nich mają wobec mnie dług wdzięczności. Wzywam więc tutaj kilku fachowców, bo chcę cię ratować...

- Nie wykorzystuj mnie jako pretekstu, Matt! -Przestała krążyć po kuchni i wycelowwała w niego palec. - Zanim cię poznałam, nie miałam do czynienia z takimi potwornościami i przemocą, i...

- Chcesz, żebym się wyniósł? - Zmierzył ją spojrzeniem, w którym nie było krzty ciepła. - Mogę to zrobić.

- Ja... - Tom, najstarsza z kocic, wkroczyła dumnie do kuchni i usiadła, owinąwszy się puchatym ogonem. - Nie. Nie chcę, żebyś się wyniósł. Tę rozmowę już mamy za sobą. Kocham cię i na tym polega problem, bo nie bardzo już wiem, kim jest człowiek, którego kocham. Nie wiem, kim jesteś...

Matt wstał.

- Jeśli wydaje ci się, że nie wiesz, to ja nie mogę ci tego powiedzieć. Mogę ci tylko coś zademonstrować. Proszę, na razie po prostu mi zaufaj, dopóki nie poczujesz, że znowu mnie znasz.

- Nie wiem, Matt. Nie wiem, czy potrafię.

W kąciку jego ust zaigrał uśmiezek.

- Przynajmniej jesteś szczerą.

- Jestem wystraszona.

Objęła się ramionami, nie mając odwagi do niego podejść. Był teraz obcym człowiekiem. Zagadką.

- Słusznie. Ja też. Boję się pewnych rzeczy, jak każdy człowiek. Pamiętaj, że ostatniej nocy to nie ty zbudziłaś się z krzykiem z powodu koszmaru. Ty przyszłaś mnie pocieszyć. Dałaś mi poczucie bezpieczeństwa. - Wyciągnął do niej rękę. - Ja mogę zrobić dziś dla ciebie to samo, co ty dla mnie wczoraj, nawet jeśli nie popierasz moich metod. Nie odwracaj się ode mnie, Allie. Kocham cię tak samo jak ty mnie. Potrzebuję cię. I, bądźmy szczerzy, ty potrzebujesz mnie również.

Wciąż się wahała.

- Nigdy dotąd nikogo nie potrzebowałam. Zawsze wszystko robiłam po swojemu. Nie umiem się podporządkować.

- Ja jestem taki sam.

Dotknęła jego dłoni i padła mu w objęcia. Płakała, a on trzymał ją przy sobie i pocieszał. Był serdeczny i pocałunkami rozwiął jej wątpliwości. Tymczasem.

Przez cały następny tydzień układała sobie życie na nowo - najlepiej jak umiała w tych okolicznościach. Musiała zmienić harmonogram pracy i odwołać lub przełożyć większość spotkań z klientkami, na razie bowiem zwoziła do domu Essexów swoje rzeczy i przyzwyczajała się do myśli, że wróg posługuje się przeciwko niej bezwzględna przemocą.

Po przeprowadzeniu oficjalnego śledztwa policja przyznała rację Mattowi, który utrzymywał, że ataku dokonał zawodowy terrorysta albo przynajmniej miejscowy specjalista pouczony przez zawodowca. Kazano im obojgu uważać na siebie, chociaż nikt nie zalecił tak daleko posuniętych środków ostrożności, jakie zastosował Matt.

- Gliniarze nie mogą nam przydzielić ochrony na czas nieokreślony - powiedział Matt w kilka dni po zamachu. - Musimy sami zrobić z tym porządek - dodał tonem, który wskazywał, że nie odwiedzie go od tego żaden argument.

Allison nie miała zamiaru się z nim spierać. Szeryf z okręgu, w którym stał dom Essexów, obiecał im tylko, że co jakiś czas obok ich posiadłości będzie przejeżdżał patrol. Nie było to wystarczające zabezpieczenie, zważywszy na okrucieństwo, z jakim dokonano zamachu. Policja miejska nadal prowadziła śledztwo, ale zadanie wyraźnie ją przerastało.

Nikt nie widział samochodu napastników, chociaż sąsiedzi słyszeli strzały. Nie było ani dowodów, ani podejrzanych. Ktokolwiek to zrobił i ktokolwiek się za tym krył, nadal się cieszył pełną swobodą. W końcu więc Allison przystała na metody i plan Matta. Wprawdzie irytowały ją nieco, starała się jednak zachować swoje zdanie dla siebie.

Nie powiedziała ani słowa, gdy kurierzy zaczęli dostarczać do domu pokaźne, tajemnicze paczki. Nie rozmawiała z Mattem o skomplikowanym systemie alarmowym, który zainstalował w całym domu, jeśli nie liczyć żądania, by pamiętał o Fred, która musi od czasu do czasu wyjść z domu.

W tej sprawie Matt przyznał jej rację. Fred jednak wolno było wychodzić na spacer wyłącznie na smyczy, i to w towarzystwie dorosłego. Posiadłość nie była ogrodzona, więc Allison uznała pomysł za rozsądny. Fred okazała się mniej wyrozumiała, w końcu jednak zgodziła się znosić niewygodę. Trzech kocic w ogóle nie

wypuszczano na dwór, trzeba więc było bardzo uważać przy każdorazowym otwieraniu drzwi. A że kocicom nie spodobały się nowe zasady, większość czasu spędzały na szukaniu okazji do psot w nowym, nie znanym im miejscu.

Co gorsza, Laurel zaczęła objawiać wszelkie symptomy powstrząsowych stanów lękowych i skutki kolejnej zmiany otoczenia. Jeśli zdarzało się, że brakowało któregoś kota, miała natychmiast się o tym dowiadywała i tylko powiększała zamieszanie. „Tata” i „mama” podejrzewali ją o premedytację. Ponieważ zaś Matt był bardzo zajęty zamienianiem domu w elektroniczną fortecę, większa część zajęć przy Laurel spadała na Allison.

Dni były teraz bardzo wyczerpujące i kiedy nadchodził wieczór, Allison i Matt zasypiali, nawet nie myśląc o tym, by się kochać, chociaż spali razem. W tym samym pokoju spała jednak również Laurel, trzy koty i pies. Sypialnię Matt zabezpieczył ze szczególną dokładnością i co wieczór metodycznie sprawdzał, czy wszyscy jego podopieczni są w zasięgu działania instalacji alarmowej. Dopiero potem kładł się spać.

Allison podejrzewała, że alarm mogłaby spowodować nawet zabłąkana mucha. Spała jednak zdrowo i miała jako takie poczucie bezpieczeństwa, mimo świadomości, że Matt ma pod poduszką naładowany pistolet. Chociaż się nie kochali, każdego wieczoru łączyło ich coś bardzo niezwykłego, gdy wyczerpani zasypiali jedno przy drugim.

Przyzwyczajali się do siebie w warunkach dalekich od romantyzmu. Gdyby Allison miała czas o tym pomyśleć, byłaby

bardzo zadowolona. Teraz jednak nie sposób było myśleć o miłych rzeczach. Otaczało ich zbyt wiele nie wyjaśnionego zła.

W poniedziałek rano pojechali na lotnisko po przyjaciół Matta, tych, do których telefonował przed tygodniem. Do tej pory Matt prawie nie spuszczał z oczu

Allison ani Laurel, a gdy musiał z jakichś powodów wyjść z domu, zabierał je z sobą.

Ta wyprawa stanowiła wyjątek. Laurel zostawili u Mirandy. Matt wyjaśnił, że w samochodzie nie ma miejsca dla nich trojga i ludzi, po których wyjeżdżają, a chciał, żeby Allison ich poznała, nie martwiąc się o dziecko. Allison czuła, że jej cierpliwość się kończy, nadal jednak była dostatecznie wstrząśnięta, by pogodzić się z koniecznością wynajęcia ludzi do ochrony jej osoby. Przynajmniej miała nadzieję, że przyjaciel Matta, niejaki Chico, pomoże jej zorganizować życie w sposób zbliżony do normalnego.

Gdy jednak zobaczyła go w grupie ludzi wysiadających z samolotu, jej nadzieje przysły w jednej chwili.

- Ten twój przyjaciel to Terminator? - spytała. Matt uśmiechał się od ucha do ucha.

- Nie żartuj z tego - powiedział cicho. - On jest bardzo czuły na punkcie blizn.

- Wcale nie chodzi mi o blizny, tylko o posturę - odrzekła.

Ale powiedziała to do siebie, gdyż Matt podbiegł już do olbrzyma i znalazł się w jego niedźwiedzim uścisku, który radośnie odwzajemnił. Wyglądali jak źle dobrana para zawodowych

zapaśników, tym bardziej że zaczęli wymieniać żartobliwe obelgi. Allison westchnęła. Ech, męskie przyjaźnie. Kto je potrafi zrozumieć?

Za pierwszym tytanem wyszło z samolotu trzech następnych. Usłyszała głośne powitania w co najmniej dwóch językach oprócz angielskiego. Potem Matt przywołał ją do siebie władczym gestem. Bardzo jej się to nie spodobało, ale mimo to podeszła. Nawet zdobyła się na uśmiech, chociaż gromadka, która stanęła na płycie lotniska, mogła przerazić.

- To jest pani Ford - oznajmił Matt, po czym powtórzył to samo po hiszpańsku i niemiecku. - Jest waszą klientką. Ona i dwuletnie dziecko, które zobaczycie później. - Przerwał na chwilę. - Mam dla was dobrą wiadomość: pani Ford będzie pilnie słuchać waszych rozkazów - dodał, unikając jej wzroku. - Allison, to są Gunther, Christian i Manuel. I oczywiście Chico.

- Cześć, panowie. - Allison jeszcze raz zdołała się uśmiechnąć. Ma słuchać rozkazów? Najpierw musi się z nimi zgadzać! - Dziękuję, że przyjechaliście.

Mężczyźni nie zareagowali na to pozdrowienie. Wpatrywali się w nią, jakby była czymś w rodzaju ciekawego okazu chrząszcza. Allison zamrugała powiekami i uszczypnęła się, żeby sprawdzić, czy to nie jakiś dziwaczny, koszmarny sen. Była jednak zupełnie przytomna.

Gdy mężczyźni odebrali bagaż, Allison zrozumiała, dlaczego Matt nie wziął Laurel na lotnisko. Nie dość, że wypełniono jej samochód po sufit, to jeszcze Matt i Chico przypięli pasami paki na dachu. Podczas pracy mężczyźni nie odezwali się ani słowem. Widać

było, że już to kiedyś robili. Poruszali się i zachowywali jak zgrany zespół.

Jakie zadanie ma ten zespół? Zapewnić jej bezpieczeństwo?
Zapewnić bezpieczeństwo Laurel?

Czyżby Matt tworzył coś w rodzaju prywatnego wojska do ścigania terrorysty, który dokonał na nich zamachu? I co miała o tym sądzić ona, obywatelka przestrzegająca prawa, za którą dotąd się uważała? Jeszcze nie zdecydowała.

Allison wcisnęła się między Matta i Chico, i tak dotarli do miasteczka. Nikt się nie odzywał, póki nie dojechali do „parkingu”, jak zwano aleję, w której ulokowali się pośrednicy sprzedający samochody. Chico wskazał jeden z punktów sprzedaży. Matt zwolnił i wjechał na dziedziniec.

- Dlaczego stajemy? - spytała Allison, nie mogąc już znieść milczenia. - Czy nie lepiej jechać jak najszybciej do domu? Laurel powinna niedługo iść spać. Nie chcę obciążać Mirandy dłużej niż to konieczne.

- Cierpliwości - pohamował ją Matt. Miała wrażenie, że nie bardzo ją nawet dostrzega. - To jest ważne. Musimy im kupić odpowiedni samochód.

Ugryzła się w język, żeby nie odpowiedzieć Mattowi w sposób, na który w tej chwili zasługiwał.

Kupili więc samochód. Właściwie jednak to, czym wyjechali od pośrednika, zapłaciwszy zaskoczonemu i jednocześnie zachwyconemu mężczyźnie gotówką, bardziej przypominało czołg. Był to terenowy pojazd przeznaczony do użytku w każdych warunkach, kopia

wojskowego hunvee, które zaprzątnęło wyobraźnię Amerykanów kilka lat wcześniej. Ludzie Chica wydają się szczęśliwi, jakby im ktoś napluł do kieszeni, pomyślała ponuro Allison. A Matt zapłacił za ten samochód, w ogóle nie licząc się z kosztami.

Nie poprosił jej też, żeby uczestniczyła w kosztach. To jakoś poruszyło ją najbardziej ze wszystkiego, co zaszło tego dnia. Przecież chodziło między innymi o jej życie, powinna więc wnieść swój wkład.

W tej chwili była bardziej zła na Matta niż na człowieka bądź ludzi, którzy spowodowali ich kłopoty. Mimo to w drodze do domu Mirandy zdarzyło się coś dziwnego. Trzej pozostali mężczyźni opuścili niemiłosiernie ciasne tylne siedzenie jej samochodu, natomiast Chico został z przodu; nadal jechała więc wciśnięta między niego i Matta.

Dotykała go ramieniem i czuła każdy jego ruch. To doznanie rozpało jej zmysły. W chwili, gdy zatrzymali się przed domem, a zarazem biurem Mirandy, była tak podniecona, że z trudem wysiadła z samochodu-Była tym wszystkim zażenowana.

Laurel powitała ich dosyć obojętnie, nie zwróciła też uwagi na towarzyszącego im wielkoluda. Bawiła się doskonale z dwiema małymi dziewczynkami i stanowczo nie życzyła sobie, by jej przeszkadzano.

- Świetnie się bawi - wyjaśniła Miranda. - Zaprosiłam tutaj na parę godzin moje siostrzenice i wszystkie panny znakomicie się dogadały jak na swój wiek. - Popatrzyła na Chica. - Witam. Pan to kto?

Chico przeszedł zadziwiającą transformację. Z ponurego, dość przerażającego olbrzyma przeistoczył się w uśmiechniętego, czarującego mężczyznę.

- Nazywam się Chico Roderigez - powiedział, skłaniając się nad jej dłonią i muskając wargami skórę-

- Miło mi, seniorita.

Miranda Stamos autentycznie się zarumieniła i zachichotała. Nagle ubyło jej kilku lat.

Allison pomyślała o zagrożonej namiętności M.J-i westchnęła.

- Pan Roderigez przyjechał pomóc Mattowi - wyjaśniła. -
Dawniej razem pracowali.

- Tam w Ameryce Południowej? - Miranda zerknęła na Matta.
Chico wciąż trzymał ją za rękę.

Matt skinął głową.

- Chico był moją prawą ręką podczas tej operacji-
- Wziął na ręce Laurel, która głośno zaprotestowała-
- Chodź, kochanie. Czas do domu. Powiedz do widzenia swoim nowym przyjaciółkom.

- Do domu nie! Cie u Jandy!

Matt wyszczerzył zęby w uśmiechu.

- Zdaje się, że ją zawojowałeś, Mirando.

- Nie ją jedną - włączył się Chico.

Allison zerknęła błagalnie w górę. Matt wydawał się zakłopotany zachowaniem siostrzenicy, a Chico i Miranda nie odrywali od siebie wzroku. Allison uznała, że nie potrafi podołać tylu komplikacjom. Zateęskniła do zwyczajnego, prostego życia, które

wiodła jeszcze przed kilkoma tygodniami, zanim pierwszy raz zobaczyła Matta Glassa robiącego zakupy w supermarkecie i zanim pomyślała, że jest przystojny.

Przekonanie Laurel, że pora już iść, zajęło trochę czasu, w końcu jednak Matt, Allison i Chico wsiedli do samochodu i ruszyli górską drogą do domu. Pozostali mężczyźni odjechali wcześniej drugim samochodem, wysłuchawszy instruktażu Chica i wskazówek topograficznych Matta. Ponieważ zwolniło się tylne siedzenie, Allison usiadła tam z dzieckiem, zostawiając przód auta mężczyznom dyskutującym o koniecznych środkach ostrożności i o planach kontrakcji.

Rozmawiali bardzo szybko po hiszpańsku, od czasu do czasu wtrącając to i owo po niemiecku. Prawdopodobnie sądzili, że ona nie jest w stanie ich zrozumieć. W zasadzie mieli rację, ale hiszpańskie słowa docierały do niej na tyle, że mogła się domyślać ogólnego sensu rozmowy. Matt nie chciał się ograniczyć do zorganizowania ochrony i razem z Chikiem przygotowywał ofensywę. W to nie wątpiła. I ze zdziwieniem uprzytomniła sobie także, że popiera te plany.

Tak dalece straciła władzę nad swoim życiem, że z radością myślała o wszystkim, co sprzyja przywróceniu w nim porządku, nawet jeśli wiąże się to z ryzykiem... Nagle jej uwagę przykuły jakieś słowa i ogarnął ją lęk. Matt wymienił imię jej męża.

Towarzyszyło temu mnóstwo innych słów, których nie rozumiała, ale imię jej męża niewątpliwie również padło. Dlaczego? Wahala się, czy go o to spytać, bo właściwie co wspólnego może mieć Paul z obecną sytuacją? Powinna zadać mu to pytanie, ale...

Wkrótce dojechali na miejsce i musiała się zająć Laurel. Matt z Chikiem wysiedli i zaczęli wyładowywać sprzęt oraz bagaże. Trzej pozostali mężczyźni już pracowali na terenie posiadłości.

Najwidoczniej uzupełniali system alarmowy Matta dodatkowymi urządzeniami. W to Allison również nie wnikała.

Wzięła Laurel za rękę i wprowadziła ją do domu. Zwierzęta wyszły je powitać i na widok Fred mała wreszcie przestała się dąsać. Całkiem jak w domu, pomyślała Allison.

Niestety, nie była w domu. Musiała wziąć Fred na smycz, żeby ją wyprowadzić. Musiała nakarmić i ułożyć do snu dziewczynkę, bardzo już rozkapryszoną z powodu opóźnienia drzemki. Co gorsza, musiała znosić mężczyzn, którzy krążyli po wszystkich pomieszczeniach wcale się nią nie przejmując, więc praktycznie nie miała dla siebie spokojnego kąta. Nie mogła liczyć na to, że popracuje, nawet gdy Laurel pozwoli jej na chwilę wytchnienia. W dodatku była pewna, że oczekuje się od niej karmienia czterech nowych osób w domu. Nikt o to wprost jej nie poprosił, jednak...

Właściwie czemu nie? Przecież ci ludzie przyjechali tutaj zapewnić jej ochronę przed wrogami, którzy ją straszą, grożą, i zakłócają spokój. Przed wrogami, którzy zniszczyli jej przyszłość i dom. Poszła do kuchni, zaparzyła kawę, a potem usiadłszy przy stole zaczęła płakać.

W kilka minut później znalazł ją tam Matt. Bez słowa podał jej paczkę chusteczek higienicznych, po czym nalał im po kubku kawy. Allison próbowała doprowadzić się do porządku.

- Nie wiem dlaczego... - bąknęła. - Po prostu...

- Cieszę się, że wreszcie płaczesz - powiedział cicho. - To jest normalna reakcja na coś takiego.

Popatrzyła na niego.

- Zostaw mnie, Matt. Dobrze wiesz, że jestem miękka. Bądź przynajmniej tak dobry i nie traktuj mnie protekcyjnie.

Nie zrobiło to na nim wrażenia.

- Wszystko, czego sobie życzysz, Allie. Ale masz święte prawo popłakać, i to nie tylko trochę. Przecież cały twój świat nagle stanął na głowie. Każdy by w takiej sytuacji płakał albo żałował, że nie umie płakać.

Położyła ręce na stole i oparła na nich głowę.

- Czuję się bezradna.

- Nie jesteś do tego przyzwyczajona, prawda?

- Tak.

Usiadł i skrzyżował ramiona na piersi.

- Nie czułaś się tak samo, gdy znikł twój mąż?

Wzruszyła ramionami.

- Owszem, ale...

- Ale wzięłaś przysłowiowego byka za rogi i stałaś się panią sytuacji.

- Oczywiście, że...

- Teraz też to robisz, tylko o tym nie wiesz.

Zanim odpowiedziała, zadzwonił telefon.

- Odbiorę - powiedział Matt i podniósł słuchawkę. Ponieważ zmarszczył czoło, Allison stężała.

Zerknął na nią i pokręcił głową.

- Nic się nie stało. Nie martw się - powiedział.
- Sprawdzamy urządzenie rejestrujące rozmowy, to wszystko.
- Rejestrujące...? - Przetarła piekące oczy i upiła łyk kawy. - Czy to jest legalne?

Matt wymienił z rozmówcą kilka zdań po hiszpańsku, potem odłożył słuchawkę.

- Nie - powiedział.
- Ale my się tym nie przejmujemy.
- Właśnie. Teraz, jeśli ktoś spróbuje cię nastraszyć przez telefon, wpadnie jak śliwka w kompot.

Gwizdnęła przez zęby.

- Jedno jest pewne. Tą drogą do fotela gubernatora nie dojdę.

Matt odchylił głowę do tyłu i dopił kawę.

- Allie, robię to, żebyś została przy życiu i mogła walczyć o ten mandat.

Spojrzała na niego w skupieniu.

- Dlaczego rozmawiałeś z Chikiem o Paulu?

Matt się zawahał.

- Dlaczego? Mam prawo wiedzieć.

W milczeniu skinął głową.

- No, więc powiedz prawdę, całą prawdę.

- Nie wszystko naraz, Allie. - Spojrzał na ścianę za jej plecami, gdzie nadal wisiły zdjęcia Marthy Essex. - Najpierw chcę się dowiedzieć, kto nas, a przede wszystkim ciebie, niepokoi, a potem...

- No właśnie, co potem?

Przez chwilę nerwowo chodził po kuchni, potem przystanął, potarł kark i spojrzał na nią.

- Chcę wiedzieć, co się stało z Paulem Fordem. Chcę, żebyś była wolna i żebyśmy mieli szansę. Cokolwiek zdecydujemy w sprawie naszej przyszłości, niech to będzie oparte na miłości, a nie strachu.

Była pewna, że Matt tego celu nie osiągnie. Sama przez długi czas i na wiele sposobów próbowała się tego dowiedzieć i dlatego uważała, że jest to przedsięwzięcie z góry skazane na niepowodzenie. A mimo to Matt chce spróbować. Dla niej. Dla nich.

Zastanawiała się nad tym przez chwilę i to wystarczyło, by jej depresja nagle ustąpiła. Coś się w niej przełamało i odzyskała wiarę w sens poczynań Matta. Westchnęła głęboko, po czym podjęła jeszcze jedną decyzję.

- Matt...

- Tak?

- Czy w najbliższym czasie możemy znaleźć się na moment na osobności?

Rozejrzał się wokół.

- Tu jesteśmy na osobności.

Pokręciła głową.

- No, niezupełnie. Coś mi przyszło do głowy... Spojrzał na nią i uśmiech rozjaśnił mu twarz.

- Nie mogę ci niczego zagwarantować.

Wstała.

- Skoro tak, to równie dobrze możemy... Ruszył w jej stronę.

- Allie, robię to dlatego, że cię kocham.

Chwyła go za pas i przyciągnęła do siebie.

- To udowodnij mi to - powiedziała zmienionym głosem. -

Przestań wreszcie tyle mówić i coś zrób!

RS

Zanim zdążyła zaciągnąć go do piwnicy, jedyne miejsce w domu, gdzie na pewno mogli zamknąć się na cztery spusty, była tak podniecona, że miała ochotę krzyczeć jak szalona. Wbiegli do pralni, zapalili światło i Allison zamknęła drzwi na klucz.

Namiętność, którą tłumiła przez tyle dni i nocy, wybuchła z wielką siłą. Matt pragnął jej równie gorąco. Oparł ją o ścianę i wodził dłońmi po jej ciele. Gdy w nią wszedł, oboje westchnęli, rozkoszując się doznaniem, w którym ulga i napięcie łączyły się w jedno. Ten akt miłosny był szybki i gwałtowny, lecz mimo wszystko cudowny.

Potem Allison mocno objęła go za szyję. To był mężczyzna, który niespodzianie wdarł się w jej życie i przekreślił pracowicie układane plany na przyszłość. Wiedziała już, że jest dla niej ważniejszy niż te plany, lecz nie była pewna, co właściwie chce mu powiedzieć. Wybrała więc temat tyleż aktualny, co banalny. Głupio jej było, że tchórzy, ale nie dojrzała jeszcze do roztrząsania naprawdę poważnych spraw.

- Czy chcesz... żebym przygotowała dziś wieczorem kolację dla twoich ludzi? - spytała, jeszcze zdyszana. Kochanie się na stojąco nie jest łatwe. Musiała utrzymać równowagę na jednej nodze, drugą bowiem oparła na biodrze Matta, jakby chciała zatrzymać go przy sobie na długo.

Matt roześmiał się, choć nawet w jego uszach ten śmiech zabrzmiał sztucznie. Intensywność erotycznych doznań z Allison była

dla niego wielką niespodzianką. Przez moment zdawało mu się, że rozumiał, w jaki sposób dwie osoby mogą zespolić się tak mocno, że zacierają się między nimi różnice, szybko jednak stało się to znów niejasne. Wiedział jedynie, że seks jest zaledwie częścią tego doznania. Nawet miłość była tylko jego częścią. Nie potrafił powiedzieć, co jeszcze się na nie składa. Poza tym był w tej chwili zbyt oszołomiony, by roztrząsać takie dylematy, postanowił więc odpowiedzieć Allison:

- Byłoby wspaniale, ale nie musisz im usługiwać. To oni mają się tobą zaopiekować, nie odwrotnie.

Nadal obejmował jej talię, tak mocno, jakby nie zamierzał jej nigdy puścić.

Allison odprężyła się i stanęła na drugiej nodze.

- Wiem - powiedziała, wędrując palcami po jego wilgotnej, ciepłej skórze. - Ale chcę pomóc. A gotować umiem, chociaż dotąd nie miałam okazji robić tego dla tylu osób.

Znów się roześmiał, tym razem pewniej.

- Jesteś jedna na milion, Allie. Nie mogę uwierzyć, że cię znalazłem.

Wykonała delikatny ruch i Matt zamknął z rozkoszą oczy.

- Uwierz w to - szepnęła - bo ja wierzę.

I znów ulegli swym rozpalonym zmysłom.

Nieco później Allison znalazła się z powrotem w kuchni. Nucąc pod nosem jakąś melodię, pochylała się nad dymiącym garem gulaszu. Laurel odpoczywała po wyprawie do Mirandy i, siedząc przy

kuchennym stole, naśladowała ruchy Allison, waląc wielką drewnianą łyką w rondelki.

- Gotowuje - oznajmiła ze skupioną i poważną miną, po czym grzmotnęła rondelkiem o stół.

Allison uśmiechnęła się.

- To znaczy, że są dwie kucharki. - Do kuchni wbiegła Fred i zaczęła węszyć. - Nic z tego - powiedziała Allison do psa. - To jest jedzenie dla ludzi.

- Ja gotowuje dla Tjed - wyjaśniła Laurel. -Chodź tu, Tjed.

Pudliczka posłuchała wezwania, obwąchała małą dłoń i polizała. Laurel wydała z siebie chichot Allison podeszła do zlewu, usiłując zrozumieć, jak to jest, że mimo potwornego zamętu i tylu klęsk czuje się bardzo szczęśliwa. Miała co prawda wrażenie, że ten stan minie, tymczasem jednak była pełna wigoru. Zerknęła w okno, by zachwycić się widokiem miasteczka w dolinie. Pomyślała, że dom Essexów ma idealne położenie. Można w nim mieszkać, marzyć i... kochać.

Nagle zapiekły ją w oczach łzy, pomyślała bowiem o ludziach, którzy postawili ten dom. Gdzieś za jej plecami bawiła się ich córeczka. Radośnie szczebiotała do Fred coś o kolacji, zupełnie nieświadoma tego, że straciła rodziców. Nieświadoma dzięki temu, że ktoś inny zajął ich miejsce, obdarzył miłością i dał jej konieczne poczucie bezpieczeństwa. Matt zrobił to dla swojej siostrzenicy.

Czy i dla niej robi to samo? Allison wytarła policzki. Nie byłoby dobrze, gdyby Laurel zobaczyła, że płacze. Cofnęła się do kuchenki i zamieszała gulasz. Gdy otwierała piekarnik, rozległ się dzwonek i

zaraz potem trzasnęły frontowe drzwi. To Matt wrócił do domu.

Bułeczki były gotowe. Zaraz trzeba zawołać...

- Czyś ty zwariowała?!

Allison odwróciła się gwałtownie. W części jadalnej stał M.J. z bardzo groźną miną,

- Co ty tu robisz, M.J.? - spytała.

- Nie - rzekł, przechodząc do części kuchennej. - To ty mi powiedz, co tu robisz. - Wykonał zamaszysty gest ręką. - Popatrz na siebie! Wyglądasz jak żona ranczera, która przygotowuje posiłek dla najętych ludzi. Matt Glass rzeczywiście ma w sobie coś, jeśli potrafi z ciebie zrobić kurę domową! Boże, przecież ten człowiek wystawił tutaj prywatną armię! A czy wiesz, że lokalne sieci telewizyjne zrobiły z tej fortecy domowej roboty pierwszą wiadomość w serwisach? Twoja polityczna kariera jest...

- Zawieszona.

- Ładnie to nazwałaś. - M.J. poczerwieniał jeszcze bardziej. - Czy wiesz, co zrobił ten wielki goryl, którego ten twój facet nazywa swoim kumplem? Ob-szukał mnie! Zanim wpuścił mnie do domu, sprawdził, czy nie mam broni! Przecież jestem twoim kuzynem.

- Uspokój się, M.J. Niepotrzebnie się denerwujesz. Jestem pewna, że Matt...

- Matt stał obok i się przyglądał! Załatwił cię na zimno, Allie. Na zimno pociągnął cię za sobą! Mam wrażenie, że już cię wcale nie znam.

- Ani mnie nie pociągnął, ani nie na zimno, M.J. - powiedziała spokojnie.

- Zimno! - oznajmiła Laurel i wyrznęła rondelkiem w stół. -
Zimno, ciepło.

- Cześć, dzieciaku - powiedział M.J., westchnął i jakby
spuściwszy z tonu, usiadł obok Laurel. - Chyba wiem, o czym mówisz
- stwierdził.- Ciekawe, czy twoja nowa mamusia też o tym wie.

Podparł podbródek pięścią i wbił wzrok w Allison. Potem
uśmiechnął się, dając jej do zrozumienia, że tak naprawdę nie jest zły.

Odpowiedziała mu uśmiechem, wyjęła z lodówki dwa piwa,
otworzyła puszki i podała jedną kuzynowi.

- Nie wiem - przyznała siadając naprzeciwko. -I nie wydaje mi
się, żebym była załatwiona, aczkolwiek nie mam pojęcia, co
wyrabiam, co tu się dzieje ani nawet jak ma się to wszystko skończyć.
- Uniosła puszkę. - Za pełne i doskonale pomieszenie z poplątaniem.

M.J. przyłączył się do toastu.

- Niech dotknie również naszych wrogów.

- O, za to wypiję. - Przełknęła łyk. - Co ty opowiadasz o
telewizji? Nie wyobrażam sobie, żeby Matt wpuścił tutaj
dziennikarzy.

- Bo nie wpuścił. Samochód telewizyjny stoi przy szosie, a
operatorzy filmują wasze prywatne wojsko w akcji. Allie, to jest
koniec twojej kampanii i twojej politycznej kariery, jeśli nie...

- Nic mnie nie obchodzi kampania. - Odstawiła puszkę na stół. -
Widzisz, M.J., ostatnio ustaliłam nowe zasady. Tak to jest z ludźmi,
których ostrzelają w ciepłe domowego ogniska.

M.J. przytaknął skinieniem głowy i podrapał się po brodzie.

- Próbuję cię zrozumieć, ale zdaje się, że tracę czas. - Przesunął dłońmi po twarzy. - Usłyszałem o tym wszystkim, gdy zadzwoniła do mnie Miranda z wieścią o przyjeździe waszej bojówki. Jej się strasznie podoba ten wielkolud. Potem zadzwoniła kobieta z wiadomości i...

- M.J., ty się złościś z powodu Mirandy...?

- Pewnie, że się złościę. Wcale mi się to nie podoba. - Odjął dłoń od policzków i spojrzał na Allie. - Ale zupełnie nie rusza mnie to, że ta Godzilla wpadła jej w oko. Miranda jest samodzielna. Lubię ją, ale nie Kocham. Powiedz mi lepiej...

- Już to walczyliśmy, pamiętasz? Powiedziałam ci: nie wiem, czego chcę ani czego oczekuję.

- Wiem, co powiedziałaś, moja droga. - M.J. pochylił się w jej stronę. - Ale to, co robisz, świadczy o czym innym. Twój wybór wydaje się jasny. Jesteś już nie tylko Allison Ford, lecz także kobietą Matta Glassa. Nie mam racji?

Allison odwróciła głowę i spojrzała na Laurel.

- Jestem w potrzasku, M.J. Nie spodziewałam się, że to mnie przerośnie. Nigdy nie sądziłam, że pozwolę się zawrócić z wybranej drogi, ale tak się stało. Nurt mnie poniósł, a ja... - Urwała, znów bowiem trzasnęły drzwi.

- A ty co? - Wszedł Matt i położył jej rękę na ramieniu. - Mów dalej. Chyba mam prawo wiedzieć, co to znaczy, że poniósł cię nurt. Płyniesz, czy się opierasz? - Wysunął spod stołu krzesło i usiadł, przy okazji czule klepiąc Laurel po głowie. Dziewczynka spojrzała na

niego i uśmiechnęła się, po czym wróciła do grzmocenia łyżką rondelków.

- Płynę - odparła Allison. - Inaczej by mnie tutaj nie było. -

Pchnęła swoją puszkę z piwem do Matta.

- Powiedz swoim chłopakom, że za parę minut będzie kolacja.

M.J., zjesz z nami? Ugotowałam cały kocioł. Kuzyn zerknął na nią.

- Wiesz, że nie tracę takich okazji. Oczywiście zostaję.

Matt przyjaźnie klepnął go w ramię.

- Wobec tego witaj w szklanej twierdzy. Może się wydawać, że nas rozbijają, ale w rzeczywistości jesteśmy mocni jak stal, wierz mi.

Szklana twierdza, Glass Castle... Allison wcale się nie zdziwiła, słysząc tę nazwę. Była pewna, że Matt użył jej całkiem poważnie.

Wyrażała jego postawę, jego mentalność człowieka obleżonego.

Allison też uważała, że nazwa jest odpowiednia.

Przy kolacji odgrywała rolę gospodyni i rozmowy zostawiła mężczyznom. Tak postanowiła i okazało się to bardzo pouczające.

M.J., który wcześniej natknął się na Chica, poznał również Gunthera, Christiana i Manuela. W ten sposób wszyscy dowiedzieli się, że jest krewnym Allison. Matt, który siedział u szczytu kuchennego stołu, obok wysokiego krzesła wyjątkowo grzecznie się zachowującej Laurel, zakończył ceremonię przedstawiania w następujący sposób:

- M.J. i pani Ford są jak brat i siostra. Nie musicie się przed nim kryć z naszymi planami.

Gunther zmarszczył czoło.

- Ja. Bruder jest bruder. Ale ten jest adwokat.

- Nie szkodzi - wtrąciła Allison. - On jest dobrym adwokatem. - Oparła się pokusie, by się uśmiechnąć. M.J. nie znosił pogardy dla zawodu prawnika, jaką ostatnimi czasy ściągnęły na wszystkich adwokatów nie kończące się procesy.

- Sprawiedliwość jest ważna - rzekł Christian -ale niektórzy adwokaci...

- Ten adwokat wierzy w konstytucję Stanów Zjednoczonych Ameryki Północnej - powiedział M.J., czerwieniejąc na twarzy. - Jeśli któryś z was, panowie, ma kłopoty, żeby to zrozumieć...

- Nie tak ostro, M.J. - ostrzegł Matt. - To tylko próbne balony.

- Dobra, róbcie z siebie balona dalej.

- Najpierw coś zjedzmy - zaproponował Matt. Allison podała gulasz w wielkich misach. Nie był to szczyt jej osiągnięć kulinarnych, ale spotkał się z ciepłym przyjęciem. Mężczyźni zjedli kolację szybko i chętnie. Pili lemoniadę i mrożoną herbatę w wysokich szklankach. Nikt oprócz M.J. nie wybrał piwa, nawet Matt.

Gdy kolacja dobiegała końca, Matt zaczął mówić po angielsku, powoli i wyraźnie:

- Sytuacja jest następująca. Mamy trzy znane źródła kłopotów. Każde z nich mogło wywołać incydenty wymierzone w panią Ford i we mnie, pojedynczo bądź łącznie z innymi. - Urwał i szybko przetłumaczył ten fragment na hiszpański i niemiecki, po czym ciągnął: - Nie wydaje mi się prawdopodobne, żeby inicjatorami tego ataku byli Turnerowie. Moim zdaniem brak im inteligencji, choć mogę się mylić. Na pewno jednak są bardzo cwani.

- Ale to ich adwokat, Penny Jackson, roztacza prawną opiekę nad majątkiem Laurel. I cię nie znosi -wtrącił M.J. - Penny od wielu lat popiera w polityce Ritę Morely. Nie skreślaj Turnerów, Matt.

Chico pochylił się do swych ludzi i przetłumaczył wypowiedz. Matt wiedział, że i bez tłumaczenia wszyscy rozumieją prawie wszystko, chciał jednak, żeby każdy szczegół był jasny. Gdy znów zapadło milczenie, odezwał się:

- Nie skreślam ani Turnerów, ani Penny Jackson. Po prostu nie umieszczam ich na górze listy podejrzanych. Wprawdzie chcą przejąć opiekę nad Laurel i wyciągają łapy po jej pieniądze, ale nie sądzę, żeby potrafili się zdobyć na coś takiego jak ostrzelanie domu Allison.

- Co z tym hombre, któremu omal nie złamałeś łap, broniąc swojej damy? - spytał Chico. - Widziałeś go jeszcze potem?

Matt pokręcił głową.

- Już nie, Chico. Ale kiedy tu kiedyś jechałem, próbowano mnie zepchnąć w przepaść. Mam przeczucie, że to właśnie Baker, chociaż nie potrafię tego dowieść.

- Przydałaby się Miranda - rzekł M.J. - Od miesiąca go śledzi.

- Jutro urządzimy naradę wojenną z prawdziwego zdarzenia - powiedział Matt. - Miranda na pewno będzie miała wiele do powiedzenia. - Zerknął na Allison. - Pracuje dla mnie w kilku sprawach.

Allison nie powiedziała ani słowa, tylko uniosła brwi. Zbierała ze stołu brudne talerze i podawała lody oraz ciasteczka, nie przestawała jednak uważnie słuchać. I rozmyślała nad tym, czego się dowiadywała.

Matt naszkicował strukturę systemu bezpieczeństwa. Jej ochroniarzem został Chico, Gunther miał zająć się bezpieczeństwem Laurel, a Christian i Manuel pozostawali w odwodzie i patrolowali teren posiadłości. Wszyscy czterej zamieszkali w przywiezionych namiotach, ale mieli przychodzić do domu na posiłki, dopóki Allison zechce dla nich gotować. Ten ukłon w jej stronę zaskoczył ją i sprawił szczerą przyjemność; nie oczekiwała bowiem takiego gestu ze strony Matta.

- Każdy, kto przychodzi do ciebie w odwiedziny - ciągnął Matt, unikając patrzenia jej w oczy - musi być poddany rewizji. - Każdy, bez względu na to, jak długo go znasz i na ile mu ufasz. Jednym z powodów, dla których nie przeszkodziłem telewizji w nakręceniu dzisiejszego materiału, były twoje klientki, które chciałem przygotować do nowej sytuacji. W ogóle zamierzałem przygotować opinię publiczną do tego, że musisz przebywać pod ochroną przez czas bliżej nie określony.

- W Wyoming taka sytuacja istotnie jest niecodzienna - przyznała. - Krótko mówiąc, równie dobrze mogę zawiesić kampanię.

Matt nie odpowiedział natychmiast. Najpierw spojrzał na M.J., który wzruszył ramionami, a potem rzekł:

- Będziesz dalej prowadzić kampanię, ale pod moim kierownictwem - powiedział. - Na przykład podczas parady na rodeo w przyszłym tygodniu wystąpisz w kuloodpornej kamizelce i...

- Ona jest polityczna? - spytał Christian. - Takie nigdy nie słuchają rozkazów, Matthew. Co ty z nią zrobisz?

- Będzie słuchać - odrzekł Matt, zanim Allison zdążyła otworzyć usta. - To bystra dziewczyna, Chris. Widzi coś poza swoimi ambicjami.

- Powinna się wycofać z kampanii - powiedział M.J., choć jego mina wskazywała, że mówi to wbrew sobie. - Dla jej własnego bezpieczeństwa...

- Allie będzie dalej prowadziła kampanię - przerwał Matt z kamienną twarzą. -I wygra.

M.J. chrząknął.

- Allie, wiesz, że nie musisz, jeśli...

- Wszystko gra, M.J. - powiedziała, podnosząc Laurel z wysokiego krzesła. - Sama decyduję o swoich sprawach. Powiem ci po rozmowie z Mattem.

- Zgoda. - M.J. odwrócił się twarzą do Matta. -W każdym razie przynajmniej co do telewizji masz rację. Kiedy o tym pomyślę, widzę, że ten rozgłos jest na jej korzyść. Ostrzelany dom Allison był niedawno tematem dnia. Teraz widok tego, jak obwarowujesz ją tutaj i otaczasz strażami, nie będzie szokiem. Opinia publiczna wie, że ktoś na nią czyha, a to z politycznego punktu widzenia może stanowić plus. - Z powrotem zwrócił się do Allison. - Większość ludzi nie lubi przemocy, więc powinnaś zyskać wielu zwolenników.

- Przydadzą się - powiedziała z uśmiechem.

To dziwne, ale miała wrażenie, że wszystko jest w porządku i bardzo nie chciała zepsuć sobie tego nastroju. Laurel spokojnie siedziała jej na kolanach i przyglądała się obcym. Fred, która drzemała przy lodówce z nadzieją na dokładkę, niespokojnie uniosła

głowę, ale szybko położyła ją z powrotem. Najmniejsza kocica, Dick, bez zaproszenia wskoczyła Manuelowi na kolana i teraz odbierała swoją porcję pieszczot. Tom i Harry, wciąż nieufne, przyczały się koło drzwi, wyczekując okazji, żeby wyrwać się na swobodę.

Była tu bezpieczna z tymi dziwnymi, dzikimi mężczyznami i ze swoim mężczyzną. Pierwszy raz w życiu czuła się naprawdę szczęśliwa. Z jej starannie zaplanowanej przyszłości nic nie zostało, ale mimo to była zadowolona. Postanowiła powiedzieć to Mattowi jak najszybciej.

Zadowolenie jednakże nie rozwiązywało jego problemów, miała więc zamiar wziąć je na siebie.

Narada przeciągała się. Zebrani prześcigali się w domysłach, kto mógł udawać Paula przez telefon, kim mogła być tajemnicza para w toyocie, kto kryje się za aktami przemocy i czy wszystkie te sprawy mają ze sobą związek. W pewnej chwili Allison oznajmiła, że Laurel musi iść spać, Gunther poszedł więc z nią, by poznać swe nowe obowiązki. Mimo wyjątkowych środków bezpieczeństwa zdecydowano, że lepiej będzie nie zmieniać dziecku pokoju. Laurel wydawała się z tego cieszyć.

- Matthew mnie wybiera, bo mam dwie małe córki - powiedział rosły blondyn po angielsku. Nieco kaleczył język, lecz dawał sobie z nim radę.

- Naprawdę? - Allison przyjrzała mu się skupionym wzrokiem. - Myślałam, że wszyscy jesteście... żołnierzami czy kim tam.

- Ja. Jesteśmy żołnierze. - Gunther uznał, że to wyjaśnienie wystarczy.

Ale Laurel go polubiła. Poddała nowego człowieka krótkiej próbie cierpliwości, protestując przeciwko pójściu do łóżka, ale Gunther wyszedł z niej zwycięsko. Jeśli naprawdę był ojcem, tak jak powiedział, to w swoim czasie nauczył się czego trzeba. Laurel nie mogła go zaskoczyć żadnym podstępem. Był delikatny, ale stanowczy. Prawie natychmiast zyskał zaufanie i szacunek dziecka.

Radził sobie dobrze, więc Allison odetchnęła. Uznała jednak, że im mniej wie o ludziach Matta, tym lepiej i dla niej, i dla nich. Wróciła do kuchni i oznajmiła, że wybiera się do swego zaimprovizowanego gabinetu, żeby przed snem troszeczkę popracować.

Mężczyźni pochłonięci dyskusją prawie nie zauważyli jej obecności. Nawet M.J. jest nieprzytomny, a przecież powinien mieć od nich więcej oleju w głowie, pomyślała kwaśno. Cóż, sytuacja jest wyjątkowa.

Jak najmniej takich wyjątków, pomyślała, wolno idąc korytarzem do gabinetu. Stawką jest życie kilku osób, a jeszcze nie włączyła do rozważań swoich dzieci. Co powiedzą, kiedy zobaczą, że mama stała się celem czyichś ataków i że strzegą jej mężczyźni równie niebezpieczni jak ktoś, kto poluje na nią i Matta?

Usiadła w gabinecie za biurkiem. Fred, która przyszła za swą panią, jak zwykle wsunęła się pod mebel. Wypróbowała kilka pozycji, wybrała najwygodniejszą i zasnęła. Och, żeby tak być psem, pomyślała Allison. Moim największym kłopotem byłoby zdecydować, którego kota chcę podreńczyć. Niestety, życie nie jest tak proste.

A ta walka - ma należeć do Matta? Ma być męską sprawą?
Niedoczekanie. To jest również jej walka!

Następne pół godziny spędziła na pisaniu listów do bliźniąt i do rodziców. Próbowwała wyjaśnić wszystko tak, żeby nikogo nie zaniepokoić, ale przygotować wszystkich na wypadek, gdyby w telewizji pokazano następne materiały. Naturalnie zadzwoniła do rodziców zaraz po ostrzelaniu domu i dała im znać, że jest u Matta, który zapewnia jej bezpieczeństwo. Rodzice chyba się z tym pogodzili; teraz jednak pisała, żeby ich ostatecznie uspokoić. Dziennikarze z telewizji mogą przecież sprawić takie wrażenie, jakby wciąż coś jej groziło...

Wiadomości. Popatrzyła na zegarek. Do godziny emisji brakowało pięciu minut. Powinna chyba popatrzeć i sprawdzić, jak interpretują posunięcia Matta miejscowi dziennikarze. Dla ludzi od wiadomości najważniejsza jest sensacja. Wiedziała, że może się spodziewać wszystkiego, od wyrazów lęku przed prywatnym wojskiem po współczucie dla swojej sytuacji. Wyłączyła komputer i przeszła do ulubionego zakątka Matta. Stały tam telewizor i odtwarzacz wideo najnowszej generacji, więc dla zabawy włożyła do odtwarzacza czystą kasetę i nagrała wiadomości, a potem także komentarz dnia.

Właśnie drżącymi rękami wyjmowała taśmę, absolutnie zdumiona tym, co usłyszała i zobaczyła, gdy zadzwonił telefon. Matt z korytarza zawołał do niej głośno, że podniesie słuchawkę. Pozostała więc skulona przed telewizorem i czekała. W minutę później Matt stanął w progu.

- To Josh - powiedział. - Widziałaś wiadomości?

Uniosła kasetę.

- Nawet lepiej. Nagrałam. Matt cicho gwizdnął z podziwem.

Wszyscy razem obejrzelili materiał. Allison chciała zobaczyć go ponownie, żeby się przekonać, że oczy i uszy jej nie omyliły. Ale obecność i reakcje mężczyzn pomogły jej uznać rzeczywistość.

- Mój Boże - powiedział M.J. - Robią z ciebie współczesną bohaterkę z Dzikiego Zachodu. Coś jak Cattle Kate, Annie Oakley albo Calamity Jane... Stałaś się żywą legendą. Niech to licho, kuzynko, Joanna d'Arc przy tobie wysiada.

- To dlatego, że zrobili ze mnie ofiarę - odparła. - Oni to uwielbiają.

Matt milczał. Prezenterka zrelacjonowała fakty. Dom Allison ostrzelano, a jej „przyjaciół i szef kampanii, Matthew Glass, przeżył kilka tygodni wcześniej zamach na swoje życie, gdy nieznany sprawca spowodował kraknę, chcąc zepchnąć jego samochód z urwiska”.

Allison i Matt zwrócili się do kompetentnych władz o pomoc i zapewnienie ochrony, w końcu jednak byli zmuszeni przedsięwziąć środki ostrożności na własną rękę.

Ukazano ich w pozytywnym świetle, czego Matt się nie spodziewał. Ale na tym się nie skończyło. Kobieta przedstawiła też komentarz, i to on właśnie sprawił Allison w osłupienie.

- Akt przemocy skierowany przeciwko Allison Ford - mówiła dziennikarka - jest częścią zmyśli wymierzonej w niezależną kandydatkę do parlamentu, poświęcającą bardzo wiele uwagi kwestii kobiet. Sponsorzy Rity Morely, a szczególnie David Benning,

zainwestowali w swoją marionetkę zbyt wielki polityczny kapitał, żeby dopuścić do zdobycia mandatu przez osobę z zewnątrz, nie mającą zobowiązań i spoza układów.

Komentarz był utrzymany w duchu radykalnie feministycznym, zwracał jednak uwagę na reformatorskie tendencje Allison. Autorka widziała w niej potencjalnego sprzymierzeńca zwykłych ludzi, zarówno mężczyzn, jak i kobiet.

Dla podkreślenia tej ostatniej tezy do programu włączono migawki z politycznej przeszłości Allison. Pokazano ją w czasie pracy w zarządzie szkoły i w radzie miejskiej. Było ujęcie z jej rozmowy z matkami i ich dziećmi na temat planowania wydatków i inwestycji, była też ilustracja jej udziału w programie na rzecz emigrantek samotnie wychowujących dzieci, w którym Allison uczestniczyła jako wolontariuszka.

W efekcie zrobiono z niej działaczkę, którą interesuje nie tylko kwestia kobieca, lecz również sprawy rodziny i domu. Matt z zadowoleniem oglądał reportaż. Sam nie zrobiłby lepszego filmu reklamowego do kampanii, a tu zawarto go w wiadomościach, więc materiał nosił znamiona prawdy. Z politycznego punktu widzenia nic lepszego nie mogło Allison spotkać.

Telewizja podsunęła mu również nowego podejrzanego. David Benning. Matt przeklinał własne niedbalstwo. Że też sam nie zbadał dokładniej politycznych mechanizmów w okręgu i stanie. Gdyby to zrobił, z pewnością sam zdobyłby tę informację. Ten stary lis był na pewno ważniejszy w grze, niż się zdawało. Dla Matta nie ulegało wątpliwości, że powinien to wiedzieć już dawno.

Trudno. Tak czy owak teraz mógł tę informację umiejętnie wykorzystać.

- Josh prosi, żebyś do niego zadzwoniła - powiedział. - Ma kilka pomysłów, jak natychmiast wykorzystać dzisiejszą reklamę. A ja chcę, żebyś...

- Matt, muszę z tobą porozmawiać. - Allison rozejrzała się po pokoju. Mężczyźni nie spuszczaali z niej wzroku. Nagle urosła w oczach Chica i jego ludzi. M.J. dosłownie pęczniał z dumy. - Na osobności - dodała jeszcze.

Później, gdy M.J. odjechał do domu, a ochrona rozeszła się na stanowiska, powiedziała Mattowi:

- Podjęłam decyzję. Ty i Laurel jesteście dla mnie ważniejsi niż kampania. Nigdy jeszcze o niczym bardziej nie marzyłam niż o tym, żebyśmy zostali razem. Z tego nie zrezygnuję.

Matt otworzył szeroko oczy.

- Chyba żartujesz. Po takim programie w telewizji? - Zmarszczył czoło. - Oczywiście doceniam to, co powiedziałaś o nas, jesteś wspaniała, ale... - Potarł dłonią kark. - Posłuchaj, zadałem sobie mnóstwo trudu, żeby zdobyć pewność, że startując, masz szansę wygrać. Nie mogę się zgodzić na twoją decyzję.

- No więc się nie zgadzaj. Ja w każdym razie postanowiłam.

Usiadł na łóżku.

- Dlaczego? Wyjaśnij mi proszę bez emocji i logicznie, dlaczego powinnaś zrezygnować z marzenia, do którego dążyłaś, zanim mnie poznałaś? Jeśli mnie przekonasz do swoich racji, ustąpię.

- Zgoda. No więc... - Nagle ogarnęło ją przerażenie. Wszystkie przekonujące słowa, które przychodziły jej do głowy wcześniej, nagle gdzieś się zapodziały. Poczula chłód, zimny pot spłynął jej po ciele. - No więc...

- Tak myślałem. - Matt pochylił się ku niej i wziął ją za rękę. - Jeszcze sobie tego nie ułożyłaś w głowie, tylko w sercu. Reagujesz, ale nie myślisz.

Miejsce strachu zajął w niej gniew.

- Jakie to ma znaczenie, gdzie coś ułożyłam? -burknęła, wyszarpując dłoń z uścisku. - Mam prawo decydować o sobie.

Matt pokręcił głową.

- Już nie. Na pewno nie wtedy, gdy twoja decyzja wpływa bezpośrednio na życie przynajmniej czterech osób.

Zmarszczyła czoło, zdziwiona.

- Twoje, Laurel, Sama i Sally? - upewniła się. Skinął głową i znów wziął ją za rękę.

- Jeśli tylko jest to w naszej mocy - powiedział, patrząc jej prosto w oczy - chcę, żebyśmy się stali rodziną. - Zaczął głaskać jej dłoń. - My, twoje dzieci i moje dziecko, ty i ja, czyli w sumie pięcioro. Rodzina.

- Mówiąc o rezygnacji z kampanii, nie brałam pod uwagę małżeństwa, Matt. Wiesz, co o tym myślę.

Twarz mu spochmurniała.

- Wiem, że nie mogę ci proponować małżeństwa, dopóki nie poznam prawdy o Paulu. Sporo już o tym mówiliśmy, więc powinnaś wiedzieć, że...

- Wiem, że z mojego powodu robisz poważne ustępstwa, a nie sądzę, żebyś był panem tej sytuacji. Jeśli postanowiłam wycofać się z walki politycznej, żeby skupić się na naszym związku i przyszłości, to moim zdaniem powinieneś uszanować tę decyzję, tak samo jak ja...

- Ależ ty jesteś uparta!

Uśmiechnęła się.

- Nie. Tylko zakochana.

Matt dwukrotnie próbował podjąć spór, brakowało mu jednak właściwych słów. Miłość wszystko między nimi zmieniła. Westchnął tylko, tymczasowo uznając swą porażkę, Allison sięgnęła bowiem do guzików jego koszuli.

Następnego ranka spór rozgorzał jednak na nowo. Laurel spała nieco dłużej, mieli więc trochę czasu dla siebie. Najpierw się kochali, potem wzięli prysznic i poszli do kuchni. Tam Matt uznał widocznie, że wypada przejść do konkretów.

- Twoje zobowiązanie do udziału w kampanii dotyczy nie tylko mnie lub ciebie - powiedział. - Liczą na ciebie wyborcy. Zadzwoń do Josha, Allie. Przynajmniej z nim porozmawiaj.

- Powiedziałam ci wczoraj wieczorem, co,..

Nagle do kuchni wpadł Chico.

- Mnóstwo samochodów przy bramie, Matt - oznajmił. - Mnóstwo ludzi. Wszyscy chcą ją zobaczyć.

Wskazał na Allison.

- Mnie? - Wytarła ręce w ścierkę i przeszła do części jadalnej. Przez okno było stamtąd widać kawałek drogi między drzewami, prowadzącej do domu Essexów. Na poboczu istotnie stał długi sznur

samochodów osobowych i półciężarówek. Usłyszała klaksony i okrzyki. - Po co?

Chico wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Co robimy, szefie? - Pierwszy raz widziała go szczerze zafasowanego. - Oni upierają się, że chcą się spotkać z twoją kobietą. Ma przemówić czy coś takiego. Nie jesteśmy w stanie ich wszystkich obszukać.

- Nie ma potrzeby.

Matt zapanował nad mięśniami twarzy, ale miał wielką ochotę się uśmiechnąć. Nareszcie wszystko ruszyło we właściwym kierunku! Wyborcy sami postanowili złamać opór Allison. Jemu została już tylko kwestia małżeństwa, to jednak może poczekać.

- Ubierz ją w kamizelkę kuloodporną i niech do nich wyjdzie. - Zwrócił się do Allison. - Czas na ciebie, kochanie. Uśmiechnij się!

Cóż innego mogła zrobić, niż pogodzić się z losem? Ubrana w obcisłą kamizelkę kuloodporną włożoną pod bluzkę, uzbrojona jedynie we własną bystrość, kubek kawy i uśmiech, ruszyła do natarcia z Mattem i Chikiem u boku. Dobrze wiedziała, że obaj mężczyźni mają broń i są przygotowani do odparcia ewentualnego ataku. Poranne słońce przyjemnie grzało, po twarzy muskał ją wiatr, delikatny jak miłosne dotknięcia Matta. Miłość... to właśnie z jej powodu jest o krok od zdrady, jeśli nie Matta, to jego nadziei na polityczną karierę Allison Ford.

Stała na podwyższeniu i podniosła do ust mikrofon, który Christian wynalazł w domu.

- Bardzo mi przyjemnie, że aż tyle osób przyszło zobaczyć, jak się miewam - zaczęła. - Jak państwo widzą, wszystko jest w porządku. Wspaniali ludzie zapewniają mi ochronę. Serdecznie wszystkim dziękuję za troskę, ale z powodu ostatnich wydarzeń postanowiłam się wycofać z walki o mandat. Udział w kampanii stał się dla mnie zbyt niebezpieczny. Moja rezygnacja leży w najlepszym interesie tych, których kocham...

Tyle zdążyła powiedzieć. Pierwszy przerwał jej Walter Resner, młody policjant, który ostrzegął Matta przed Teddie'm Bakerem zaraz po starciu przed supermarketem.

- Allie, nie możesz nas zawieść. Potrzebujemy cię. My, zwykli ludzie, którzy nie mają tylu wpływów. Oto lista policjantów, którzy

chęć pomóc w pilnowaniu tego domu po godzinach pracy - oznajmił, wyciągając przed siebie kartkę z podpisami. - Nie mogliśmy tu wszyscy przyjść dziś rano. Chcemy jednak, żebyś wiedziała, że ludzie są z tobą. - Potrząsnął kartką. - Podejź i sprawdź, jeśli mi nie wierzysz!

- Allie, musisz wystartować! - zagrzmiała June Watson. Ta roślakobieta miała na sobie bawełnianą koszulkę z jaskrawym hasłem popierającym kandydaturę Allison Ford. - Przygotowałyśmy tysiące koszulek! - Wskazała swą imponującą pierś.

Pojawił się Josh Henderson.

- W samochodzie mam tyle samo naklejek na zderzaki - oznajmił. - Wczoraj po wiadomościach do mojego biura zgłosiła się masa ludzi, żeby pomóc. Allie, nie uwierzysz, ilu mamy ochotników!

- Ale...

- Ale co?! - ryknął Tim Swenson, kierownik supermarketu. - Na pojutrze zaplanowałem barbecue pod gołym niebem, połączone ze zbiórką funduszy na twoje konto. Ja daję mięso, chętni przyniosą sałatki i będziemy sprzedawać porcje po dziesięć dolarów. Powiedz coś, Allie.

- Chcę...

- .. się poddać? - podsunął jej Matt tak cicho, że tylko ona usłyszała.

- Ktoś do mnie strzelał - powiedziała do mikrofonu. - Ostrzelał nas w moim domu. Przyjaciele, nie mogę występować publicznie i ryzykować, że przeze mnie zostanie zraniony niewinny przechodzień.

- Niech tylko spróbują! - rozległ się mocny, skrzekliwy głos starego człowieka ze środka tłumu. Kelly McClean uniósł pięść. - Powiesimy łobuzów, jak na to zasługują. Naprzód, Allie. Walcz!

Przez tłum przetoczył się pomruk. Duża grupa znajomych z kościoła głośno poinformowała, że modlą się za nią i jej rodzinę. Allison się poddała.

- Dobrze więc - powiedziała. - Jestem waszym kandydatem. Niech nam się poszczęści! - Odłożywszy mikrofon, objęła radosnego, roześmianego Matta. Uściskał ją i gestem polecił z powrotem wziąć do ręki mikrofon i wygłosić krzepiącą przemowę. Tak też zrobiła.

Przez następne tygodnie miała mnóstwo zajęć. Zdecydowawszy się mimo wszystko kandydować, z wigorem rzuciła się do pracy. Zaufanie do Matta i jego ludzi, a także coraz silniejsza świadomość poparcia ze strony społeczności Linville Springs, dały jej siłę i wiarę w sens tego, co robi. Na rozmyślenia zostały jej rzadkie chwile; zrozumiała jednak, że przyjaciele i sąsiedzi zawsze ją popierali. Cały czas odnosiła wrażenie, że jest skazana na własne siły, tymczasem jednak, gdy znalazła się w prawdziwej potrzebie, z pomocą przyszły jej tłumy.

Może dobro w końcu zatriumfuje?

W kilka dni po telewizyjnych wiadomościach na swój temat Allison odebrała telefon od dzieci i rodziców. Jej listy dotarły już do Montany i rodzice pytali, jak mogliby pomóc. Allison poprosiła ich więc, żeby zatrzymali Sally i Sama na ranchu, póki niebezpieczeństwo nie minie, nawet gdyby miało to oznaczać, że przez pierwsze tygodnie jesieni bliźnięta będą chodzić do szkoły w Montanie. Rodzice na to

przystali, Sally też nie miała nic przeciwko temu. Tylko Sam zaprotestował.

- Chcę być w domu, mamó. Przecież mnie potrzebujesz, sama powiedz.

Żalosa nuta w głosie chłopca bardzo ją zaniepokoiła. Sam chciał się czuć potrzebny. Musiała szybko coś wymyślić.

- Owszem - potwierdziła. - Tylko że gdybyście oboje byli tutaj, nie mogłabym prowadzić kampanii, bo za bardzo bym się o was martwiła. Przykro mi, Sam, jeśli ci się to nie podoba, ale jestem szczerą.

Przez chwilę chłopiec milczał.

- A ta Laurel jest z wami - powiedział w końcu.

- Laurel bardzo by cierpiała, gdyby trzeba było rozdzielić ją z Mattem. Jest za mała, aby zrozumieć, że bezpieczniej dla niej byłoby zamieszkać teraz z wami. Laurel ma swojego ochroniarza, więc nie muszę się nią bez przerwy zajmować. A ty na pewno nie chciałbyś, żeby jakiś facet się za tobą włóczył. Nie mógłbyś się ani na chwilę urwać, żeby zrobić to, na co masz ochotę. Pomyśl o tym.

Chłopiec się zastanawiał.

- Pozwól mi porozmawiać z Mattem, mamó. Proszę:

Podawała Mattowi słuchawkę.

- Czuj e się wyłączony z naszego życia - szepnęła.

- Z daleka to się na pewno wydaje mu bardzo podniecające.

- No bo jest podniecające. Zyskałaś sławę-odparł cicho Matt i wziął od niej słuchawkę. - Cześć, Sam. Posłuchaj, masz świetną mamę, ale kobiety nie myślą o życiu tak samo jak my. Obaj wiemy, że

bardzo byś tutaj pomógł, ale mama widzi tylko kłopoty i niebezpieczeństwa, więc ustąp jej, chłopie. Pomieszkać spokojnie na ranczu i opiekuj się siostrą, zgoda? - Przez chwilę uważnie słuchał chłopca. - Umowa stoi - oznajmił zupełnie innym tonem. Zdecydowanym. - Słowo, Sam. - Z powrotem wręczył słuchawkę Allison.

- Matt dobrze mówi - orzekł chłopiec. - Nie ściągaj sobie na głowę kłopotów, słyszysz?

Rozmawiali jeszcze chwilę o codziennych sprawach: o koniach i kotach na ranczu, o samopoczuciu Fred i kocie w domu siostry Matta - tak jak zwykle rozmawiają mamy z dziećmi. Po odłożeniu słuchawki Allison zwróciła się do Matta:

- O co wam chodziło na samym końcu?

Matt nie patrzył na nią i dość długo zwlekał z odpowiedzią.

- Pamiętaj, Allie, że ja też miałem siostrę bliźniaczkę. A moja matka właściwie nigdy nie mieszkała z ojcem. Kiedy byliśmy na ranczu, Sam wiele ze mną o tym rozmawiał. Teraz po prostu kazał mi jeszcze raz obiecać, że postaram się dostarczyć mu wiadomości o jego prawdziwym ojcu.

- Matt, ja... Nie możesz...

- I że nie będzie musiał już długo żyć bez ojca

- dodał Matt, pocałunkiem udaremniając jej protesty.

- On wie, że nie rzucam słów na wiatr. Nie odważyłbym się zresztą, bo on jest bardzo podobny do mnie.

Obiecałem mu, więc słowa dotrzymam, choćbym miał przewracać skały.

Allison wiedziała, że nikt i nic nie zmieni jego decyzji. Pozostawała jej nadzieja, że żadna z tych skał Matta nie przygniecie. Na szczęście tyle miała w tej chwili na głowie, że lęk o niego odsuwał się na dalszy plan.

Na przyjęcie pod gołym niebem zorganizowane przez Tima przyszło dużo ludzi, toteż wydarzenie to szeroko komentowano w prasie, radiu i telewizji. Allison znów wygłosiła przemówienie, a potem poprosiła słuchaczy o pytania. Oprócz blisko stu ochotników, którzy przynieśli dodatki do mięsa, przyszło jeszcze co najmniej pięć razy tyle zainteresowanych i głodnych wyborców. Dziennikarka, która wcześniej przygotowała w telewizji komentarz o problemach Allison, teraz pokazała to wydarzenie jako ważny wiec. To z kolei zachęciło następnych ludzi do ofiarowania pomocy i funduszy na rzecz kampanii.

- Sukces napędza sukces - oświadczył Matt któregoś wieczoru, zachwycony lawiną poparcia dla Allison, która nabierała coraz większego pędu. - Wszyscy kochają uciśnionych, ale jeszcze bardziej zwycięzców. - Uściskał ją. - A ty, kochanie, zwyciężasz.

- Może i tak - odrzekła - ale powiem ci jedno. W ostatnich dniach bardzo dojrzałam politycznie. Muszę przyznać, że na samym starcie byłam jeszcze bardzo naiwna. Na szczęście szybko się uczę. Ludzie też są chyba tego zdania. Poparcie rośnie dosłownie z godziny na godzinę. Zastanawiam się, jakie ciśnienie ma teraz Rita.

Pozwoliła sobie na żartobliwy ton, prawie pewna, że skoro kampania tak się rozwinęła, przeciwnicy zrezygnowali z taktyki silnej ręki. Nawet natarczywi Turnerowie nie pokazali się już publicznie,

żeby powtórzyć swoje roszczenia wobec Laurel i jej majątku. Allison wierzyła, że spokój zapanował dzięki temu, iż zwyciężać zaczęli wreszcie dobrzy ludzie! Matt popatrzył na nią w skupieniu.

- Jak na mój gust jest stanowczo za spokojnie - oświadczył. -
Zupełnie jakbyśmy siedzieli na mieliźnie w oceanie pełnym rekinów i
czekali, aż nad powierzchnią wody pokażą się groźne płetwy.

Allison drgnęła i nieco straciła humor.

- A może ci źli ludzie zrezygnowali? - podsunęła.

- Mała szansa. - Objął ją i przyciągnął do siebie.

- Oni tylko czekają na naszą nieuwagę. - Pocałował ją we włosy.

- Proszę, obiecaj mi, że o tym nie zapomnisz.

- Obiecuję.

Allison odwzajemniła pocałunek z nadzieją, że Mattem kierowało jedynie wisielcze poczucie humoru.

W dniu parady wciąż jeszcze nie umiała poważnie myśleć o
znajomości z Mattem i to determinowało jej zachowanie.

Uroczystości zaczęły się w upalne lipcowe przedpołudnie. Dokładnie
o dziesiątej ruszyła jarmarczna kawalkada. Matt przygotował dla
Allison specjalnie zabezpieczony terenowy samochód, który kupili po
przylocie ochrony. Na tyle pojazdu zamontowano kuloodporną
osłonę, więc Allison była pewna swego bezpieczeństwa. Nie
zachwycało jej jednak to, że będzie wyglądać jak złota rybka w
akwariium.

Chico z dumą poinformował ją, że samochód w nowej wersji
zniósłby nawet uderzenie małej rakiety. Na samą myśl o takiej
sytuacji Allison spociała się ze zdenerwowania. Na szczęście w

samochodzie zamontowano klimatyzację, więc nie groziła jej łaźnia parowa podczas przejazdu wśród tłumów z prędkością kilku kilometrów na godzinę.

Mimo to nie nabrała przekonania do tego pomysłu i koniecznie chciała zrealizować swój własny plan.

- Nie mogę jechać w czymś, co wygląda jak rekwizyt z kiepskiego filmu science fiction - oznajmiła Mattowi. - Doceniam to, co zrobiliście, ale stanowczo nie będę pierwszym kandydatem w historii, który chowa się przed ludźmi.

- Musisz. - Matt majstrował przy kamerze wideo, którą zamierzał sfilmować paradę. - Wymaga tego zdrowy rozsądek.

- Matt, na miłość boską, nawet gubernator jedzie konno! Zrobię z siebie pośmiewisko, jeśli zapakujesz mnie do tego pojazdu Batmana.

- Nie obawiaj się. Ludzie na pewno zrozumieją twoją sytuację.

- Wiadomo, że parę tygodni temu ostrzelano mój dom, ale od tamtej pory nic się nie zdarzyło. Matt, ludzie szybko zapominają o takich wydarzeniach.

Matt opuścił kamerę.

- Ale ja nie. Pojedziesz naszym samochodem.

- Pojadę konno, na klaczy Louisa Lepo. Louis zadzwonił któregoś dnia do M.J. i powiedział, że fantastycznie do siebie pasujemy, bo mamy grzywy tego samego koloru. - Roześmiała się z nadzieją, że ten żart rozładuje atmosferę. - To zły pomysł?

- Może być zabójczy. Allison się nachmurzyła.

- Posłuchaj, Matt. Wiem, że co do wielu środków bezpieczeństwa masz rację. Jesteś wspaniały. Odkąd się tu

sprowadziliśmy i przyjechali twoi ludzie, mam święty spokój, ale tym razem proszę, żebyś mi ustąpił. Ludziom z tego stanu nie spodoba się widok kandydatki na deputowaną w kuloodpornej klatce. To będzie obelga. Zupełnie jakbym chciała powiedzieć, że im nie ufam.

Zanim Matt zdążył coś odpowiedzieć, do pokoju wszedł Chico.

- Szefie - powiedział, wskazując kciukiem front domu - przy bramie czeka facet z koniem w przyczepie. Mówi, że to dla pani Ford na paradę. - Zmarszczył czarne, krzaczaste brwi, a jego zatroskana mina sprawiła, że pajęczyna blizn na lewym policzku zarysowała się wyraźniej niż zwykle. - Mam go spławić?

Matt popatrzył ze znużeniem na przyjaciela i potarł ręką twarz.

- Nie, Chico - powiedział. - Wpuść go. Allie, stanowczo ci to odradzam, ale nie będę nic na tobie wymuszał. Już mi dowiodłaś, że znasz swoich wyborców lepiej niż ja.

Spojrzał na nią z zatroskaniem, lecz mimo to zdołał się słabo uśmiechnąć.

- To dobrze, że tak mówisz. - Wstała i pocałowała go. - Bo mam rację.

Później tego samego dnia Matt w duchu przyznał Allison słuszność. Wszyscy uczestnicy parady zdawali się gwizdać na środki ostrożności. Nawet gubernator jechał bez ochrony, jeśli nie liczyć grupki zdenerwowanych ludzi szeryfa. Ta społeczność wyraźnie nie była przyzwyczajona do polityków, którzy się boją, i do tolerowania takich fanaberii. Najprawdopodobniej każdy, kto próbowałby się chować za szybą kuloodporną, przepadłby w wyborach z kretesem.

Na dorodnej klaczy złocistej maści, z bujną jasną grzywą i takim samym ogonem, Allison wyglądała doprawdy imponująco. Ubrała się na ten dzień bardzo zwyczajnie: w dzinsy i luźną, haftowaną koszulę, maskującą kuloodporną kamizelkę, a do kompletu włożyła kowbojskie buty. Włosy, nie skrepowane wstążką ani kłamrą, spływały jej na ramiona. Z uśmiechem od ucha do ucha wyglądała bardzo młodo. Nie miała i nie potrzebowała makijażu. Policzki jej pałały od słonecznego żaru i podniecenia parady, a niebieskie oczy lśniły jak szafiry. Gdyby nie to, że Matt zakochał się w niej znacznie wcześniej, zrobiłby to w tej chwili. Ten obraz Allison wart był zapamiętania na całe życie.

Klacz była specjalnie wytrenowana do udziału w paradach. Wcześniej Allison wspomniała Mattowi, że zna podstawowe zasady utrzymania się na koniu. Rzeczywiście, podstawowe! Matt uśmiechnął się do siebie, obserwując, jak Allison ze swobodą przeprowadza wierzchowca z jednej strony jezdni na drugą i niedaleko krawężnika pozdrawia tłum, prawie niezauważalnym ruchem nakazawszy klaczy wspiąć się na tylne kopyta. Potem gestem dłoni zachęciła widzów, by przyłączyli się do parady.

I ludzie rzeczywiście się przyłączali. Kochają ją, myślał Matt i pęczniał z dumy. Ludzie kochają jego kobietę!

Ale nie tak jak on. Śledził jej ruch kamerą, zamierzając wykorzystać przebitki z parady w późniejszych reklamowych materiałach wyborczych, bliżej listopada. Po drugiej stronie ulicy ubezpieczali ją Chico i Manuel, bacznie wypatrujący czegoś podejrzanego w ścisku. Matt się odprężył. Allison jest całkowicie

bezpieczna. Nikt nie zamierza jej teraz atakować, nie jest to odpowiedni czas. Napastnik jedynie rozwścieczyłby tłum i zwiększył poparcie dla Allison.

Parada sunęła po ulicach wyłączonych na tę okazję z ruchu. Gapie stali po obu stronach jezdni, bądź siedzieli na rozkładanych krzeselkach. Wszyscy byli w znakomitym nastroju - jak za dawnych, dobrych czasów. Spotykali się starzy przyjaciele, dzieci dokazywały lub, przycupnąwszy na krawężnikach, z zachwytem obserwowały korowód. Maszerowały zespoły muzyczne z miejskich i wiejskich szkół, przejeżdżały ozdobne platformy, wystawione przez miejscowych biznesmenów lub grupy interesów, ciągnęła się kawalkada starych samochodów z antycznym wozem strażackim, który sikał wodą na śmiejących się gapiów... Matt miał wrażenie, że jest świadkiem wydarzenia, które nawiązuje do najlepszych tradycji Ameryki.

W dzieciństwie nie miał okazji oglądać czegoś takiego, bo podróżował po całym świecie. Nagle przystanął, rażony myślą, że tego właśnie chciałby dla Laurel: życia bez pośpiechu, dorastania w miasteczku i regionie, który wybrali dla niej rodzice.

Podjął decyzję. Nazajutrz zadzwoni do swojego biura w Los Angeles i powiadomi pracowników o przeniesieniu firmy Glass Attacks Ltd. do Linville Springs. Dzięki faksom i modemom można wszak zarządzać firmą z każdego miejsca na kuli ziemskiej. Nie potrzebował już biura w wielkim mieście. I wielkiego miasta też już nie potrzebował.

Dlaczego w ogóle myślał o tym, żeby zabrać Laurel do Los Angeles? Byłaby tam jedna wśród milionów, a tu jest jedna na milion. I tutaj jest jej dom, w którym należy ją wychować. Tu jest jej dom, a tam jej matka... Znów podniósł kamerę do oka. I wtedy ujrzał broń wycelowaną w Allison.

Kolejny raz przeprowadzała wierzchowca na lewą stronę jezdni, gdy nagle odniosła wrażenie, że ktoś z olbrzymią siłą uderzył ją w plecy. Bach! Bach! Dwa następujące po sobie ciosy omal nie zwały jej z końskiego grzbietu. Pochyliła się nad łękiem siodła i gwałtownie nabrała powietrza. Tylko dzięki swym umiejętnościom, które doskonaliła od dziecka, i spokojowi klaczy nie spadła na ziemię. Mocno ściskając końską grzywę, usiłowała spokojnie oddychać.

Tłum zaczął krzyczeć. Zamroczona uderzeniami i brakiem tchu, nie mogła zrozumieć dlaczego. Przeżyła szok, ale nic jej się właściwie nie stało. Spróbowała z powrotem przyjąć prawidłową pozycję w siodle.

I znów poczuła uderzenie w plecy. Ponieważ jeszcze nie odzyskała równowagi, nie była w stanie utrzymać się w siodle. Padając na ziemię, usłyszała odległe wycie syreny. Ciekawe, kto jest ranny, pomyślała.

Upadła na ziemię przygotowana na silne uderzenie, więc mimo oszołomienia nie straciła przytomności. Pochwyciły ją mocne ramiona, jakiś głos, chyba znajomy, szeptał do niej uspokajające słowa. Zamrugła powiekami i usiłowała skupić na czymś wzrok. Gdzie się podział Matt? To nie on do niej mówi. A Chico? Ten wielkolud powinien być przy niej...

Tymczasem to obcy ludzie zajęli się nią i nieśli teraz wzdłuż szpaleru krzyjących gapiów. Chciała się uśmiechnąć i skinieniem ręki pokazać komuś w tłumie, że nic jej się nie stało, ale jakoś nikt nie zauważał jej rozpaczliwych, nikłych gestów.

- Matt? Gdzie jest Matt? - zawołała, ale z jej ust dobył się jedynie cichy jęk. Nikt jej nie usłyszał.

Ułożono ją na noszach i umieszczono w karetce. Znowu zamrugła oczami, szukając wzrokiem białą ubraną postać, kogoś, kto tu rządzi. Jakiś człowiek odwrócił się do niej. Zamknięto drzwi od zewnątrz.

Wtedy poznała tego mężczyznę. Nie zdążyła krzyknąć, bo przycisnął jej do twarzy mokrą szmatę. Zaczęła walczyć, wyrywać się, ale musiała zaczerpnąć tchu i obezwładniająca substancja wypełniła jej płuca.

Otoczyła ją ciemność.

Matt cisnął kamerę i puścił się biegiem w stronę Allison, ale tłum zamknął krąg wokół niej i nie wpuszczał nikogo do wnętrza. Z drugiej strony ulicy roztrącał ludzi Chico. Gdy wreszcie udało im się przebić do miejsca zdarzenia, znaleźli się przy klaczy, która stała ze zwieszoną głową i skórą lśniąca od potu, lecz Allison tam nie było. Jedynie czerwone plamy na jezdni znaczyły miejsce jej upadku.

- Co się z nią stało, do cholery? - Matt chwycił Chica za ramię i odwrócił go twarzą do siebie. - Gdzie ona jest?

- Nic nie widziałem, człowieku - odparł Chico. Na twarzy mężczyzny malowało się napięcie. - Ktoś ją stąd zabrał. - Ukłękł na jezdni i dotknął czerwonej substancji.

- Sanitariusz - powiedziała kobieta, wskazując w głąb ulicy. - Zabrali biedną dziewczynę prosto do szpitala.

Matt był gotów biec w kierunku wskazanym przez kobietę.

- Nie! - Chico chwycił go za nogę. - Popatrz, szefie! - Uniósł ociekające czerwienią palce.

Matt przykląkł na jedno kolano. Jeśli Chico chce mu coś pokazać, warto poświęcić temu chwilę. Dotknął czerwonej mazi i powąchał.

- Farba!

- Jasne! To wcale nie krew.

- Więc co...?

Tyle Matt zdążył powiedzieć. Gdy podniósł wzrok, stwierdził, że są z Chikiem otoczeni przez uzbrojonych jeźdźców. Ludzie szeryfa, przydzieleni do ochrony gubernatora, trzymali ich na muszce.

- Rzućcie broń - warknął któryś.

Matt w pierwszej chwili nie zrozumiał, o co chodzi. Potem uprzytomnił sobie, że obaj z Chikiem trzymają pistolety w dłoni. Zerknął kątem oka na przyjaciela, który skinął głową. Wolno opuścili broń i położyli ją na ziemi.

M.J. miał ochotę wyć albo stłuc kogoś na kwaśne jabłko, najlepiej Matta Glassa. Natychmiast po strzelaninie Matt i Chico zostali aresztowani. M.J. przyszedł więc do aresztu na widzenie, a jego współnik usiłował tymczasem wydostać tę parę na wolność, składając kaucję.

- Ty zawsze musisz postawić na swoim! - krzyknął na widok Matta. - Po cholere ci te wszystkie bzdety? Spluwy i diabli wiedzą co jeszcze. Pomogło to coś?

Matt milczał.

- Guzik pomogło! - M.J. nerwowo przeczesał dłonią włosy. - Guzik z pętelką!

Matt wlepił w niego wzrok. Oczy miał jak dwa węgle. M.J. nieco złagodniał. Widział, że ten cholerny kowboj cierpi jak potępieniec.

- Mogę cię stąd wyciągnąć, Matt, ale...

- Porwali ją - powiedział Matt. - Nie zabrali jej do szpitala. Nikt nie wie, gdzie ona jest. Porwali ją, M.J., i wiesz to równie dobrze...

- Wcale nie wiem! - Adwokat podniósł ręce do góry. - Wiem tylko, że ktoś strzelił do Allison z pistoletu zabawki na pociski z farbą. Spadła z konia i ktoś wciągnął ją do fałszywej karetki. Na miejscu glin uznałbym to za świetny chwyt reklamowy, więc nie mogę ich winić, że myślą to, co myślą!

- Sam wiesz, że nie było żadnego chwytu reklamowego. Allison nie wymyśliłaby takiego triku.

M.J. znowu potarł czoło.

- Wiem, Matt. - Głośno wypuścił powietrze i opadł na krzesło. - Ale tak to widzą władze. Co gorsza, gubernator był pięć metrów od rzekomo postrzelonej Allison i jego chłopcy aż się spienili. Są pewni, że Allison chciała w ten sposób zrobić sobie tanią reklamę.

Najchętniej przybiliby ciebie i Chica do drzwi sądu za uszy albo i za coś bardziej wrażliwego.

Matt uśmiechnął się posepnie.

- Wiem. Nie zachowywali się najdelikatniej, gdy zamykali nas za zakłócenie porządku publicznego i ukrywanie broni. - Jego uśmiech zniknął. - Wydostań mnie stąd, M.J. Znajdę ją. To potrafię. Tylko musisz zapewnić mi trochę swobody! - Zacisnął dłonie tak mocno, że pobiełały mu knykcie.

- Właśnie się staram - odrzekł M.J. - A jak będę mógł pomóc potem? Ona jest moją najbliższą krewną i najlepszym przyjacielem. Muszę jej pomóc.

Matt przez chwilę przyglądał się adwokatowi. Potem odpowiedział mu na pytanie.

Wiele godzin później, uściwszy astronomiczną kaucję, Matt i Chico wrócili do domu Essexów przygotować strategię walki. Zastali tam Gunthera, który pilnował Laurel. Zgodnie z oczekiwaniami Matta, był też Manuel. Po aresztowaniu Matta i Chica Manuel zszedł z oczu ludziom szeryfa i poczekał, aż sytuacja się uspokoi, tak samo jak Christian. Obaj zniknęli ze sceny razem. Większość materiału dowodowego zdeptały tłumy ludzi i konie, ale Manuel uratował coś, co mogło pomóc w wyjaśnieniu losów Allison.

Miał kamerę wideo Matta.

Allison mocowała się z łańcuchami na ramionach i srebrną taśmą, którą zaklejono jej usta. Czuła, że musi krzyknąć, bo to pomoże jej przetrwać paraliżujący strach. Była jednak w stanie wydobyć z siebie jedynie zduszone, piskliwe dźwięki, toteż zrezygnowała. Było jej również niedobrze i bała się, że zwymiotuje, a

mając zatkane usta, mogłaby się udławić. David Benning poklepał trzymaną w dłoni strzykawkę i uśmiechnął się do niej.

- Dobrze, Allison. Właśnie tak. Oszczędzaj siły. Będiesz ich potrzebować na długą podróż. Długą podróż przez ciemność.

Allison zacharczała.

- No, no. spokojnie. - David odłożył strzykawkę na kawałek białej gazy. - Musisz panować nad sobą. Co by powiedział Paul, gdybyś na spotkanie z nim przyszła klnąc?

Wydała z siebie nieartykułowany dźwięk.

- Tak, moja miła Allison. - David pochylił się i poklepał ją po policzku - delikatnie, prawie po ojcowsku. - Jestem tutaj, żeby dopilnować twojego połączenia z jedyną prawdziwą miłością twojego życia. Z twoim mężem Paulem.

Otworzyła szeroko oczy, a jego usta wykrzywił grymas podobny do pośmiertnego.

- Tak, to ja do ciebie dzwoniłem, żeby ci przypomnieć, jak wielkie masz wobec niego zobowiązania. Źle postąpiłaś, wciągając do łóżka innego mężczyznę. I głupio ci się zdawało, że kobiety będą miały nie gorzej od mężczyzn. Co za straszny pomysł! Ricie nigdy nie wpadłoby to do głowy. Ale z tym już koniec, i dobrze. Cięży na tobie wiekuiste zobowiązanie wobec Paula. Zbliża się czas, żebyś je wypełniła. Szkoda, że musisz najpierw umrzeć. - Zachichotał. - Ale takie jest życie, prawda?

Odrzucił głowę do tyłu i śmiał się, i śmiał, jakby opowiedział najśmieszniejszy dowcip na świecie.

Allison wzdrygnęła się, zamknęła oczy i postanowiła spędzić ostatnie minuty życia na myśleniu nie o szaleńcu, który trzymał ją w niewoli, lecz o swoich dzieciach, o Laurel i Matcie. O człowieku, który, teraz już w to nie wątpiła, był jej jedyną prawdziwą miłością w tych kilku chwilach życia, jakie jej jeszcze pozostały. Pomogło jej to zapanować nad strachem.

RS

Matt wsunął kasetę do magnetowidu i włączył urządzenie. Jego ulubiony pokój w domu Essexów stał się zaimprovizowaną salą konferencyjną, a właściwie miejscem narady wojennej. Sześciu mężczyzn oglądało film, siedząc nieruchomo.

Jedyną poruszającą się osobą w tym pomieszczeniu była Laurel, która rysowała coś przy oknie. Fred spała na podłodze niedaleko dziewczynki, ułożywszy się na samotnej, słonecznej plamie. Gunther uważniej spoglądał na małą niż na monitor. Opieka nad Laurel należała do jego obowiązków; Allison zajmowali się tamci.

Na ekranie pojawiła się Allison. Mattowi omal nie pękło serce, gdy na nią spojrział. Ileż było w niej energii i radości życia, gdy siedziała na grzbiecie pięknej klaczy. Przewinął taśmę do przodu.

- Szukamy tego faceta, który do niej strzelał gumowymi pociskami. Podobnymi do tych z farbą, ale o większej sile rażenia. Tym zwałił ją z konia. Przynajmniej przez chwilę miałem tego drania w wizjerze, więc powinniśmy go znaleźć.

- A jak go znajdziemy, to co dalej? - spytał M.J. - Jak zamierzasz zidentyfikować człowieka, nie mając żadnych danych oprócz twarzy? Moim zdaniem to jest szukanie igły w stogu siana.

- Owszem. - Matt przełączył magnetowid na odtwarzanie. Taśma była już bardzo blisko potrzebnego miejsca. - Ale w tym fachu pracuje Miranda, prawda? Musi znaleźć tę igłę. - Rozległ się dzwonek u drzwi i Matt zwrócił się do Chica: - Otwórz, proszę.

Chico wyszczerzył zęby i wstał. M.J. popatrzył na niego ze złością, ale się nie odezwał. Dawno już porzucił nadzieję na odzyskanie względów Mirandy. Mogli pozostać przyjaciółmi, ale jako kochanek dostał wymówienie. Prawdopodobnie Chico jest po prostu w jej typie. M.J. nie żywił złudzeń co do własnej osoby, gdy wchodził w grę konflikt intelektu z mięśniami. Tego ostatniego stanowczo nie miał w nadmiarze.

Po chwili Miranda i Chico weszli do pokoju. Miranda była spokojna, lecz śmiertelnie poważna.

- Dostałam wykaz wszystkich posiadłości Rity Morely i Davida Benninga w tym stanie - powiedziała, wręczając Mattowi komputerowy wydruk. - Ponieważ wcześniej interesowałam się trochę ich finansami, więc nie miałam kłopotów z zebraniem tych danych. Jeśli to oni ją porwali, a tak sędzę, to najprawdopodobniej trzymają ją gdzieś na bezludziu. Musi to być miejsce, w którym czują się bezpiecznie. Na pewno warto sprawdzić tę listę.

- Dzięki. - Matt wziął od niej kartki. - Siadaj. Zaraz będziemy ci wybierać następną ofiarę.

- Janda! - odezwała się Laurel, zaskakując wszystkich. Dotąd była tak cichutko, że zapomniano o jej obecności. - Janda, gdzie mama? - Dziewczynka wstała z ziemi i chwiejnym kroczkiem podeszła do Mirandy, wyciągając ku niej ramiona.

Kobieta pochyliła się i wzięła dziecko na ręce. Gdy się wyprostowała, w oczach lśniły jej łzy.

- Nie martw się, kochanie - powiedziała cicho. - Mama niedługo będzie z tobą.

- Mamma... - Laurel przetarła oczy dłonią. Matt stęzał, ale Laurel widocznie zadowolona się otrzymaną odpowiedzią, bo wbrew jego obawom nie zaczęła płakać. Nie opuściła jednak Mirandy. Wdrapała się jej na kolana i coś do siebie cicho mruczała.

Matt włączył pilotem magnetowid. Wkrótce ukazała się finałowa scena, więc zatrzymał kadr.

- Tu jest - powiedział, wskazując palcem. Christian zrobił kilka zdjęć specjalistycznym sprzętem fotograficznym. - Znacie go? - zwrócił się do M.J. i Mirandy.

M.J. przyjrzał się twarzy mężczyzny.

- Nie sądzę. To pewnie jakiś miejscowy chuligan...

- Ja go poznaję. To jeden z kumpli Teddie'ego Bakera - powiedziała Miranda. - Niech mnie...

- Dajcie mi kilka zdjęć. - M.J. wstał. - Jeśli dodać je do zeznań, można będzie pokazać taki materiał gubernatorowi. To porządny facet, Matt. Miałeś pecha, że wkurzyłeś go pukawkami i zepsuciem parady. Poza tym na pewno przez chwilę porządnie się bał. Myślał, że to do niego strzelają.

- Rozumiem go - odrzekł sucho Matt.

- Moim zdaniem na tej podstawie możemy podjąć błyskawiczne działania prawne. - M.J. postukał w ekran monitora. - Nawet ja widzę pistolet w dłoni tego mężczyzny. Z takim dowodem mogę się postarać o nakaz aresztowania...

- Zanim go zdobędziesz, Allison może już... -Matt zerknął na Laurel. - Mniejsza o to. Powiedzmy po prostu, że nie stać nas na czekanie, aż obróca się tryby maszyny prawnej. Manuel, Chico,

Christian: wiecie, co robić. Gunther, nadal pilnujesz Laurel. Włos jej nie może spaść z głowy.

Mężczyźni skinęli głowami. Gunther wziął małą na ręce. Matt wiedział, że gdyby to było konieczne, Gunther oddałby za nią życie. Tak samo jak on za Allison!

Matt wstał.

- Do roboty! - Odwrócił się znów do M.J. - Ta twoja machina musi zadziałać w czasie, gdy my będziemy robić swoje. Wpraw ją w ruch. Sprowadzimy do parteru każdego, kto śmiał tknąć Allison.

Rozumiesz?

M.J. skinął głową.

- Rozumiem - rzekł stanowczo. - Aż za dobrze!

Była tak przerażona, że zapadła w odrętwienie. Ten stan nawet pomagał jej myśleć, gdyż strach odsunął się na dalszy plan. Rozmyślała więc, snuła przypuszczenia i nawet odważyła się mieć trochę nadziei. Trudno jej było uwierzyć, że jeszcze żyje. Nie rozumiała, dlaczego wciąż jest jej dane widzieć i słyszeć, oddychać i czuć. Powinna już być martwa, ale bynajmniej nie zamierzała przyspieszać, swojego końca. David Benning jest dostatecznie szalony. Może ją zabić w każdej chwili, gdy znudzi mu się zabawa w kotka i myszkę.

Tymczasem „gra” trwała już półtora dnia, a przynajmniej tak jej się zdawało. Może nawet dłużej. Spała nieregularnie i niespokojnie, straciła więc poczucie czasu. Leżała na twardej prycy, łańcuchami przykuta za ręce i nogi do zaczepów w podłodze. David Benning siedział obok i mówił. Mówił i mówił bez końca o swojej przeszłości,

o politycznej karierze. Opiewał sukcesy, rzeczywiste i wyimaginowane.

Potem zadawał jej pytania niczym profesor sprawdzający wiedzę studentów po wykładzie. Jeśli udzieliła spodziewanej odpowiedzi, dostawała małą nagrodę: zezwolenie na wyjście na dwór, kąś czegoś do jedzenia lub nawet godzinę snu.

Wszystkie te przywileje były oczywiście warunkowe. Wciąż czuła pistolet przystawiony do karku. Benning pozwalał jej na samotność tylko w toalecie, lecz i tam musiała się spieszyć.

Uświadomiła sobie, że ma do czynienia z chorym człowiekiem. Był niebezpieczny jak grzechotnik lub puma zapędzona do rogu, toteż Allison obawiała się, że śmierć jej nie ominie. Z takim człowiekiem nikt nie ma szans. To tylko kwestia czasu.

Postanowiła ratować życie najdłużej jak się da, nawet gdyby miało to oznaczać znoszenie tygodniami tortur psychicznych. Niewielkie miała nadzieje na ratunek. O swoim więzieniu wiedziała tylko tyle, że znajduje się z dala od cywilizowanego świata. Odkąd odzyskała przytomność, słyszała jedynie śpiew ptaków i brzęczenie owadów. Nie było pomruku samochodowych silników ani innych oznak, świadczących o przebywaniu w pobliżu ludzi. Nie, była tu sama z Davidem, na odludziu, które dla niej stworzył. Mogła tylko liczyć na to, że Davida w końcu złapią. Wiedziała, że Matt i M.J. się o to postarają.

Bardzo chciałyby ich uściskać i podziękować za to, że ją pomścili, było to jednak wysoce nieprawdopodobne. Znów poczuła napływające do oczu łzy i raz jeszcze zdołała się powstrzymać od

płaczu. W tej sytuacji nie miało to sensu. Należało myśleć i odpoczywać, a nie płakać!

Chwilowo była w pomieszczeniu sama. David skończył właśnie sesję zwierzeń na temat swojej kadencji przewodniczącego ważnej komisji senackiej, zajmującej się sprawami Ameryki Środkowej. Ponieważ dostatecznie dowartościowała go odpowiedziami, pozwolił jej trochę pospać. Obiecał jej nawet całonocny odpoczynek, ale nie była senna.

Z natężenia światła na dworze wносиła, że popołudnie powoli przechodzi w wieczór. Światło miało barwę złocistą, nie białą, mogła więc być godzina piąta albo nawet szósta. David prawdopodobnie potrzebował trochę snu, więc mogła liczyć na chwilę dłuższej samotności. Wychyliła się z pryczy na ile mogła i przyjrzała łańcuchom.

Były stalowe, całkiem zwyczajne, takie jak kupuje się w sklepie z artykułami metalowymi. Lśniły nowością, nie było co marzyć o przerwaniu choćby jednego ogniwa. Ale zaczepy były stare. Szarpnęła ramieniem i w powietrzu zawirował obłoczek kurzu.

Poczuła tak silny przypływ nadziei, że omal nie krzyknęła z radości. Łańcucha nie mogła pokonać, ale zaczepy... Znowu szarpnęła ramieniem. I znowu...

- Gdzie jest Josh? - spytał Matt. Od porwania nie minęły jeszcze dwie doby. Wepchnął właśnie resztę sprzętu i uzbrojenia na tył ich samochodu terenowego, przywróconego do pierwotnego stanu. - Zdaje się, że miał tu się zjawić godzinę temu. Wczoraj wieczorem

zgodził się być zapasowym kierowcą. Powiedziałeś mu, o której ma przyjechać, nie?

- Powiedziałem i zgodził się - odrzekł M.J. - Nie wiem, co się z nim dzieje. Ale Josh nie jest typem bohatera. Oczywiście ja też nie, ale mnie to... niech będzie „zadanie” dotyczy osobiście. Jego nie, a wie, że nie jest niezbędny. Może po prostu ma cykora.

- Może.

Matt zerknął na panoramę miasteczka. Na wschodzie niebo jaśniało - wstawało słońce. W dole tu i ówdzie paliły się światła. Wciąż jeszcze był lipiec, więc świtało około czwartej rano. Matt nie był zadowolony, że tak wcześnie. Wolałby zaatakować w ciemnościach, lecz niestety, cała noc upłynęła na przygotowaniach.

Wszyscy, z M.J. włącznie, byli ubrani w polowe kurtki wojskowe i mieli twarze pomalowane na czarno. Blondyni: Matt, Gunther i Christian, zakryli włosy czarnymi chustami, w stylu żołnierzy amerykańskich z wojny wietnamskiej. Tylko M.J. nie miał broni. Proponowano mu pistolet, ale odciął się od wszystkiego co strzela, utrzymując, że byłby wtedy bardziej niebezpieczny dla przyjaciół niż dla wrogów. Miranda, która umiała posługiwać się bronią, nie dołączyła do grupy. Wolała zostać z Laurel, przejmując zadanie Gunthera. Swoje już zrobiła.

Z obowiązków wywiązała się znakomicie - odkryła miejsce uwięzienia Allison. Po przeprowadzeniu analizy listy nieruchomości wytypowała najbardziej prawdopodobne kryjówki. Gdy zaś Matt spojrział na mapę, wybrał jedną z nich bez wahania, jakby postawiono tam specjalny znak. Izolowane miejsce było łatwe do obrony, a w

każdym razie byłoby, gdyby Matt nie miał z sobą specjalnie wyszkolonych ludzi.

Raz jeszcze spojrzął na miasteczko. Josh miał jechać z nimi. Nieobecnością sprawił im kłopot. Poprzedniego dnia zadzwonił i bardzo prosił, żeby go włączyć do grupy. Nalegał z takim uporem, że Matt nie był w stanie mu odmówić. Ale brak Josha nie wróżył dobrze. Po pierwsze Josh znał częściowo ich plany, a po drugie dostał rolę, którą teraz musiał przejąć kto inny. Matt popatrzył na M.J., który był wyraźnie nieswój.

- Wiesz, co masz robić - rzekł Matt. - Bez Josha bardziej ryzykujemy.

M.J. zrobił ponurą minę.

- Wiem - powiedział - tylko na co mi do tego wiedza z uczelni?

Mimo lęku o los Allison Matt zachichotał.

- To jest inny rodzaj uczelni - wyjaśnił. - Jestem dobrym wykładowcą, więc możesz się odprężyć.

- Zaraz zemdleję z odprężenia - odparł M.J., wykrzywiając usta w grymasie, który był namiastką uśmiechu. - Tylko jeśli rzeczywiście mi się to zdarzy, zostawcie mnie na miejscu.

- Tego możesz być pewien. - Matt odwrócił się. M.J. wiedział, że nie był to żart.

Wyjechali na drogę i zaczęli okrążyć podnóże góry. Gdy słońce zabarwiło niebo na kolor czerwonopomarańczowy, zjechali na wielką łąkę i zaparkowali samochód w ukryciu, w kępie sosen. Matt kazał wszystkim wysiąść. Stanęli wokół maski samochodu, a Matt wyjął mapę topograficzną góry i rozłożył ją tak, żeby wszyscy widzieli.

- Tutaj jest chałupa Benninga - powiedział, wskazując punkt czubkiem noża, po czym zarysował szlak nożem na mapie. -
Dojdziemy tam w ten sposób.

M.J. słuchał, stojąc nieco z tyłu. Matt mówił cicho, powoli i powtarzał każde zdanie w trzech językach. Jasne było jednak, że piątka fachowców nie ma najmniejszych kłopotów z porozumieniem. Zachowywali się, mówili i myśleli jak zgrany zespół. Wszak robili już to samo w innym miejscu i czasie.

M.J. nie miał jednak za sobą takich przeżyć i okropnie się bał. Najbardziej nie o siebie, choć musiał przyznać, że i to ma znaczenie. Ale przede wszystkim bał się o Allison. Wiedział, że jeśli zawali swoją część zadania, Allison może zginąć. I inni mogą zginąć. Cholera, on też może zginąć. Nic z tego, co robił do tej pory, nie przygotowało go do tego zadania. Czy ma dość odwagi, by mu podołać?

Matt odwrócił się i popatrzył na adwokata.

- W porządku, M.J.?

- Nie do końca.

- To dobrze. - Matt złożył mapę i schował nóż do pochwy. -

Gdybyś myślał, że w porządku, dołożyłbyś mi zmartwień. Bój się. Łatwiej wtedy dbać o własną skórę.

Trochę dodał mu tym otuchy.

Gdy tylko poranne słońce oświetliło łąkę, weszli w las. M.J. przełknął ślinę, żeby zwalczyć coraz silniejsze uczucie mdłości, i skupił wzrok na plecach Matta. Pozostali mężczyźni przemykali wśród drzew niemal niewidzialnie. M.J. był pewien, że przydeptuje

absolutnie każdy suchy liść i każdą kruchą gałązkę. Czuł się jak słoń w składzie porcelany.

Wkrótce dotarli do chałupy. M.J. przykucnął za drzewami otaczającymi polanę, a tymczasem Matt z resztą wyruszyli na zwiad. Musieli przygotować atak. Usłyszał śpiew ptaków, witających nowy dzień, prychanie wiewiórki, której przeszkodzono w zbieraniu orzechów, szelest wiatru w koronach sosen i...

Suchy huk wystrzałów w chałupie. Krzyk.

Allie!

Następny krzyk, a właściwie wrzask. Tym razem męski. Wściekły.

M.J. zerwał się i puścił biegiem w stronę chałupy. Matt zdołał go chwycić i pchnąć na ziemię.

- Za mną! - warknął. - Idziesz za mną! M.J. skinął głową, choć serce wyrywało mu się z piersi. Wstał i otrzepał ubranie, potem zaczerpnął powietrza i zaczął się modlić. Czuł, że się uspokaja.

Podążał za Mattem, mężczyźni tymczasem rozciągnęli się w tyralierę i otaczali chałupę. M.J. pomyślał, że z bronią w ręku i czarnymi twarzami muszą wyglądać jak diabły z piekła rodem.

W chałupie wrażenie było jeszcze gorsze. M.J. wpadł do wnętrza tuż za plecami Matta, położył się jednak natychmiast na ziemi na wypadek, gdyby strzelano. Pomieszczenie zdążył obejrzeć wyraźnie. Była to nora szaleńca, pełna śmieci, książek, czasopism, gazet i innych papierzyk, pokrywających ohydnie cuchnące góry odpadków. Trudno było tu oddychać.

To jednak jeszcze nie był szczyt koszmaru. Z izby w głębi chałupy dobiegł ich przenikliwy, nieludzki wrzask. Potem rozległ się głos Allison, krzyczącej na kogoś. Odpowiedział jej mężczyzna.

Josh Henderson!

Matt sprawdził, czy M.J. za jego plecami nie robi z siebie łatwego celu, i doskoczył do drzwi prowadzących w głąb chałupy. Przywarł plecami do drewnianej ścianki obok, z bronią gotową do strzału. Manuel wsunął się do chałupy i dał mu znak, że w drugiej izbie nie ma okna. Można było tylko się domyślać, ile osób jest w środku. Matt skinął głową.

A potem wkroczył w ostatni krąg piekła.

Izba była ciasna. Przy przeciwległej ścianie stała prycza. Nie było ani okna, ani drugich drzwi. Josh Henderson, oparty o ścianę po prawej ręce Matta, z oczami szeroko otwartymi ze strachu, trzymał w drżących dłoniach pistolet. A na pryczy...

Na pryczy leżała Allison spętana łańcuchami. Trzema łańcuchami. Czwarty jakoś udało jej się wyrwać z podłogi, choć wciąż jeszcze zwisał jej z nadgarstka.

Właśnie tym czwartym owinęła szyję Davida Benninga, jakby go chciała udusić. Kolanem przyciskała mu plecy i z całej siły ciągnęła za łańcuch.

Wyglądała jak walkiria lub anioł zemsty. Ale to nie ten widok zmroził Matta, lecz widok Josha, który wcale nie mierzył w Benninga. Mierzył w Allie !

Allison zauważyła Matta pierwsza.

- Uważaj na Josha! - krzyknęła. - Jest z nimi!

Josh obrócił się, kierując broń ku Mattowi.

- Nie ruszaj się, bo strzelę! Przysięgam! - Dłoń mu zadrgała, ale jakoś opanował drzenie. - Umiem strzelać, wiercie mi.

Matt opuścił pistolet. Za sobą usłyszał ukradkowe ruchy kolegów i ledwie dosłyszalny szept najpierw po niemiecku, potem po hiszpańsku.

- Wierzę ci, Josh - powiedział. - Popatrz, odkładam broń. - Położył pistolet na podłodze i wyprostował się z rękami uniesionymi do góry. - Nie musisz się mnie bać.

- Boję się - krzyknął Josh. - Ciebie, jej i tego szaleńca. Allie, puść go! Zrób to, bo inaczej zastrzelę Matta.

Allison puściła łańcuch. David upadł na podłogę kaszłąc, dławiąc się i łapczywie chwytając powietrze.

- Nie rób krzywdy Mattowi, Josh. Proszę - błagała. - Popatrz, masz broń. On jest nie uzbrojony. Jeszcze możesz się z tego wyplątać. Uciekaj. Pozwolimy ci odejść.

- Nie mogę. - Josh drżał i spływał potem. Kurczowo zaciskał zęby i był przerażony, lecz jednocześnie miał poczucie władzy. To niebezpieczna, wybuchowa mieszanka. Kopnął osłabłe ciało Davida Benninga. - On jest moim szefem. Ma dowody, że szpiegowałem was i donosiłem mu. - Popatrzył na Allison. - Byłem pewien, że przegrasz. Wszyscy mówili...

- Ty mały skunksie... - zacharczał David. - Zniszczę cię...

- Za późno, Davidzie - powiedział Josh, nagle dużo pewniejszym tonem. - Chyba wiem, co muszę zrobić. - Zerknął na Allison. - Nie mam wyboru. Wszystkich was zastrzelę. - Zamyślił się na chwilę, na

ustach zaigrał mu cwaniacki uśmieszek. - Jeśli spalę tę chałupę, nikt się nigdy nie dowie, co tu naprawdę zaszło. Osobiście nie jestem mordercą, tak jak David, ale zrozumcie, że nie mam wyboru. - Otarł pot z twarzy. - To jedyny sposób, żeby... aaach!

Zdanie urwało się nagle, bo ściana za jego plecami z wielkim hukiem runęła na podłogę. Zgodnie z oczekiwaniem Matta jego ludzie przejęli inicjatywę. Postanowili zaatakować przez ścianę, wybili więc dziurę ładunkiem wybuchowym, dostatecznie silnym, by wywołał zamierzony skutek, lecz nie poranił ludzi w środku. Matt spodziewał się wszystkiego, ale to przeszło jego najśmielsze oczekiwania. Jego ludzie byli absolutnymi geniuszami w posługiwaniu się plastikiem. Huk, chmura pyłu i drzazg odwróciły uwagę Josha właśnie na moment, którego Matt potrzebował.

Nie rzucił się jednak na Josha, lecz ku pryczy i zakrył Allison własnym ciałem. Rozległy się strzały i krzyki. Matt usłyszał groźbę Josha i obrócił się twarzą do niego...

Zobaczył zrywającego się z rumowiska M.J., a w chwilę później zaskoczonych Josha trafił w szczękę silny cios. Josh upadł na podłogę z jękiem. M.J. pochwycił pistolet i stanął nad nim, trzymając broń tak, jakby był to szykujący się do ataku grzechotnik.

- Dobra robota! - Gunther pierwszy dopadł adwokata. Klepnął go po plecach i ostrożnie wyjął mu pistolet z drżącej dłoni. - To był cios ja!

- Dziękuję za uznanie - odparł pewniejszym głosem M.J. I usiadł na podłodze, bo nogi odmówiły mu posłuszeństwa. - Miło mi to słyszeć. Ale zdaje się, że złamałem rękę.

Gunther, nie przestając się śmiać, nachylił się nad M.J., żeby obejrzyć dłonie.

Matt spojrzał na przygniecioną do pryczy Allison.

- Nic ci nie jest? - spytał, szybko sprawdzając, czy nie widzi śladów poważnych obrażeń. Nic nie zauważył, ale przecież Allison była więziona ponad dwa dni. - Co oni ci zrobili-? Czy...?

- Nic mi nie jest, ale szczerze mówiąc, wyglądasz jak wcielony diabeł - powiedziała, obejmując go wolną ręką. - Och, jak się cieszę, że cię widzę!

Pocałowała go tak mocno, że nie mógł oddychać z wrażenia. Niepokoiło go tylko jedno.

- Nie mogę doczekać się odpowiedzi - szepnął, trzymając ją w ramionach mocniej, niż przedtem więziły łańcuchy. - Pobierzemy się?

Uśmiechnęła się.

- Uwolnij mnie, to...

- Nie. Powiedz teraz, zanim zdejmę ci łańcuchy.

- Tak, Matt. - Czuł, jak te słowa spływają mu prosto do serca. - Pobierzemy się. Kiedy myślałam, że umrę, postanowiłam, że jeżeli jakoś mi się uda przeżyć, wyzwolę się od przeszłości. Nic mnie nie obchodzi to, co było przedtem, zanim cię poznałam. Ważne jest to, co jest teraz, i ważni jesteśmy my. Widocznie było nam pisane... A więc tak!

- Jak najszybciej?

- Tak!

Pocałował ją, przekonany, że ich miłość jest prawdziwym cudem.

Oswobodzenie Allison zajęło sporo czasu. Podczas gdy Matt pracował nad rozłączeniem ogniów, jego ludzie wypchnęli bełkoczącego coś Benninga z rumowiska i linami przywiązali go do drzewa na polanie przed chałupą.

Gdy wszyscy razem oczekiwali na dworze przybycia szeryfa, Josh zaczął mówić, a właściwie się chełpić.

- Od urodzenia masz niefort - burknął w stronę Allison. -
Wszyscy to wiedzą i na tym budowali swoje plany. Rita nawiązała kontakt z Davidem, który uznał, że jesteś dla niej najlepszym potencjalnym przeciwnikiem, bo w wyborach na sto procent padniesz. To on stworzył Ritę, a ja po cichu pomagam mu od lat. Mógłbym opowiedzieć ci o nim takie historie, że włos się jeży! Zrobiłbym dla niego wszystko. On potrzebował tego mandatu dla Rity.

- Ale sprawy źle się ułożyły. - M.J. potarł dłoń. -I dlatego wasza banda wpadła w panikę.

- Niezupełnie. - Josh spojrzął na niego złowieszczo. - Usunięcie Allison na stałe było planem numer dwa, a może nawet trzy, nie pamiętam. W każdym razie rozmawialiśmy o tym. Jak Bakerowi nie udało się was rozwalić w domu, musieliśmy zmienić plany.

- Tylko że David miał mnie zabić od razu, a nie więzić i torturować. Zgadza się? - wtrąciła Allison.

- Jasne. - Josh przeszył wzrokiem podekscytowanego Benninga.
- On po prostu sfiksował. Zdaliśmy sobie z tego sprawę dopiero parę dni temu. Kompletnie zwariował przez te telefony, kiedy udawał Paula Forda. - Uśmiechnął się do Allison. - Wiesz, co się stało z twoim mężem, prawda?

Allison poczuła zimny dreszcz.

- Z tego, co mówił David, wiem, że istnieje związek między śmiercią Paula a działalnością Davida w Komitecie do Spraw Ameryki Środkowej. Domyślam się, że...

Josh wybuchnął śmiechem.

- Teraz już się nie dowiesz. Z Davidem jest zero kontaktu. A szkoda.

- Jeśli coś wiesz na ten temat, Henderson, to radzę, żebyś powiedział - odezwał się Matt. - Bo inaczej szeryf może zastać tu zupełnie inny widok, niż jest w tej chwili.

- Nie mam o niczym pojęcia - oświadczył Josh z chłodnym grymasem na ustach.

Matt podszedł do niego bliżej. Wyciągnął nóż i popatrzył na niego w zadumie.

- Naprawdę! Przysięgam! - Josh się skulił. -M.J., powiedz mu, że nie może mnie tknąć! To jest... to jest niezgodne z prawem!

- Phi! - skomentował M.J., odwracając się twarzą ku drzewom. - Jakoś nic nie widzę, Josh. I nie rozumiem, co mówisz. Mógłbyś powtórzyć?

Po dłuższej chwili i coraz groźniejszych obietnicach Matt uznał, że Josh rzeczywiście nie zna prawdy. Znał ją jednak David Benning, a dowody musiały być gdzieś tu, w tej chałupie. David stracił kontakt z rzeczywistością, ale przecież musiał przechowywać świadectwa swych czynów i materiały, które mogłyby mu posłużyć do zwalczania przeciwników i wrogów.

Matt odwrócił się do swoich ludzi i rozkazał uprzątnąć ślady nielegalnej akcji prywatnego oddziału szturmowego. Gunther, Manuel i Christian zniknęli wśród drzew, zabierając z sobą resztki materiału wybuchowego, którym rozwalili ścianę chałupy. Chico nadal pilnował Josha. Jego obecność miała pokazać władzom, że Matt i M.J. nie byli zdani tylko na swoje siły. W coś takiego nikt by nie uwierzył. Cała prawda miała jednak na zawsze pozostać ich tajemnicą. Matt uznał bowiem, że policja będzie musiała wyciągnąć wnioski z tego zdarzenia bez jego pomocy.

Nad ich głowami zahuczały silniki śmigłowca szeryfa. Matt zwrócił się do Allison:

- Chciałbym jeszcze obejrzeć wnętrze tej chałupy, zanim wejda tam gliny - powiedział. - Czy możesz ich trochę zatrzymać?

Przepraszam, ale to ważne. - Dotknął jej poranionego nadgarstka. - Może zatrudnij ich najpierw przy tym.

Spojrzała mu w oczy.

- Spróbuję - powiedziała zdecydowanie. - Kocham cię.

- Wiem. - Matt dotknął jej twarzy, lecz nie śmiał pozwolić sobie teraz na nic więcej. - Ale nie kochasz mnie tak bardzo jak ja ciebie. To po prostu niemożliwe. Żaden człowiek nie może kochać bardziej niż ja. -

Opuścił dłoń. - Chciałem dla ciebie umrzeć, Allison. Teraz chcę żyć dla nas! No, do roboty. Łądują.

Allison poczuła, że rozsadza ją radość. Bardzo chciała zapomnieć o wszystkim i po prostu trzymać Matta w objęciach, musiała jednak odwrócić się w stronę śmigłowca, który znalazł się na

polanie. Ruch powietrza poderwał z ziemi drobne gałązki. Z wnętrza maszyny wysypali się ludzie. Mocno ściskając nadgarstek, Allison podbiegła do dowódcy i odegrała przedstawienie swego życia.

M.J. w pierwszej chwili osłupiał. Bandyci byli obwiązani jak świąteczne prezenty, a tymczasem jego kuzynka najwyraźniej dostała ataku hysterii. Przez cały czas zachowywała się jak lwica, a teraz nagle zaczęła szlochać, jęczeć, a także pokazywać obtarty nadgarstek i domagać się natychmiastowego opatrzenia przez lekarza, jakby nie było nic ważniejszego na świecie.

Zaraz, zaraz. A gdzie jest Matt?

M.J. wycofał się do chałupy. Oczywiście znalazł tam Matta, szperającego w śmietniku, który wkrótce miał stać się niedostępny dla zwykłych śmiertelników jako miejsce popełnienia przestępstwa.

- Mogę ci pomóc? - spytał, następując na stertę starych czasopism i jakieś brudne talerze.

Matt podniósł głowę.

- Wkopuj się w to - odrzekł. - Szukaj czegoś, co miałyby związek z pracą Benninga dziesięć lat temu i Ameryką Środkową. Tam musi być źródło jego obłędu i znęcania się nad Allison. Jestem tego pewien!

M.J. rzucił się na stertę papierów.

- Skąd wiesz?

- Założmy, że Benning ma coś wspólnego ze śmiercią jej męża.

Dostał świra na tym punkcie, więc przypuszczenie opiera się na mocnych podstawach. Musiał dobrze zatrzeć ślady, bo przecież w swoim czasie Allison próbowała dowiedzieć się prawdy i nic z tego

nie wyszło. Miranda też wygrzebała niewiele. -Matt upuścił na podłogę stosik przeszukanych książek i podszedł do kupki płaskich pudełek.

- Niewiele, ale coś?

- Owszem. Wygląda na to, że Benning był pierwszym pacjentem doktora Forda w Linville Springs dziesięć lat temu. Za jego przykładem zjawili się następni pacjenci. Pokazał, że w miasteczku jest nowy, dobry lekarz. Nie sądzisz, że Ford mógł się czuć dłużnikiem Benninga?

- Chcesz powiedzieć, że Benning wciągnął go...

Matt po kolei otwierał i odrzucał pudełka. Wszystkie były puste.

- To tylko domysł. Potrzebuję dowodu. Ale czemu na przykład Benning miałby się bać wygranej Allison w wyborach? Bał się, że zasiadając w parlamencie stanowym, Allison mogłaby któregoś dnia dokopać się prawdy. Gdzieś musi istnieć dowód.

M.J. cicho gwizdnął.

- Jak na mnie, coś za bardzo szybujesz, człowieku. Za wysoki poziom abstrakcji... - Urwał i spojrzał na trzymane w dłoniach papiery. - Boże - szepnął. -Chyba masz rację. Popatrz.

- Co ty tu masz? - Matt podszedł do niego i wziął dokumenty. - Bingo - powiedział po chwili. - Strzał w dziesiątkę.

- Pod wieloma względami Davidowi się należało - powiedziała Allison. - Nic dziwnego, że stracił kontakt z rzeczywistością, prawdopodobnie do końca życia. Z tego, co znaleźliście, wynika, że mniej więcej to samo przydarzyło się dziesięć lat temu biednemu Paulowi. Stracił poczucie rzeczywistości, którą dla niego

stanowiliśmy my, jego rodzina. Pogonił za mrzonką o przygodzie i bohaterstwie. - Urwała i głęboko westchnęła. - Tak mu widać było pisane. Matt skinął głową.

- Mnie też niewiele brakowało - powiedział, dotykając jej dłoni.
- Gdybym cię nie poznał, nie wiem, gdzie byłbym dzisiaj, nie mówiąc o jutrze. Wiem tylko, że z pewnością straciłbym Laurel.

Allison nie odpowiedziała, tylko uściśnęła mu dłoń. Słowa nie były potrzebne. Wystarczał im dotyk, żeby się porozumieć. Dotyk, spojrzenie... miłość.

Znów siedzieli wszyscy w salonie Essexów. Od dramatycznych wydarzeń minęły trzy tygodnie. Allison udostępniła swój dom czterem komandosom, których poproszono o pozostanie w okolicy, póki nie ustaną kłopoty prawne związane z akcją na górze Linville. Sprawa była już w dużej części wyjaśniona. Rozgłos, jaki wybuchł wokół Allison, trudno opisać. Miała więc bardzo męczący, lecz jednocześnie inspirujący okres w życiu.

Tego dnia spotkali się wszyscy, pierwszy raz od lipcowych wydarzeń. W salonie siedziało osiem dorosłych osób, które znały szczegóły całej sprawy. Wprawdzie od dnia uwolnienia Allison każdy miał swoje zadania i badał swoją część sprawy, Allison zorganizowała jednak to spotkanie, żeby wyjaśnić ewentualne niejasności.

Miranda przesunęła jakieś papiery, leżące przed nią na stoliku.

- Twojego męża oszukano - powiedziała. - Zwiedziono obietnicą złotych gór. Najwyraźniej w głębi duszy pragnął zostać bohaterem, o czym ty nie wiedziałaś, a Benning to odkrył i wykorzystał. Na jego polecenie Paul poleciał do Ameryki Środkowej pomóc nielegalnemu

ugrupowaniu politycznemu, które potrzebowało lekarza. Miało to potrwać niecały tydzień. - Wyciągnęła ze stosu papierów starą, pożółkłą kopertę. - Myślał, że wnosi wkład w walkę o wolność i demokrację, czyli innymi słowy jest bohaterem. W liście do ciebie wyraźnie to napisał.

- Ten list nigdy nie dotarł do adresata - włączył się M.J. - Został powierzony Davidowi Benningowi, a ten włożył go między stronicę jakiegoś magazynu i po prostu o nim zapomniał.

- Pani mąż był dobrym człowiekiem – powiedział Chico. - Wszystko jedno, skąd się tam wziął. Próbował pomóc takim ludziom jak ja. Trafił do wsi zalanej przez powódź, w której wybuchła epidemia.

Allison odzyskała spokój. Łzy i żal nie mogły jej wrócić Paula, ale teczka, którą znalazł M.J., zawierała list Paula do niej i notatki Davida Benninga wyjaśniające, jak zamierzał utrzymać w tajemnicy swój udział w śmierci Paula. Nadeszła wreszcie pora, by uwolnić się od przeszłości. Jej serce należało teraz do spokojnego, silnego człowieka siedzącego obok niej. Mimo to cieszyła się, że nie popełniła błędu w ocenie męża. Paul zamierzał wrócić. Właściwie w ogóle nie zdawał sobie sprawy z tego, że porzucają i dzieci.

Teraz Sally i Sam również jakby odzyskali spokój, którego w głębi duszy było im brak przez długie lata. Wiedzieli wreszcie, że gdyby ojciec ich znał, to by ich kochał. Wiedzieli też, że był bohaterem, bo ratował życie ludzi. Z tą wiedzą łatwiej im było przyjąć fakty.

- Wszystko to ma naturalnie pozostać tajemnicą - oznajmiła Allison. - W swoim czasie dokładnie opowiem wszystko dzieciom, ale poza tym nikt niczego nie będzie wiedział. Za mało mamy konkretów, żeby wnieść oskarżenie w tej sprawie, a sprawca zapłacił za swe czyny obłądem. Moim zdaniem sprawiedliwości stało się zadość.

Matt prychnął.

- Jesteś bardzo wyrozumiała - powiedział, przysuwając się nieco bliżej i dotykając jej dłoni. - Ten drań zamierzał naszpikować cię jakimś świństwem i zostawić tam bez pomocy, żebyś umarła z przedawkowania.

- Wiem. - Położyła mu rękę na udzie. - Ale do tego nie doszło. A Rita jest całkowicie zdyskredytowana i w życiu publicznym, i prywatnie. Dziennikarze dopilnują, żeby więcej już nie miała ochoty zajmować się polityką. Josh siedzi pod zarzutem współudziału w spisku mającym na celu zabójstwo człowieka. Teddy Baker będzie sądzony za ostrzelanie domu i za usiłowanie zabójstwa, gdy próbował zepchnąć cię z szosy...

- Mamo, Laurel się obudziła! - zawołała Sally, stając przy balustradzie holu na piętrze. - Debbie prosi, żebyś przyszła.

- Za sekundę, kochanie. - Allison odwróciła się z powrotem do swoich przyjaciół. - Przepraszam na chwilę. - Pocałowała Matta. - Przejmij pałeczkę, kochanie.

Matt przytrzymał przez sekundę jej dłoń i dopiero potem pozwolił odejść. Bliźnięta były teraz w domu dosłownie wszędzie. Debbie Preston przyjęła propozycję pracy opiekunki trojga dzieci. Ich trojga dzieci. Już nikt nie kwestionował praw Matta do opieki nad

Laurel. Rola Turnerów w spisku była dość mglista, w każdym razie odstąpili od swoich roszczeń natychmiast, gdy zorientowali się, że wszyscy uważają Matta za bohatera.

W tydzień później Matt i Allison stanęli przed ołtarzem. Rezygnując z hucznej ceremonii, Allison zdołała ograniczyć liczbę wtajemniczonych w miasteczku do siedmiu osób. Jeśli doliczyć do tego jej rodziców, którzy przyjechali z Montany, w kościele było dziewięcioro dorosłych gości, wśród nich czterech żołnierzy, ponieważ Gunther, Chris, Chico i Manuel postanowili zostać w Linville aż do dnia ślubu. Resztę zaproszonych stanowili Miranda, M.J., Debbie, Sam, Sally i Laurel.

Tylko prawdziwi przyjaciele i rodzina. Allison uśmiechnęła się do siebie, słuchając uroczystych słów. Anons w gazecie za dzień lub dwa skupi na tym wydarzeniu uwagę mieszkańców miasteczka.

Dobiegły do niej słowa księdza:

- .. powody, dla których ten mężczyzna i ta kobieta nie mogą...

Poczuła ciepło bijące od Matta, który stał obok niej. Będzie z nim bezpieczna, może mu zaufać. Jest wspaniałym człowiekiem i nie udawanym bohaterem. Dowiódł tego w dniu, gdy uratował ją z rąk Davida Benninga.

Słuchając głosu księdza, uświadomiła sobie, że są właśnie w tej części uroczystości, która prześladowuje ją we śnie od prawie dziesięciu lat. Ma wziąć ślub po raz drugi, ale w połowie ceremonii wchodzi do kościoła Paul i żąda jej przerwania... Odprężyła się. Na pewno się to nie zdarzy, wreszcie zagadka została rozwiązana.

- ..zawrzeć związku małżeńskiego, niech wystąpi w tej chwili, gdyż...

- Chwileczkę!

Omam nie zemdlam. Jakiś dziwny, męski głos domagał się przerwania ceremonii. Odwróciła się sparaliżowana strachem.

Ale przystojny starszy pan, zbliżający się główną nawą w ich stronę, nie był duchem Paula. Był zadziwiająco podobny do Matta, tyle że jakieś trzydzieści lat starszy. Włosy miał siwe, a nie jasne, głębsze bruzdy na twarzy, ale te same piwne oczy i mocną budowę ciała, chociaż wydawał się przygarbiony pod ciężarem swych lat.

- Tata? - Matt przyciągnął Allison bliżej. - Tato, co ty...? Skąd...?

Zobaczył, że Chico się czerwieni i zrozumiał, skąd się wziął ojciec.

- Witaj, synu. - Robert Glass podszedł do ołtarza i zamknął w uścisku Matta i Allison. - Chyba nie mogłem pozwolić, żebyście wzięli ślub bez mojej obecności, prawda? - Uśmiechnął się szeroko do zaskoczonego duchownego. - Czy ksiądz mógłby zacząć od początku? Chciałbym zobaczyć wszystko od a do zet, jeśli obecni nie mają nic przeciwko temu.

Potem ceremonia potoczyła się już bez przeszkód.

Epilog

Wreszcie nadszedł dzień wyborów. Matt zbudził się wcześniej i stwierdził, że leży w łóżku sam. W domu było ciemno i zimno. Zaniepokojony włożył dżinsy, mokasyny i bawełnianą bluzę, po czym ruszył na poszukiwania Allison.

W gabinecie jej nie było. Ostatnio spędzała tam długie godziny, ślęcząc nad wykresami i notowaniami z sondaży. Bardzo chciała poznać swój los jeszcze przed decydującym dniem, aczkolwiek zdaniem Matta nie miało to sensu. Naprawdę trudno było przewidzieć wyniki, zwłaszcza po tak dramatycznej kampanii politycznej jak jej. Olbrzymią rolę w takich razach zawsze odgrywają czynniki emocjonalne.

Zajrzał do wszystkich sypialni. Dzieci spokojnie spały, ale same. Poślanie Fred natomiast było puste.

Matt pospieszył do drzwi, otworzył je i... odetchnął z ulgą. Zguba stała na progu i właśnie zamierzała wejść do środka.

- Cześć - powiedziała. Miała na sobie graby płaszcz i dżinsy. Fred mimo smyczy skoczyła na Mat-ta, dopraszając się pieścizot. - A właściwie dzień dobry. Właśnie byliśmy na spacerze. Nie mogłam zasnąć, więc wykrałam Fred z pokoju dziewczynek i...

- Kocham cię - szepnął Matt, ujmując jej twarz w dłonie. Skórę na policzkach miała zimną, ale usta ciepłe. - Wygrasz, kochanie. Nie bój się.

Uśmiechnęła się słabo.

- Nawet jeśli nie, to i tak los mi sprzyja. Mam ciebie i dzieci.

Czy jestem straszną egoistką, że chcę więcej?

- Ty egoistką? Nic podobnego. - W jego przesyconym miłością głosie usłyszała szczere oburzenie. Objęła męża i chyba setny już raz pomyślała, że bardzo się zmienił. Był zupełnie inny niż ów mężczyzna, poznany przez nią w supermarkecie parę miesięcy temu. Wtedy bał się rodzinnych więzów, teraz świetnie czuł się w roli ojca. Obaj, on i jego ojciec, dowiedzieli się wreszcie, czym jest dom i rodzina. Robert Glass okazał się wspaniałym dziadkiem trójki dzieci. Po wyjeździe komandosów wprowadził się do dawnego domu Allison. Wydawał się z tego bardzo zadowolony i chyba zamierzał tam osiąść na stałe.

- Już wiem. Urządzimy przyjęcie. - Głos Matta wyrwał ją z zamyślenia.

- Słucham?

- Przyjęcie. Staromodną ceremonię w wieczór wyborczy. W ten sposób na pewno miło spędzisz czas, bez względu na to, co się stanie.

- Ojej! - jęknęła, spoglądając w sufit. - Nie jestem w stanie. Za dużo pracy, a ja naprawdę już nie mam tyle siły. Za dużo nerwów.

Nie...

- Nic nie musisz robić - odparł. - Ja wszystko załatwię. Ty masz się tylko dobrze bawić.

Usiłowała nadal protestować, ale nie mogła wymyślić poważnej przyczyny, dla której Matt nie miałby wprowadzić swojego pomysłu w życie. Poza tym uznała, że mając obowiązki towarzyskie, nie spędzi

całego wieczoru przed telewizorem, gdzie umierałaby z niepokojem przy kolejnych prognozach.

- No dobrze - powiedziała w końcu i wzruszyła ramionami. - To chyba niezły pomysł. Przynajmniej oderwie mnie to trochę od tego całego zamieszania.

Omyliła się. O siódmej wieczorem, gdy zamknięto lokale wyborcze, w ich domu zaroilo się od przyjaciół i rodziny. Wszyscy chcieli podtrzymać ją na duchu w pełnych napięcia chwilach liczenia głosów. Allison uciekła w końcu do kuchni. Na telewizor po prostu nie mogła już patrzeć.

- Jestem śmieszna - powiedziała do Fred, która zdawała się wyczuwać, że panią trzeba pocieszyć, więc zwinęła się w kłębek na jej kolanach.

Do kuchni wszedł M.J. i próbował wcisnąć jej w rękę puszkę piwa.

- Wypij, kuzynko - poradził. - Wyglądasz tak, jakbyś tego właśnie potrzebowała.

Pokręciła głową.

- Tylko nie alkohol. Nie dziś. Miranda wyjęła puszkę z dłoni M.J.

- A co z uroczystym szampanem? - spytała, napełniając swoją szklankę piwem. - Jeśli wygrasz, to chyba nam postawisz?

Allison zdołała przywołać na twarz uśmiech.

- Jeśli wygram, to sama też się napiję.

- W porządku. - M.J. wyszedł z kuchni, obejmując Mirandę. Po wyjeździe Chica ich przyjaźń wyraźnie się odrodziła.

Nieco później przyszła Sally i przytuliła się do matki. Fred musiała zmienić pozycję, ale nie zeskoczyła z kolan.

- Mamo, co będzie, jak wygrasz? - spytała dziewczynka. - Wyjedziesz?

- Och, nie, kochanie. - Allison uściskała córkę, przy okazji strącając Fred na podłogę. - Nie zostawię was wszystkich. Nigdy! Po prostu zimą, w czasie sesji parlamentu, wyjadę na parę tygodni do Cheyenne, ale z wami zostanie Matt.

Sally rozważyła jej słowa.

- Wolałabym, żebyś nigdzie nie jechała. Allison z powrotem wzięła Fred na kolana.

- A co o tym sądzi twój brat? - spytała. Sally zmarszczyła czoło.

- Mówi, że chcesz wszystkim rządzić. Więc...

- Rozumiem. - Allison otoczyła córkę ramieniem.

- Nie wiedziałam, że jeszcze macie z tym problemy. - Wstała. - Gdzie jest Sam?

W kilka minut później razem z Mattem siedziała przy kuchennym stole, wyjaśniając bliźniętom, na czym będą polegać jej nowe obowiązki.

- To znaczy, że mama będzie pracować dla mnie, jak pojedzie do Cheyenne? - spytał w końcu Sam.

- Właśnie - potwierdził Matt - Dla ciebie, dla Sally, dla mnie. Nawet dla dziadka Roberta. Będzie zajmować się naszymi prawami i potrzebami. Na tym polega rządzenie.

- Aha. - Sam skinął głową. Wydawał się usatysfakcjonowany.

Sally przez chwilę milczała.

- No, więc dobrze, mamó - powiedziała w końcu. - Jeśli masz wyjeżdżać po to, żeby pomóc innym ludziom i nam, to zgoda. Pod warunkiem, że zawsze będziesz wracać do domu.

- Oczywiście, kochanie. To ci obiecuję, bez względu na to, dokąd pojedę. Myślę, że teraz rozumiecie więcej, bo...

Przerwało jej nagłe zamieszanie. Do kuchni wpadł nagle M.J.

- Wygrałaś, kuzynko! Miranda deptała mu po piętach.

- Przytłaczające zwycięstwo, Allie! Nikt się nie spodziewał, że wygrasz taką przewagą głosów. Gratulacje! - Otworzyła lodówkę i wyjęła butelkę szampana. - Trzeba to uczcić!

Po chwili korek strzelił w górę.

Gdy jednak Allison spojrzała na Matta, uprzytomniła sobie, że jeszcze większe zwycięstwo odniosła parę minut wcześniej tu, przy kuchennym stole. Razem z mężem i dziećmi wspólnie usiedli do rozmowy i osiągnęli porozumienie.

Matt nappełnił dwa kieliszki. Jeden podał żonie.

- Za ciebie - powiedział. -I...

- Nie - zaprotestowała. - Za nas. - Pomyślała o dzieciach. - Za naszą nową rodzinę. Za nas wszystkich!

Wypili z Mattem toast i Allison zrozumiała, że te słowa będą odtąd treścią jej życia. To oni razem, ona i Matt, są prawdziwymi zwycięzcami. I tak już pozostanie.